KSIĘGA IMION

JILL GREGORY KAREN TINTORI

Poświęcam
mojej bezcennej rodzinie -
cudownemu mężowi Larry 'emu
i niezwykłej córce Rachel -
oraz pamięci ukochanych rodziców

Z miłością, **JG**

Moim skarbom -
wspaniałemu mężowi Lawrence'owi,
solidnym jak skała synom, Stevenowi i Mitchelowi,
oraz promiennej Leslie,
którą zawdzięczamy Mitchowi -
KT

Podziękowania

Pomysł *Księgi imion* powstał piętnaście lat temu, a źródłem inspiracji był Geri Levit, który opowiedział nam legendę o lamed wownikach.

Gdy pisałyśmy książkę, wiele osób podsuwało nam różne pomysły i dzieliło się swoją wiedzą. Oto ci, wobec których mamy szczególny dług wdzięczności: Rosemary Ahern, rabin Jonathan Berkun, rabin Lauren Berkun, Jean Donnelly, Myrna Dosie, Ruthe Goldstein, Larry Greenberg, Rachel Greenberg, Charlotte Hughes, Lawrence Katz, Mitchel Katz, Leslie Katz, Steven Katz, Irving Koppel, dr Pati Nakfoor, Claudia Scroggins, Rae Ann Sharfman, Haim Sidor, Safed Foundation, rabin Elimelech Silberberg, rabin dr Shlomo Sowilowsky, Jennifer Weiss, Rebecca Weiss i Mariannę Willman.

Jesteśmy głęboko wdzięczne trzem niezwykłym kobietom za ich wsparcie i entuzjazm: naszej fenomenalnej redaktorce Nichole Argyres oraz pełnym poświęcenia agentkom, Ellen Levine i Sally Wofford-Girand.

Na świecie jest co najmniej trzydziestu sześciu sprawiedliwych ludzi, którzy cieszą się błogosławieństwem Szechiny (Bożej Obecności).

Rabin Abaje, Talmud

Prolog

7 STYCZNIA 1986 ROKU SAKKARA, EGIPT

W ciemnościach dwaj mężczyźni przerzucali piasek szpadlami. Jedynym źródłem światła była latarka stojąca obok ich plecaków. Ten kompleks grobowców, dwadzieścia cztery kilometry od Kairu, był prawdziwą skarbnicą starożytnych artefaktów. Sakkara, Miasto Zmarłych, przez trzy tysiące lat stanowiła miejsce pochówku królów i zwykłych ludzi. Nawet gdyby wielu archeologów poświęciło całe życie na jego badanie, i tak nie poznaliby wszystkich tajemnic. To samo można by powiedzieć o rabusiach okradających groby.

Sir Rodney Davis, nobilitowany za odkrycie świątyni Echnatona i jej olśniewających skarbów, dobrze znał to podniecenie. Byli już blisko. Wiedział. Niemal wyczuwał palcami kruchy papirus.

Księga imion. Część księgi. Może cała. Tego nie wiedział. Wiedział tylko, że jest tutaj. Musi być.

Takie samo podniecenie czuł na wzgórzu Ketef Hinnom w Izraelu w nocy, kiedy znalazł złote berło króla Salomona. Berło, zakończone wyrzeźbionym w kości słoniowej owocem granatu wielkości kciuka, z hebrajskimi inskrypcjami, było pierwszym odkrytym nieuszkodzonym przedmiotem łączącym biblijnego króla żyącego w dziesiątym

wieku przed naszą erą z niedawno odkopanymi tam fortyfikacjami. Odnalezienie Księgi imion przyćmiłoby jednak wszystkie inne odkrycia. To zapewniłoby mu miejsce w historii.

Ufał swojemu instynktowi, który niczym sonda prowadził go do jedynego w swoim rodzaju skarbu. Tej nocy sir Rodney kopał w piasku, po którym chodzili starożytni królowie, a jego energię podsycało pragnienie dokonania odkrycia, przeżycia ekscytacji na widok czegoś, czego nie widział jeszcze nikt od czasów aniołów i rydwanów.

Pracujący obok niego Raoul rzucił na ziemię szpadel i sięgnął po manierkę z wodą. Wypił łapczywie kilka łyków.

- Odpocznij, Raoul. Zacząłeś godzinę wcześniej niż ja.

- To pan powinien odpocząć, sir. Jeśli te przedmioty leżą tu od tysięcy lat, to poczekają na nas jeszcze trzy lub cztery godziny.

Sir Rodney przerwał i spojrzał na Raoula, który był jego wiernym asystentem już od niemal dwunastu lat. Ile miał lat, gdy zaczynał? Szesnaście, siedemnaście? Sir Rodney nie znał równie wytrwałego pracownika jak Raoul LaDouceur. Ten pełen rezerwy i godności młody człowiek wyróżniał się śródziemnomorską oliwkową cerą i głęboko osadzonymi oczami o różnej barwie - jedno szafirowe, a drugie koloru ciemnego mahoniu jak ziarna tureckiej kawy.

- Czekałem na to odkrycie pół życia, przyjacielu. Jakie znaczenie ma w tej chwili jeszcze godzina pracy?

Sir Rodney nabrał na łopatę piasku z dna i odrzucił go na bok. Raoul przez chwilę patrzył w milczeniu, po czym zakręcił manierkę i podniósł szpadel.

Pracowali jeszcze ponad godzinę. Ciszę przerywały tylko ich ciężkie oddechy i głuche uderzenia szpadli wbijanych w piach. Nagle rozległ się zgrzyt metalu. Szpadel natrafił na coś twardego. Sir Rodney znieruchomiał, po czym padł na kolana i zaczął odgarniać piasek długimi, zrogowaciałymi palcami. Raoul klęknął obok. Czuł takie samo podniecenie.

- Latarka, Raoul - powiedział cicho sir Rodney.

Obejmował rękami wypukłe ściany glinianego dzbana. Poruszył nim delikatnie na boki, żeby wydobyć go z piasku. Raoul przybliżył latarkę. W słabym świetle zobaczyli wetknięty w otwór dzbana zwój papirusu.

- Boże, to może być to - szepnął sir Rodney.

Drżącymi rękami wyciągnął papirus. Raoul pośpiesznie rozłożył na piasku brezentową płachtę. Cofnął się o krok i patrzył, jak jego mentor rozwija pożółkłe zwoje. Obaj rozpoznali starohebrajski alfabet i już wiedzieli, co znaleźli.

Sir Rodney pochylił się jeszcze niżej nad papirusem. Przyglądał się drobnym literom, a serce biło mu przyśpieszonym rytmem. Miał w rękach największe odkrycie w swojej karierze. ,

- Boże, Raoul, to może zmienić świat.
- Rzeczywiście, sir. Z pewnością zmieni.

Raoul postawił latarkę na brzegu płachty. Cofnął się i wsunął rękę do kieszeni. Cicho wyciągnął pętlę z cienkiego drutu. Zręcznie i pewnie zarzucił ją na szyję sir Rod-neya. Archeolog nie zdążył nawet pisnąć.

Koniec nastąpił błyskawicznie. Raoul jednym ruchem odciągnął swoją ofiarę od cennych papirusów i złamał jej kark.

Stary jak zwykle miał rację, pomyślał, gdy zbierał papirusy. To odkrycie zmieni świat.

Raoul był zbyt podniecony zwycięstwem, by zauważyć leżący na dnie dzbana oszlifowany kawałek bursztynu, na którym wyryto trzy hebrajskie litery

7 STYCZNIA 1986 ROKU
SZPITAL HARTFORD, CONNECTICUT

Doktor Harriet Gardner wyciągnęła się na sfatygowanej sofie w szpitalnej dyżurce - nareszcie po dwunastu godzinach coś do jedzenia - kiedy odezwał się biper, wzywając ją z powrotem na oddział ratunkowy.

Biegła korytarzem, gryząc jabłko. Coś poważnego, pomyślała. Inaczej Ramirez sam dałby sobie radę. W biegu rzuciła niedojedzone jabłko do kosza na śmieci. Ciekawe, wypadek samochodowy czy pożar? Pchnęła metalowe drzwi i wpadła do sali.

Trzy zespoły ratunkowe uwijały się jak w ukropie. Na łóżkach na kółkach leżało troje dzieci. Jedno krzyczało. Jeszcze pięć minut temu w całym skrzydle słychać było tylko szum monitorów i rzadkie jęki pięcioletniego chłopca na szóstym stanowisku, który czekał na rentgen złamanej nogi.

Teraz na oddziale było pełno sanitariuszy i policjantów. Dyżurny chirurg rezydent Ramirez wpychał rurkę intubacyjną do gardła nastolatki.

- Weź chłopca na tomografię komputerową - krzyknął do Ozziego.

Pielęgniarz popchnął zakrwawione łóżko w kierunku windy. Nastolatek leżał nieruchomo, z nogą wykrzywioną pod niezwykłym kątem. Nad prawym okiem miał ranę, a z uszu ciekła mu krew.

- Co my tu mamy? - Harriet podbiegła do chłopca ubranego w koszulkę drużyny Celtics z numerem 18. Teresa, stażystka, odsunęła się. Koszulka już została rozcięta i widać było zakrwawioną klatkę piersiową.

- Spadli z dachu - wyjaśnił pielęgniarz z karetki. -Z drugiego piętra. Po drodze uderzyli o gzyms.

Ach te dzieciaki.

- Dajcie tu tlen - rzuciła Harriet. - I ściągnijcie przenośny aparat rentgenowski. - Pracowała na oddziale ra-

tunkowym już trzy lata, ale wciąż coś ściskało ją w żołądku, gdy przychodziło ratować dzieci.

Czas z tym skończyć, pomyślała. Spojrzała na ekran monitora. Tętno sto trzydzieści, ciśnienie osiemdziesiąt na sześćdziesiąt.

Kiepsko z tym dzieciakiem.

- To syn senatora Shepherda. - Doshi przyciągnęła do łóżka zbiornik z tlenem. - A chłopak, którego Ozzie zabrał na tomografię, to syn ambasadora Szwajcarii.

- Jak ten ma na imię?

- David - odpowiedziała Doshi, spoglądając na kartę chorego. - David Shepherd.

Harriet przyjrzała się torsowi rannego chłopca. Skrzywiła się.

- Wygląda na zgniecenie klatki piersiowej, złamanie obojczyka i uszkodzenie płuca.

Doshi zręcznym ruchem podłączyła tlen do rurki intubacyjnej.

- Tamci odpływają i wracają, a ten jeszcze nie odzyskał przytomności.

Harriet znowu spojrzała na monitor. Ciśnienie spadało jak kamień rzucony do studni. Kurwa.

ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH, NOWY JORK

Gdy sekretarz generalny Alberto Ortega zakończył przemówienie, w sali Zgromadzenia Ogólnego rozległy się głośne oklaski. Uśmiechnięty Ortega przeszedł wśród dyplomatów, wymieniając uściski dłoni i przyjmując gratulacje z okazji uchwalenia poprawki do konwencji o zakazie niewolnictwa, podpisanej jeszcze w 1926 roku w Genewie. Spod przymkniętych powiek rozejrzał się po sali, aż wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na dobrze mu znanej postaci asystenta.

Ortega zachował kamienną twarz, gdy Ricardo, przecisnąwszy się przez tłum, dyskretnie podał mu zwinięty karteluszek.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, z dala od hałasu i tłumu, Ortega zamknął na klucz dębowe drzwi i rozwinął żółtą karteczkę. Szybko przeczytał wiadomość.

„LaDouceur zgarnął piękną sztukę. Polowanie trwa".

SZPITAL HARTFORD, CONNECTICUT

Nic już nie boli, pomyślał David. Leżał na szpitalnym łóżku na kółkach. Ze zdziwieniem stwierdził, że cały tors ma poplamiony krwią. Pięć... sześć... siedem... tyle osób pochylało się nad nim. Straszne zawracanie głowy... dlaczego oni nie dadzą mu spokoju?

Teraz zbliża się do niego Crispin. Dziwne, pod jego nogami nie widać podłogi, majaczył.

Gdy Crispin podszedł do łóżka Davida, obaj rozejrzeli się dokoła. Wszyscy na oddziale ratunkowym pracowali w szaleńczym tempie.

David usłyszał, że ktoś go woła, ale w tej samej chwili Crispin wskazał zawieszone w górze jasne światło.

- Czyż nie jest niezwykłe?

Tak, pomyślał David. Rzeczywiście. Jeszcze wspanialsze niż zorza polarna, którą widziałem ostatniego lata.

Crispin wzniósł się ku światłu. David ruszył za nim. Nagle ogarnęła ich ze wszystkich stron oślepiająca poświata. Przesuwali się jakimś długim tunelem. Przed sobą widzieli jeszcze jaśniejsze światło. Przyśpieszyli kroku.

David czuł spokój i uniesienie. I pełnię bezpieczeństwa.

Nagle zobaczył, że w oświetlonej przestrzeni przed nim coś się poruszyło. W ciszy słychać było dziwny szmer. Crispin został gdzieś z tyłu, zawisł w przestrzeni, ale David zbliżał się do światła, jakby przyciągał go wielki magnes.

Otworzył szeroko usta.

Szmer zmienił się w ryk, wypełniający mu głowę. Przed sobą zobaczył jakieś twarze. Rozmyte twarze ludzi, którzy o coś usilnie prosili. Setki, tysiące twarzy.

Boże, co to za ludzie?

Usłyszał głośny krzyk. Miał wrażenie, że minęło tysiąc lat, nim zdał sobie sprawę, że to on krzyczy.

- Odjeżdża! Reanimujemy! - krzyknęła Harriet.

Doshi przyłożyła elektrody defibrylatora do piersi Davida.

- Uwaga! - ostrzegła i włączyła prąd.

- Jeszcze raz! - Harriet pochyliła się nad ciemnowłosym chłopcem. Czuła na ustach pot. - David, wracaj! Posłuchaj! Wracaj!

Doshi czekała na kolejne polecenie. Harriet ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na monitor. Wciąż migotanie. Niewiele brakuje, by wykres elektrokardiografu zmienił się w linię prostą. Niech to diabli!

- Doshi! Jeszcze raz!

Trzy godziny później doktor Harriet Gardner skończyła papierkową robotę. Co za dzień. Najpierw kobieta, trzydzieści pięć lat, z zawałem. Potem mały dzieciak z widelcem, który wbił sobie w czoło. Na koniec tych troje, którzy omal się nie pozabijali, postanowiwszy podczas mroźnej zimy wejść na jakiś pieprzony dach.

Dziewczynie się udało, miała tylko uraz przełyku i złamaną rękę.

Jeden chłopak złamał prawą kość udową i leżał nieprzytomny.

Drugiego ledwo wyrwała ze szponów śmierci. Ciekawe, czy widział światło.

Doktor Harriet Gardner westchnęła, rzuciła dokumenty na stół pielęgniarek i poszła do domu nakarmić psa.

ROZDZIAŁ 1

ATENY, GRECJA. DZIEWIĘTNAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

Raoul LaDouceur otworzył bagażnik wynajętego jaguara. Nucił pod nosem jakąś melodię. Spod wełnianego koca wyciągnął karabin i w tej chwili uświadomił sobie, że jest głodny. No, już niedługo. Po drodze, szesnaście kilometrów stąd, zauważył tawernę z ogródkiem. Nagle poczuł niepohamowany apetyt na pieczony udziec barani i szklaneczkę ouzo.

Spojrzał na zegarek. Powinien zdążyć. Załatwił już dwóch strażników i zepchnął ich ciała w dół zbocza. Realizował plan z wyprzedzeniem i pozostało mu jeszcze pięć godzin do końca wynajmu samochodu. Później miał lecieć do Londynu i czekać na następne zlecenie.

Zdecydowanym krokiem przeszedł przez sad oliwkowy. Czuł się nieswojo. Mimo okularów przeciwsłonecznych gorące, śródziemnomorskie słońce drażniło mu oczy. Wolał pracować w ciemnościach.

Przyzwyczaił się jednak do słońca podczas prac wykopaliskowych w młodości, więc mógł je znieść i teraz. Nie zwracając uwagi na upał, wybrał stanowisko, z którego mógł obserwować cały tył domu. Skorzystał z inhalatora i spokojnie czekał.

Silny zapach oliwek przyprawiał go o pieczenie w gardle. Przypomniał sobie wczesną młodość na farmie dziadka w Tunezji, gdzie jako sześciolatek pracował ciężko przy szczepieniu oliwek. Dziesięć godzin dziennie w palącym słońcu ciął gałązki i szczepił je na nowych drzewach. Gardło miał wtedy wyschnięte na popiół.

A co za to dostawał? Pajdę chleba, kawałek sera? I często lanie rózgą z gałęzi, które sam przyciął.

Dziadek był pierwszym człowiekiem, którego zabił. W dniu swoich piętnastych urodzin pobił go na śmierć.

Dziś też są chyba czyjeś urodziny, pomyślał. Popatrzył na przywiązane do leżaków balony i stertę ozdobnie zapakowanych prezentów na stole.

Już za chwilę miała się rozpocząć zabawa.

Beverly Panagoupolos przez całe popołudnie piekła. Wprawdzie kucharz jej brata z pewnością potrafił upiec urodzinowy tort, ale skoro miało to być ciasto dla jej wnucząt, chciała je zrobić sama.

Jej najmłodsza wnuczka, Alerisa, kończyła dziś dziewięć lat. Już za godzinę na tarasie obok basenu miała się zgromadzić cała rodzina: jubilatka, jej starsi bracia Este-wao, Nilo i Takis, rodzice, kuzyni, ciotki, wujowie. Alerisa jest tak nieśmiała, że pewnie całe przyjęcie spędzi schowana w jakimś kącie, ale później będzie długo opowiadać o swoich urodzinach.

Beverly zlizała z palca cynamonowy lukier i wyszła sprawdzić, czy różowe i srebrne balony zostały rozwieszone zgodnie z jej wskazówkami, a prezenty ułożone na stole. Zatrzymała się na chwilę i z przyjemnością popatrzyła na mieniącą się srebrzyście niebieską wodę w basenie. Już wkrótce będą tu dokazywać dzieci.

Niczego nie usłyszała, dopóki między palmami nie rozległ się huk wystrzału.

Niczego nie poczuła, dopóki pocisk nie przeszył jej ple-

ców. Nie zobaczyła już, jak woda w basenie, zmieszana z krwią, zmienia kolor na różowy.

Zmarła z odrobiną lukru cynamonowego w kąciku ust.

Samochód wyłonił się zza drzew rosnących na poboczu i popędził szosą. Raoul włączył radio i kręcił gałką, szukając muzyki klasycznej. Przypadkowo złapał koniec wiadomości. Terroryści wysadzili międzynarodowy terminal na lotnisku w Melbourne. Pod gruzami zginęły tysiące osób.

Uśmiechnął się. Był dobry. Najlepszy. Dowodził tego chaos ogarniający cały świat. Już wkrótce zostanie uznany za jednego z głównych bohaterów nowego porządku.

Z trzydziestu sześciu Ukrytych pozostało tylko trzech. Beverly Panagoupolos była czternastym, który zginął z jego ręki. Nikt nie zabił tylu co on. Gdy ostatni zostaną wyeliminowani, brudny świat Boga zakończy swoje istnienie.

Już się rozpadał. Wojny, trzęsienia ziemi, głód, pożary, epidemie - nigdy jeszcze światem nie wstrząsało tyle klęsk żywiołowych i katastrof wywołanych przez człowieka. To tylko kwestia dni.

Gdy zginą trzej ostatni - gdy światło Ukrytych zostanie ostatecznie zgaszone - nastąpi świt epoki gnozytów i skończy się świat.

BROOKLYN, NOWY JORK

Wybiła ostatnia godzina.

Daleko od Aten, niemal osiem tysięcy kilometrów, rabin Eliezer ben Moshe siedział w swoim niewielkim gabinecie przy Avenue Z. Zamknął kaprawe oczy i się modlił.

W ciągu osiemdziesięciu dziewięciu lat życia rabina te oczy widziały wiele zła i tragedii, simchy* i dobra. Ostat-

* Simcha (hebr.) - radość.

nio jednak na świecie coraz bardziej panoszyło się zło. Rabin wiedział, że to nie może być przypadek.

Jego serce przepełniał ogromny lęk. Przez całe życie studiował kabałę, medytował nad mistycznymi tajemnicami i zwracał się do Boga jego wszystkimi imionami. Powtarzał je, modląc się o pomoc; nie dla siebie - dla świata.

Światu groziło niebezpieczeństwo, i to znacznie większe niż potop. Ciemne dusze wyznawców dawnego kultu odnalazły Księgę imion. Rabin nie miał co do tego wątpliwości.

Ginęli kolejni lamed wownicy, których nazwiska były zapisane na starożytnym papirusie. Ilu ich jeszcze zostało? To wiedział tylko Bóg. I gnozyci.

Rabin westchnął ciężko i zajął się talizmanami leżącymi na biurku. Znaczenie niektórych rozumiał, inne były dla niego tajemnicą. Po kolei wkładał je do starej skórzanej torby. Palcami pokrzywionymi przez artretyzm zdjął z półki stare księgi Zohar* i Tanach**, po czym pokręcił tarczą sejfu ukrytego w ścianie za nimi. Gdy już umieścił torbę z talizmanami w ognioodpornym sejfie, sięgnął po sfatygowaną Księgę Psalmów i poczłapał do drzwi.

Jego długa srebrna broda drżała, gdy wymawiał słowa modlitwy.

- Boże, daj nam moc i wiedzę, żebyśmy zdołali powstrzymać złoczyńców.

Jego modlitwę rejestrował maleńki mikrofon umieszczony pod biurkiem, ale nie przekazywał słów Eliezera Bogu.

* Zohar - główna księga kabały zawierająca zbiór komentarzy, sentencji i wyjaśnień do Tory.

** Tanach - najogólniejsze określenie Biblii hebrajskiej, skrót nazw trzech jej działów: Tora (Pięcioksiąg), Newim (Prorocy), Ketuwim (Pisma).

ROZDZIAŁ 2

GEORGETOWN UNIVERSITY WASZYNGTON, D.C.

Gdy David Shepherd, zakończywszy poranne wykłady, wszedł do baru Houligana, myślał tylko o pulsującym bólu głowy i dokuczliwym głodzie. Wczoraj wieczorem nie mógł zasnąć, był zbyt podkręcony dwudniową wizytą premiera Tony'ego Blaira, podczas której pełnił obowiązki gospodarza. Studenci przyjęli wykład Blaira owacją na stojąco, a później David poszedł do dziekana Myera, gdzie opijali sukces do pierwszej w nocy.

Wizytę Blaira uważano powszechnie za wielkie osiągnięcie Davida, ale w rzeczywistości było to po prostu szczęście. Poznał brytyjskiego męża stanu siedem miesięcy temu, gdy został zaproszony do wystąpienia na seminarium w Oksfordzie. Po seminarium odbył się bankiet na jego cześć w Boisdale, w hotelu Belgravia. Blair, który siedział naprzeciwko, wyraził się z uznaniem o jego książce *Siła narodów. Walka o pokój w epoce broni jądrowej.*

Wymienili adresy elektroniczne, a potem, ku jego zdumieniu, angielski polityk przyjął zaproszenie do wygłoszenia wykładu na Georgetown University.

Wizyta Blaira była wielkim sukcesem, natomiast dzisiejszy poranek to czyste piekło. Do czwartej przewracał się na łóżku, nie mogąc zasnąć, potem przespał dzwonek bu-

dzika i mimo pośpiechu spóźnił się na wykład o ósmej rano. Nie zdążył połknąć tylenolu, a tym bardziej napić się czegoś wzmacniającego. Nawet się nie ogolił, wskoczył tylko na chwilę pod prysznic i uczesał gęste, ciemne włosy.

- Co nowego, Dave? - Shepherd usłyszał przebijający się przez zgiełk nosowy głos Toma Mclntyre'a. Siedzący dwa stoliki dalej Tom machał do niego ręką. - Jak na pu pilka Myera minę masz nietęgą. Czy może twój kumpel Blair wczoraj wieczór rozważał stan świata nieco zbyt dogłębnie?

Łysiejący profesor, który dzielił z Davidem gabinet na wydziale nauk politycznych, wezwał gestem kelnerkę. Tom, podobnie jak David, kawaler po trzydziestce, był błyskotliwym sparringpartnerem i jednym z najbardziej popularnych wykładowców w kampusie. W każdym semestrze sprawdzał, który z nich ma liczniejsze grono studentów. Docinki Toma były czymś więcej niż tylko przejawem przyjacielskiej rywalizacji, ale David, jako syn senatora Stanów Zjednoczonych, przywykł do nieustannych gierek personalnych i uodpornił się na nie.

Na ogół nie zwracał uwagi na starania Toma, by zawsze być pierwszym, wyjąwszy ich doroczne wyprawy wspinaczkowe na zachód. Tom był dobrym kumplem i doskonałym wspinaczem. Wybijał się właśnie w tej dziedzinie, w której David lubił rywalizację: w walce człowieka z naturą, w próbach pokonania skał.

Wysoki, dobrze umięśniony David z jękiem padł na twarde krzesło naprzeciwko Toma.

- To może być dobre lekarstwo na twoje cierpienia -odezwał się Tom, unosząc kufel piwa.
- A kilof mógłby rozwiązać problem bólu głowy. - Da-vid zmusił się do uśmiechu. - Masz jakiś pod ręką?

Tom myślał już o czymś innym. Wpatrywał się w ekran telewizora nad barem.

- Kurczak Malutki miał rację, przyjacielu. Zbliża się koniec świata.

- Ja też tak myślę.

David zamówił hamburgera, chili z cebulą i heinekena. Wyciągnął się na krześle i pomasował skronie. Odruchowo powędrował wzrokiem za spojrzeniem Toma. W CNN mówiono o kolejnym ataku terrorystycznym, tym razem w Melbourne. Skrzywił się. Katastrofy spadają na świat z regularnością wybuchów gej zera Old Faithful w Yellowstone.

David wykładał nauki polityczne od dobrych kilku lat, a od czterech w Georgetown, ale jeszcze nigdy w swojej karierze nie spotkał się z takimi problemami jak w ostatnim semestrze. Słowa Platona, Thoreau, Churchilla i innych wielkich myślicieli politycznych w najmniejszej mierze nie wyjaśniały zamętu, który ogarniał świat. Huragany, tsunami, wojna, zabójstwa, terror - mieszanina żywiołów natury i zbrodniczych działań człowieka. Ani on, ani nawet Tony Blair nie potrafili odpowiedzieć na wszystkie pytania studentów.

Gdy kelnerka postawiła przed nim kufel piwa, David z ulgą oderwał wzrok od ekranu. Tom pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

- Hej, przyjacielu, to twój szczęśliwy dzień. Piękna blondynka Kate Wallace właśnie zaparkowała dwa stoliki od nas. Idź i zaproś ją na piknik dziekana z okazji Święta Pracy.

David musiał się powstrzymać, żeby nie spojrzeć za siebie. Kate Wallace była trzydziestojednoletnią profesorką anglistyki i pisała pikantną powieść o dworze Ferdynanda i Izabeli. Była też pierwszą kobietą, której naprawdę pożądał, od kiedy Meredith wniosła pozew o rozwód. Kilka razy spotkali się przy kawie w klubie profesorskim i jak dotąd jeszcze jej nie wystraszył.

Dlaczegóż by nie? - pomyślał.

Mrugnął do Toma i wstał z krzesła. Dwie minuty póź-

niej zapisywał numer telefonu Kate i wskazówki, jak dojechać do jej domu.

- Zaimponowałeś mi - zachichotał Tom, gdy David wrócił do stolika. - Minęło dopiero półtora semestru, a ty już zdecydowałeś się wykazać inicjatywę.

- Podobno najważniejszy jest wybór właściwej chwili -odpowiedział David.

Ugryzł hamburgera i spojrzał na kawałek papieru.

Nagle szczęki mu znieruchomiały. A to co, u diabła?

Zamiast *Kate Wallace* napisał coś innego.

Beverly Panagoupolos.

Och, tylko nie to, pomyślał. Ból głowy, który zelżał podczas posiłku, zaatakował z nową siłą. Jeszcze jedno przypadkowe nazwisko. Było ich już tyle. Skąd one się biorą?

- Hej, David, nic ci nie jest? Mówię poważnie. Wyglą dasz, jakby cię z grobu wyciągnęli. Co się stało?

David zesztywniał. Tom nie miał pojęcia, jak bliski jest prawdy. David nigdy nie opowiadał mu o wypadku w młodości, kiedy to o mało się nie zabił. Nie opowiedział o tym nawet Meredith.

- To tylko ten cholerny ból głowy.

Zmusił się do skończenia hamburgera, ale nie myślał już o jedzeniu, Tomie i Kate. Myślał tylko o Beverly Panagoupolos.

Choć wcale tego nie chciał.

Godzinę później David minął Eastern Market, przekraczając nieco prędkość dopuszczalną na Wzgórzu Kapito-lińskim. Gdy parkował swoją mazdę 6 w alejce na tyłach domu, nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie sprawdzi, czy nazwisko Beverly Panagoupolos widnieje w jego notesie. Już miał wyłączyć silnik, gdy rozpoczęły się wiadomości CNN.

„Najnowsze wiadomości z Aten. Policja otoczyła dom greckiego premiera Nicholasa Agnastou, gdzie zaledwie

przed godziną została brutalnie zamordowana jego siostra, Beverly Panagoupolos...".

Ręka Davida znieruchomiała na kluczyku. Na czole pojawiły się krople potu, choć w środku czuł przejmujący chłód. Dlaczego mam w głowie to nazwisko właśnie dziś, w dniu jej śmierci? To nie zdarzyło się jeszcze nigdy, pomyślał. Wyciągnął z kieszeni kartkę i przyjrzał się jej uważnie. A może się zdarzyło?

Wbiegł na schody i pośpiesznie włożył klucz do zamka. Skierował się prosto do gabinetu, a drzwi same się zatrzasnęły. Na biurku panował ledwo kontrolowany chaos, na który składały się strzępy jego życia: niesprawdzone prace studentów, notatniki i książki, pudełko cienkopisów Sharpie, oprawione zdjęcie jego i Stacy z ostatniego wyjazdu na narty do Vail, czerwona małpka z ceramiki, którą przywiózł mu z Tajlandii Judd Wanamaker, najbliższy przyjaciel ojca, gdy David miał osiem lat. Małpka trzymała w ręku szaroniebieski mleczny kamień.

Gwałtownym ruchem wyciągnął szufladę biurka i zaczął grzebać wśród wyciągów bankowych i rachunków, aż wreszcie jego palce zacisnęły się na grubym czerwonym notatniku. Z bijącym sercem przeglądał listę nazwisk.

Sto czterdzieści pięć stron wypełnionych nazwiskami. Tysiące nazwisk.

Znalazł to, czego szukał. Pośrodku czterdziestej drugiej strony.

Beverly Panagoupolos.

Zapisał jej nazwisko siódmego października 1994 roku. Zawsze odnotowywał datę, kiedy dane nazwisko znalazło do niego drogę. To zostało mu zesłane, gdy miał dwadzieścia jeden lat.

Od tej pory minęło tyle czasu. Dziś zapisał je ponownie. W dniu jej śmierci.

Popatrzył na listę. Jest na niej cała Organizacja Narodów Zjednoczonych. Nazwiska ludzi wszystkich narodowości, z całego świata.

W młodości podczas każdych wakacji, gdy znalazł się w jakimś nowym mieście, przeglądał książki telefoniczne, szukając nazwisk, które zapisywał.

Nigdy nie udało mu się trafić na żadne, więc po pewnym czasie zrezygnował.

Dziś jednak wie na pewno, że miał na liście nazwisko kobiety, która została zamordowana. Poczuł dreszcze na myśl, że takich nazwisk może być więcej.

VILLA CASA DELLA FALCONARA, SYCYLIA

Irina leżała w ciemnościach, naga, zmarznięta, przerażona.

Matko Boska, jak długo zamierzają mnie tu trzymać? Co mnie tu czeka?

Czuła na powiekach fakturę miękkiej, jedwabnej opaski, którą zawiązali jej oczy. Nie potrafiła powiedzieć, jak długo to już trwało. Nawet gdy przynosili jedzenie i rozwiązywali ręce, żeby mogła jeść, lub gdy prowadzili ją do toalety, nigdy nie pozwalali zdjąć opaski.

Pragnęła wrócić do domu, usiąść przy frontowym oknie i haftować powłoczki na ślubne poduszki. Przed ślubem z Mariem miała jeszcze do zrobienia pięć.

Czy kiedykolwiek za niego wyjdzie? Czy on jej szuka? Płacze z rozpaczy? Czy jeszcze kiedyś ujrzy jego twarz?

Ciepłe łzy zwilżyły jedwab. Irina zadygotała i w myślach zaczęła się modlić. Każdego dnia wielokrotnie powtarzała tę samą modlitwę.

Boże, gdzie jesteś?

W sierpniowe noce, podczas pełni księżyca, premier Włoch lubił siedzieć w ogrodzie otaczającym jego willę na szczycie wzgórza i palić kubańskie cygara. Ojciec pozwolił mu zapalić takie cygaro w dniu ósmych urodzin. Casa

delia Falconara, skąd rozciągał się widok na antyczny amfiteatr w Segeście, należała do rodziny premiera już od ponad czterech pokoleń. Siedemdziesiąt lat temu jego rodzice urządzili wesele na wielkim tarasie, skąd goście podziwiali wspaniały zachód słońca. Ogród stanowił sanktuarium, gdzie nikt nie ośmielał się mu przeszkadzać.

W gorące sierpniowe noce premier mógł rozkoszować się zapachami dochodzącymi z sadów cytrusowych w dolinie, a równocześnie oglądać greckie i rzymskie sztuki, wystawiane w amfiteatrze.

Tego wieczoru w amfiteatrze panowała cisza i w ogrodzie nie było nikogo, ale w spłowiałych od słońca i wiatru murach willi Eduardo DiStefano podejmował szczególną grupę gości, dwudziestu mężczyzn, przemawiających ściszonymi, pełnymi godności głosami.

Kamerdyner premiera przechodził cicho wzdłuż długiego stołu, przy którym siedzieli goście i nalewał do kieliszków trzydziestopięcioletnie porto. W jego obecności rozmawiano tylko o burzowej pogodzie i wspaniałym, sześciodaniowym obiedzie, który się właśnie zakończył. Gdy do uszu zebranych dobiegł odgłos zamykanych, pięknie rzeźbionych mahoniowych drzwi, Eduardo DiStefano wstał, przekręcił klucz i zaczął przemawiać, jak zwykle z wdziękiem i elegancją.

- Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się dziś wieczór, ponieważ doszliśmy do punktu zwrotnego. Trzydzieści trzy przeszkody zostały już wyeliminowane.

DiStefano na chwilę przerwał. Wyraz jego przenikliwych oczu zdradzał przyjemność, jaką sprawiły mu oklaski zebranych. Był wyjątkowo przystojnym mężczyzną, z wysokim czołem znamionującym inteligencję, mocną szczęką i uśmiechem, który mógłby stopić złoto. Choć zbliżał się już do sześćdziesiątki, w jego ciemnych włosach z rzadka tylko ukazywały się nitki siwizny i pogłębiały one jeszcze wrażenie, jakie wywierał, podobnie jak smoking od Armaniego. Gdy goście klaskali, bawił się

pierścieniem w kształcie splecionych węży, który nosił na środkowym palcu. Czekał na ciszę.

- Co ważniejsze - kontynuował - nasz Wąż jest już bli ski ostatecznego rozwiązania.

DiStefano z uśmiechem zwrócił się do niezwykle eleganckiego złotowłosego mężczyzny, którego bankierska rodzina od wieków sprawowała pieczę nad ich majątkiem. To jego syn odegrał kluczową rolę w identyfikowaniu celów dla Aniołów Ciemności. Dzięki niemu byli już blisko ostatecznego triumfu, na który tak długo czekali.

Znowu rozległy się brawa. Elegant podziękował zebranym skinieniem głowy.

- Słyszałem - ciągnął DiStefano - że twój syn znowu od trzech dni nie wstaje od komputera. Panowie, niewy kluczone, że w tej właśnie chwili jest już bliski najważniej szego odkrycia - poznania trzech ostatnich nazwisk.

Goście wymieniali spojrzenia pełne ekscytacji i podziwu. Od ponad stu pokoleń ich przodkowie na próżno usiłowali dotrzeć do tej tajemnicy, osiągnąć ten cel. Wizja bliskiego sukcesu, pełnego duchowego oświecenia niemal ich oszołomiła. Czuli erotyczne wręcz podniecenie - pragnienie spalenia ciała i wyzwolenia duszy.

- *Salut,* przyjaciele. - DiStefano uniósł kieliszek i spoj rzał w oczy swojemu zastępcy. Alberto Ortega, były se kretarz generalny ONZ, uśmiechnął się szeroko i również podniósł kieliszek. - Przygotujmy się do dalszej drogi - powiedział DiStefano.

Wypił łyk ciemnego, ciężkiego porto. Jak wszyscy, przez chwilę rozkoszował się smakiem. Sama myśl o tym dobrze mu znanym rytuale uspokoiła go i jednocześnie upoiła.

DiStefano dobrze pamiętał dzień, kiedy pierwszy raz został dopuszczony do uczestnictwa. Przez całą poprzedzającą noc nie zmrużył oka, a później do wieczora nic nie jadł.

Ojciec nigdy wcześniej nie zdradził nawet słowem, co

dzieje się w jego pokoju podczas tych specjalnych spotkań odbywających się co pół roku. DiStefano jako dziecko wiedział tylko, że służba przez wiele dni przygotowuje bankiet, w którym nie wolno uczestniczyć nawet matce.

Czasami o piątej rano budził go zgrzyt żwiru pod oponami samochodów, gdy kolejni dygnitarze odjeżdżali drogą wiodącą ze wzgórza niczym gwiazdy znikające przed świtem.

Co oni robili tam tak długo, niemal przez całą noc? Wiedział, że ojciec jest ważnym człowiekiem - wszyscy goście, którzy przyjeżdżali co pół roku, również byli ważnymi ludźmi, nie brakowało wśród nich słynnych przywódców i mężów stanu.

Zupełnie jakby w ich willi na Sycylii odbywała się konferencja ONZ.

Od kiedy po raz pierwszy zobaczył, jak zamykają się rzeźbione podwójne drzwi, a on pozostał w wyłożonym marmurowymi płytami holu, gorąco pragnął uczestniczyć w tej ceremonii, siedzieć u boku ojca, słuchać i upajać się potęgą, która skupiała się w tej sali.

Ale dopiero gdy skończył osiemnaście lat, otrzymał talizman - złoty pierścień, którego nigdy nie zdejmował -oraz został zaproszony do udziału w spotkaniu.

To, co zobaczył, wydało mu się odrażające.

Dziwne, że później tak bardzo polubił rytuał stanowiący ukoronowanie wieczoru. Na szczęście jego ojciec był człowiekiem cierpliwym i odznaczającym się wielką intuicją. Wyjaśnił mu, dlaczego to, co robią, jest konieczne i jak służy wyższym celom. Kobiety, które dostąpiły inicjacji, odegrają kluczowe role, gdy już świat będzie należeć do nich. Specjalnie wybrane, odizolowane - były potrzebnymi i użytecznymi nieświadomymi narzędziami.

Teraz, jeśli DiStefano nie mógł spać w nocy przed ceremonią, nie miało to nic wspólnego z niepokojem.

Wyciągnął opaloną rękę i nacisnął guzik. Ozdobiona boazerią ściana za nim przesunęła się.

W ciemnościach czekała kruczowłosa naga dziewczyna z zawiązanymi oczami.

Kilku mężczyzn zaczęło się kręcić na krzesłach. Już myśleli o czekającej ich boskiej ekstazie. Inni siedzieli nieruchomo i tylko wpatrywali się w dziewczynę sokolimi oczami.

To byli inteligentni, oddani sprawie i potężni ludzie. Podobnie jak ich poprzednicy, w młodym wieku zostali specjalnie wybrani, by pełnić te zaszczytne funkcje, podjąć wyzwanie, uczestniczyć w najśmielszych i najbardziej niebezpiecznych poszukiwaniach.

Nikt poza Kręgiem nie jest od nich mądrzejszy, pomyślał z satysfakcją DiStefano. Nikt z tych głupców zaprzątających sobie głowy materialnym światem nie wie nic o gnozytach.

Dziewczyna została wprowadzona do pokoju.

Alberto Ortega podszedł do szafki, gdzie w szklanej, podświetlonej gablotce błyszczały dwa stare klejnoty podobne do ciemnych gwiazd. Ametyst i szmaragd miały już wiele tysięcy lat. To były dwa z dwunastu odwiecznych klejnotów, które posłużyły za model zodiaku. Ortega ostrożnie wyjął z szafki rytualny puchar i małą, srebrną fiolkę, tak aby nie poruszyć gablotką. Wsypał zawartość fiolki do pucharu. Granulki pokryły widoczny na dnie wizerunek węża z własnym ogonem w paszczy. Przy wtórze jęków dziewczyny z zawiązanymi oczami DiStefano nalał do pucharu wina z kryształowej karafki. Przyglądał się, jak rubinowy płyn wypełnia naczynie i spotyka się z drugim wężem wygrawerowanym w połowie pucharu. Zamieszał wino palcem.

Oczy mu pałały. Gestem dłoni nakazał zdjąć przepaskę z oczu Iriny i nie zwracając uwagi na jej przerażenie, przysunął puchar do drżących warg dziewczyny.

- Nie, proszę - błagała, rozpaczliwie usiłując wykręcić głowę w bok.
- Przestań jęczeć - syknął DiStefano. Chwycił ją za włosy nad karkiem i zmusił do odchylenia głowy.

- Powin-

naś być wdzięczna. Zostałaś wybrana, przed tobą prawdziwa wielkość.

Wlał jej do ust prawie cały puchar gorzkiej cieczy. Dziewczyna patrzyła mu w oczy, a po chwili zaczęła dygotać. DiStefano podał naczynie Ortedze, który wypił symboliczną kroplę i przekazał rytualny puchar Odiam-bo Mofulatsiemu, trzeciemu w hierarchii. Puchar szybko przechodził z rąk do rąk. Wszyscy obecni symbolicznie umoczyli usta.

Ramiona dziewczyny drżały. Nie mogła nad tym zapanować.

Irina miała wrażenie, że przed jej oczami wiruje niezwykły, kolorowy świat. Serce biło tak gwałtownie, że aż ją bolało. Po ramionach wiły się oślizgłe węże. Poczuła zapach męskiego potu.

Widziała kolory, czuła dotknięcie męskich rąk. Była przerażona. Jej krzyk wypełnił pokój.

MARYLEBONE, LONDYN

Czuł bolesne swędzenie zmęczonych oczu. Linie wykresów na dwudziestoczterocalowym, płaskim monitorze zlewały się ze sobą. Trzy dni na krześle, trzy dni analizy kolejnych wykresów, pomyślał ze znużeniem. Trzy dni poszukiwania zbieżności, prób ustalenia trzech ostatnich nazwisk. Jęknął i wyłączył komputer. Dość tego.

Gdyby dalej pracował, nie przyniosłoby to nikomu korzyści. Znał swoje możliwości i wiedział, że już przekroczył wszelkie granice. W całym Londynie nie było dość łez nawilżających śluzówkę, żeby mógł pracować jeszcze choćby godzinę.

Obrócił się wraz z krzesłem i spojrzał na wspaniałe, pełne erotyzmu obrazy Gustava Klimta, pokrywające całą ścianę gabinetu na pierwszym piętrze. Gdy pracował, nie zwracał uwagi na luksusowe otoczenie, podłogę z polero-

wanego hebanu, sprowadzonego z Afryki, dywany ze skóry zebry, tapiserie z Aubusson i rzeźby zakupione w domu aukcyjnym Christie. Gdy był w Oksfordzie, wielu znajomych uważało go za dekadenta - i słusznie. On, jak ojciec i większość członków Kręgu, uczynili z hedonizmu prawdziwą sztukę.

Skoro ciało jest złem, po co je poskramiać? Czemu walczyć z impulsami natury? Zło jest nieodłącznie skojarzone z ciałem - czysta jest tylko dusza, która pragnie połączyć się ze Źródłem. Gdy pracował, był skupiony i poświęcał pracy całą energię. Gdy się bawił, nie odmawiał sobie niczego.

Teraz przyszła pora, żeby się trochę zabawić.

Spojrzał na zegarek - Vacheron Constantin. Zdał sobie sprawę, że na Sycylii już rozpoczęła się tradycyjna ceremonia.

Tego wieczoru będzie miał własną. To go odmłodzi i doda mu sił.

Sięgnął po laskę i wstał z krzesła. Gdy, kulejąc, szedł po marmurowej posadzce korytarza w swoim dwupiętrowym domu przy Blandford Street, zdał sobie sprawę, że od dwudziestu czterech godzin nie miał w ustach nic solidnego. Temu łatwo było zaradzić. Nabrał ochoty, by poczuć na języku coś ostrego.

Gdy dotarł do sypialni, wezwał Gilberta. Postanowił, że najlepsza będzie kuchnia indyjska.

- Zarezerwuj mi miejsce w Tamarind na dziś wieczór -polecił. - Stolik ten co zawsze, o zwykłej porze. Chcę rudą. Podobną do Cate Blanchett. Dopilnuj, żeby była na miejscu pół godziny przede mną.

Wszedł do obszernej garderoby. Każdemu krokowi towarzyszył stukot laski. Zatrzymał się i pomacał rękaw nowego smokingu od Ermenegilda Zegny. Uznał, że będzie dobrze pasował do spinek z szafirami, które kupił niedawno we Florencji.

Rzucił na łóżko ubranie i zdjął z szyi złoty medalion przedstawiający podwójnego Uroborosa - dwa węże zwi-

nięte w ósemkę, zjadające się nawzajem od ogonów. Na tle złota zamigotały ich oczy z diamentów.

Mój talizman Uroborosa jest potężniejszy niż ojca, pomyślał z satysfakcją. Tak być powinno. Przecież jestem Wężem.

Lodowate strugi wody tryskające z granitowych ścian prysznica zaatakowały jego ciało. Jak zwykle zimna woda dodała mu energii. Wtarł szampon w jasne, sięgające ramion włosy, aż pokryły się pianą, a potem wymasował szczotką zmęczone mięśnie ramion.

Koniec świata musi poczekać jeszcze kilka dni, uznał, mydląc pośladki, na których miał wytatuowane dwa czarne, splecione węże.

Kolacja, seks i rozkosz ożywią jego umysł i przygotują go do ostatniej rundy. Już wkrótce cała ta Ziemia z żałosnymi drapaczami chmur, monotonnie szumiącymi fabrykami, śmiesznymi kościołami i rządami z krainy złudzeń zmieni się w eter. To wszystko jest złem, czyste są tylko dusze i Źródło.

Tego wieczoru miał jednak zamiar odsunąć na chwilę na bok dążenie do najwyższej czystości - prawdy egzystencji. Zapomni na pewien czas o poszukiwaniach tych ostatnich trzech cholernych nazwisk i usatysfakcjonuje ciało.

Swoje ciało.

Dla dobra duszy.

ROZDZIAŁ 3

Shen Jianchao Glenda McPharon Hassan Habari Lubomir
Zalewski Donald Walston Rufus Johnson Noelania Trias
HenrihKolenko Sandra Hudson Mzobanzi Nxele

David z wściekłością przerzucał strony notatnika, wybierał nazwiska na chybił trafił i wpisywał je do wyszukiwarki Google.

Do północy zdołał sprawdzić ponad pięćdziesiąt nazwisk. Wiele razy otrzymał krótką odpowiedź „nie znaleziono", a nawet gdy miał liczne trafienia, niewiele się dowiadywał.

Kolejne nazwisko. Maria Dubrawska. Na ekranie pojawiło się kilka połączeń z polskimi gazetami z Krakowa. Dubrawska została zastrzelona podczas snu w hotelu Wysockiego przed dwoma laty. David na próżno szukał dalszych doniesień na temat tej zbrodni. Najwyraźniej sprawcy nie znaleziono.

Jeden Simon Rosenblatt okazał się ofiarą Holocaustu -

zginął w komorze gazowej w Treblince w 1942 roku. Drugi był amerykańskim marynarzem i poległ podczas ataku na Pearl Harbor. David znalazł jeszcze trzech - wszyscy zmarli w latach 1940-1945.

Ciało LaToi Lincoln, pracownicy socjalnej z Detroit, znaleziono na kanadyjskim brzegu rzeki Detroit w 1999 roku.

David błyskawicznie wpisywał kolejne nazwiska. Jego palce tańczyły na klawiaturze.

Donald Walston.

Tym razem doczekał się prawdziwej burzy trafień. Odfiltrował informacje o czterech Donaldach Walstonach: elektryku z Nowego Brunszwiku, pradziadku z tablicy genealogicznej z Afryki Południowej, pisarzu z Birmingham i dentyście z Santa Barbara.

Poczuł, że trzęsą mu się ręce. Wszyscy czterej już nie żyli. Różne lata, różne kraje. Wszyscy poza pradziadkiem z Afryki Południowej zmarli w ciągu kilku miesięcy w zeszłym roku.

Elektryk został zamordowany, pisarz zginął w wypadku samochodowym, którego sprawca uciekł, a dentysta w pożarze.

Do siódmej rano David odfajkował już sto osiemdziesiąt nazwisk ze swojego notatnika. Zdołał znaleźć jakieś informacje o sześćdziesięciu - spośród tej grupy czterdzieści osiem osób nie żyło. Trzydzieści siedem zostało zamordowanych, podobnie jak trzej Donaldowie Walstono-wie, a pozostałe zginęły w wypadkach. Żadna nie zmarła śmiercią naturalną.

David, oszołomiony swymi odkryciami, przyjrzał się liście nazwisk. Ci ludzie pochodzili z całego świata, żyli i umarli w różnych wiekach. Reprezentowali różne narodowości, różne religie, różne zawody.

Wszystkie te nazwiska pochodziły z jego notatnika.

Z jego głowy.

ROZDZIAŁ 4

- Już wiesz wszystko, Dillon. Czy ja zwariowałem?

Ojciec Dillon McGrath przyjrzał mu się pałającymi, niebieskimi oczami. W ciągu czterdziestu pięciu lat życia wiele widział.

- To, że usłyszałeś w głowie nazwisko Beverly Pana-goupolos tego samego dnia, kiedy została zamordowana, a potem znalazłeś je w swoim dzienniku, nie oznacza, że jesteś wariatem - odpowiedział. - Może jasnowidzem, ale nie szaleńcem.

- Gdybym był choć odrobinę jasnowidzem, już dawno wygrałbym na loterii.

Twarz Dillona pomarszczyła się w ironicznym uśmiechu, który sprawiał, że niezliczone kobiety przeklinały jego koloratkę. David zawsze uważał, że ojciec Dillon, z kręconymi, czarnymi włosami i rumianą twarzą, wygląda raczej jak pirat niż jak ksiądz, ale jedynymi grzesznymi słabościami, jakie w ciągu ośmiu lat znajomości zdradził ten mocno zbudowany dziekan wydziału teologii, było upodobanie do glenmorangie i kubańskich cygar z przemytu.

Obaj rozpoczęli pracę w Georgetown University tej samej jesieni. Praktycznie nic ich nie łączyło, ale zaprzyjaźnili się podczas różnych spotkań zawodowych na uczelni i co tydzień spędzali sobotni poranek na poszukiwaniach najlepszych bajgli i wędzonego łososia w Dystrykcie Columbia.

Spoglądając na ściany w gabinecie Dillona, na liczne półki zastawione książkami z dziedziny filozofii, religioznawstwa, metafizyki i wiedzy nadprzyrodzonej, David nie łudził się, że w którejś z nich mógłby znaleźć wyjaśnienie tego, co mu się przydarzyło.

- Od jak dawna zapisujesz te nazwiska? - spytał Dil-lon, upijając kawy z kubka Orioles. - Potrafisz sobie przypomnieć?
- Od drugiej klasy szkoły średniej.
- Co się wtedy zdarzyło, co mogło to zainicjować?
- Nic. - David wstał i zaczął krążyć po pokoju. Nie wiedział, czy jest gotowy głośno powiedzieć, co mu się zdarzyło, choć po to tu przyszedł.
- Wyrzuć to z siebie, David. Znam cię dobrze. Ilekroć zaczynasz chodzić po pokoju, wiem, że w twoim błyskotliwym mózgu wirują tysiące myśli. Nie zmuszaj mnie, żebym je z ciebie wyciągał.
- Teraz mówisz jak ten psychiatra, do którego zaciągnęli mnie rodzice po wypadku.
- Po jakim wypadku? - Dillon pochylił się do przodu.

David ciężko westchnął i osunął się na fotel.

- Gdy miałem trzynaście lat, o mały włos nie zabiłem się w towarzystwie dwójki innych nastolatków. To było dwa lata wcześniej, nim zaczęła się ta historia z nazwiskami. W trójkę spadliśmy z dachu. Miałem zgniecioną klatkę piersiową. Straciłem przytomność i przez chwilę wyglądało, że mnie nie uratują. - David poczuł na sobie badawczy wzrok Dillona. Spojrzał mu prosto w oczy. -Tak - wyprzedził pytanie. - Miałem wrażenie, że jestem w tunelu i widziałem osławione światło.
- Dlaczego mi tego nie powiedziałeś? - Dillon był zdumiony. Wskazał ręką na półki. - Wiesz przecież, że napisałem dwie książki o metafizyce i życiu pośmiertnym, ale nie dałeś mi okazji poszperać w twoim mózgu!
- Przebacz mi, ojcze, bo bardzo zgrzeszyłem - odpowiedział z uśmiechem David, unosząc ręce.

- To doświadczenie stanu bliskiego śmierci musi mieć związek z nazwiskami - odparł Diłlon, kręcąc głową. W jego głosie słychać było podniecenie. - Dwa lata to dla podświadomości tyle co jedno mrugnięcie.

- Skoro tak twierdzisz... - David głęboko westchnął. -Nie znam żadnego wyjaśnienia. Dlatego tu przyszedłem.

- Może lepiej zacznij od początku - zaproponował Diłlon. Odchylił się. - Nie wstrzymuj i nie redaguj swoich myśli. Po prostu powiedz mi o tym doświadczeniu wszystko, co zapamiętałeś.

I David powiedział wszystko. Opowiedział Dillonowi o ważnych gościach ojca, którzy przybyli tego śnieżnego popołudnia do ich domu w Connecticut. Ambasador Szwajcarii Erik Mueller z żoną i synem Crispinem, dwa lata starszym od Davida. David nigdy jeszcze nie spotkał kogoś tak zarozumiałego jak Crispin, ale musiał okazywać mu gościnność.

Crispin był mocno zbudowanym, wysportowanym blondynem. Świetnie jeździł na nartach i przechwalał się, że już w wieku siedmiu lat wspiął się na Matterhorn. Tego wieczoru nie mógł usiedzieć na miejscu; cały czas się popisywał przed najbliższą przyjaciółką Davida, Abby Lewis, która wpatrywała się w niego, jakby był Davidem Bowie.

Wspominając te wydarzenia, David czuł, że wnętrzności mu się przewracają. Crispin rzuca mu wyzwanie - czy odważy się wspiąć na stromy dach dwupiętrowego domu sąsiada. On z udawaną brawurą podejmuje rękawicę. Abby wspina się za nimi, a na jej rzęsach widać topniejący śnieg. David ślizga się na dachu, idąc śladami Crispina, ale udaje, że się nie boi, a odległość od ziemi nie ma dla niego znaczenia.

Potem stopy Abby wyjeżdżają spod niej, a śmiech zmienia się w rozpaczliwy krzyk. David usiłuje ją złapać, macha gwałtownie rękami i popycha Crispina, który traci równowagę. Wszyscy spadają. Twardy, pokryty lodem

grunt rusza im na spotkanie. David ma wrażenie, że leci powoli jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Po chwili jest już tylko cisza i ciemność.

- A potem... - David nie dokończył zdania. Jego głos powoli ścichł. Dillon uniósł brew.
- Co potem?

David był zupełnie roztrzęsiony. Nie cierpiał o tym opowiadać, nie chciał znowu przeżywać poczucia winy, słyszeć głosu ojca, ostrego i zgryźliwego:

„Jak mogłeś zrobić coś tak idiotycznego? Crispin rzucił ci wyzwanie, więc musiałeś to zrobić? Czy zdajesz sobie sprawę, że niewiele brakowało, a już byś nie żył? Ten chłopak może nie obudzić się ze śpiączki do końca życia. Jak mogłeś, Davidzie, nie zastanowić się nad tym? Podobno jesteś taki inteligentny, dlaczego więc nie pomyślałeś?".

Czuł pulsowanie krwi w skroniach. Przypomniał sobie, jak mama uciszyła ojca i odciągnęła go od szpitalnego łóżka. Za późno. Te słowa zawisły między nimi jak stare zasłony, które rozwiesiły pielęgniarki, żeby odgrodzić go od dziennikarzy.

- Z późniejszych wydarzeń pamiętam, że leżałem w szpitalu, czułem potworny ból, byłem podłączony do jakichś kabli i rurek, a lekarze zapewniali, że wyjdę z tego.
- A ty gdzie byłeś? - spytał Dillon, kiwając głową.
- Nie wiem. - David przeczesał włosy palcami. Zmrużył oczy, starając się skupić. - Pamiętam tylko tunel i jasne światło. To samo, co wspominają ci, którzy przeżyli coś takiego. Nic więcej. Przeczytałem wszystko, co napisała o tym Elisabeth Kubler-Ross. Wydaje mi się, że w tym, czego doświadczyłem, nie było nic szczególnego.
- Większość ludzi, którzy dotarli do światła, ma znacznie więcej do powiedzenia - zauważył spokojnie Dillon. -Twoje doświadczenie z pewnością było bogatsze. Tak być musiało. Wypierasz wspomnienia - stwierdził rzeczowym tonem. - Mogę się założyć, że to, co przeżyłeś w tunelu, ma związek z nazwiskami. Już od tylu lat, rok po roku ob-

sesyjnie je zapisujesz. Coś takiego nie może się zdarzyć przypadkiem, zwłaszcza u osoby tak trzeźwej, sprawnie funkcjonującej i rozsądnej jak ty.

- Ale to nieprawda, że ja sprawnie funkcjonuję. O to właśnie chodzi. Czuję się tak, jakbym stopniowo tracił rozum. Ostatnio w mojej głowie pojawia się coraz więcej nazwisk. Jak z tym skończyć?

- Musisz dotrzeć do źródła - odrzekł Dillon, marszcząc brwi. - Jeśli jesteś aż tak zablokowany, musisz skorzystać z pomocy terapeuty stosującego hipnozę.

To był szok. David nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby jego najlepszy przyjaciel doradził mu elektrowstrząsy.

- Spokojnie. Hipnoza to nie żadne hokus-pokus - uspokoił go Dillon. - Alex Dorset pomaga ofiarom prze stępstw i policjantom z Dystryktu Columbia. Jest bardzo cenionym specjalistą i moim przyjacielem. - Szybko za kręcił rolodeksem. - Masz. - Dillon zapisał numer telefo nu i podał mu kartkę. - Oddaję cię w najlepsze ręce.

David popatrzył na kartkę w ręku księdza, ale jej nie wziął.

- Nie lubię takiego grzebania w myślach i uczuciach, Dillon...

- Chyba nie chcesz, żeby nazwiska zawładnęły twoim życiem. Wydawało mi się, że szukasz rozwiązania problemu.

David nic nie odpowiedział, tylko rozmasował sobie skronie. Ostatniej nocy zapisał w notatniku kolejne nazwisko. Starał się o tym nie myśleć.

Dillon wcisnął mu kartkę do ręki.

- Nie ma na co czekać. Dzwoń do Aleksa.

David złożył kartkę i schował ją do portfela.

- Dam ci znać, co z tego wynikło - zapowiedział i wstał z fotela.

- Nawiasem mówiąc - wtrącił Dillon, gdy David zmierzał do drzwi - nie wspomniałeś, co stało się z Abby i Cri-spinem.

- Abby wyszła z tego stosunkowo najmniej poszkodowana - odpowiedział David, krzywiąc usta. - Tylko złamała rękę. Natomiast Crispin...

Urwał, nie kończąc zdania. Dillon czekał w milczeniu.

- Crispin nie odzyskał przytomności. Lekarze twierdzili, że chyba nigdy już się nie obudzi. Rodzina zabrała go do Szwajcarii. Przez jakiś czas ojciec dowiadywał się o jego stan, ale nie było żadnej poprawy. - David pokręcił głową. - Została mi po nim pamiątka. Nigdy jednak nie dowiedziałem się, skąd i dlaczego miał kamień z wyrytymi hebrajskimi literami.
- Co takiego? - zdziwił się Dillon. Przechylił głowę.
- Miał taki gładziutki niebieski kamień. - David wzruszył ramionami. - Agat wielkości winogrona. Gdy rzucił wyzwanie Abby i mnie, prowokując do wejścia na dach, machał nim w powietrzu i przechwalał się, że kamień ten ma moc magiczną i uchroni nas przed upadkiem. Niezła magia, co? - zauważył zgryźliwie.
- Masz jeszcze ten kamień?
- Gdy śnieg stopniał, poszedłem na miejsce wypadku. Nawet nie myślałem o nim, ale gdy zobaczyłem go w trawie, podniosłem i zatrzymałem. Takie drobne przypomnienie, ile może kosztować impulsywne zachowanie.
- Czy wiesz, co jest na nim napisane? - zainteresował się Dillon.
- Pewnie słowa jakiegoś mędrca - prychnął David. -„Pieprzona grawitacja" lub coś takiego.

Gdy David wyszedł, ksiądz przez dłuższą chwilę rozmyślał, patrząc w przestrzeń. W końcu podszedł do półki i zdjął książkę poświęconą magii żydowskiej. Z zaciśniętymi ustami zajrzał do indeksu i otworzył na wskazanej stronie.

Pół godziny później zatrzasnął książkę i sięgnął po telefon.

ROZDZIAŁ 5

W piątek rano David skręcił w D Street i skierował się w stronę Pennsylvania Avenue. Okrążył Kapitol i znowu wjechał na Pennsylvania Avenue. Był piękny sierpniowy dzień. David jechał w ciszy - nie włączył ani radia, ani odtwarzacza. Chciał oczyścić umysł przed sesją z hipnotera-peutą.

Gdy znalazł wolne miejsce, zaparkował i wyłączył silnik. Popatrzył na wysoki biurowiec z nadzieją i lękiem. To miejsce nie wydawało się groźne, dlaczego więc czuł się tak, jakby miał w piersiach kamień?

Na litość boską, człowieku, przecież się wspinasz. To chyba groźniejsze niż godzina hipnozy. Czego się boisz? - myślał.

W tej chwili zrozumiał, co go męczy. Bał się, że ta wizyta nic nie da, że hipnoza niczego nie wyjaśni. Nazwiska wciąż będą pojawiać się w jego głowie i nigdy nie zrozumie, dlaczego tak się dzieje.

David dobrze poznał lęk, gdyż towarzyszył mu on stale przez pewien czas po wypadku. Początkowo strach go paraliżował - bał się wind, otwartych klatek schodowych, kolejek górskich w wesołych miasteczkach. Cierpiał na dokuczliwy lęk wysokości.

Rodzice wysyłali go do różnych psychoterapeutów, ale ostatecznie sam znalazł sposób, żeby to pokonać. Gdy

skończył szesnaście lat, miał już dość stałego lęku i przerażenia, które przeszywało jego wnętrzności. Czuł do siebie wstręt.

Rok wcześniej kilku senatorów, między innymi jego ojciec, otrzymało listy z pogróżkami. Robert Shepherd natychmiast zatrudnił ochroniarzy, którzy mieli strzec jego i pozostałych członków rodziny. Karl Hutchinson, przydzielony do ochrony Davida, kiedyś służył w oddziałach komandosów Marynarki Wojennej. Był inteligentny, niezwykle sprawny fizycznie i odznaczał się zimną krwią. David szybko się z nim zaprzyjaźnił. Towarzystwo ochroniarza nie sprawiało mu przykrości, przeciwnie, z przyjemnością spędzał czas z Hutchem.

Hutch namówił go na siłownię i uczył boksu. Gdy Da-vid zmężniał, nabrał również pewności siebie. Po jakimś czasie, kiedy zagrożenie minęło, ochroniarze zostali przeniesieni do innych zadań, ale David i Hutch nie zerwali znajomości. Gdy David postanowił pozbyć się lęku wysokości, zwrócił się do Hutcha o pomoc.

Rodzice zgodzili się, żeby obaj wyjechali na dwa tygodnie do rodzinnej chaty Hutcha na pustkowiu w Arizonie. Tam David zaczął mierzyć się ze swoim lękiem.

Poprosił Hutcha, żeby wziął go w góry. Najpierw wybrali się na wycieczkę szlakiem turystycznym, wśród skał, krzewów i ostów, ale później David postanowił przełamać swoje ograniczenia. Na jego życzenie podjęli próbę pokonania liczącej tysiąc osiemset metrów stromej ściany Granitowej Góry.

Hutch na szczęście go nie wyśmiał. Za pierwszym podejściem David zdołał przejść tylko trzysta metrów, ale to wystarczyło. Połknął haczyk.

To były dwa najbardziej męczące i podniecające tygodnie w jego życiu. Wrócił do Connecticut ogorzały od

słońca i wiatru, podrapany i pokaleczony, ale postanowił, że będzie się wspinał, aż zdobędzie Granitową Górę. To był dopiero początek.

Pokonał lęk wysokości, a teraz musi zapanować nad lękiem przed nazwiskami.

Gdy wysiadał z samochodu, zadzwonił telefon komórkowy. Usłyszał melodię z *Czarnoksiężnika z krainy Oz* -specjalny sygnał Stacy. Oglądali ten film razem tyle razy, że wciąż mógł recytować dialogi z pamięci.

- Cześć, Manczkin - powiedział z uśmiechem. Spojrzał na zegarek. W Santa Monica dochodziła jedenasta. -Czy o tej porze nie powinnaś być w szkole?

- Przerwa na lunch - wyjaśniła pasierbica. Davidowi zrobiło się przykro. Nie był to już głos małej dziewczynki, który tak dobrze pamiętał. Miała trzynaście lat i mówiła jak typowa nastolatka.

- Muszę ci coś powiedzieć, a nie chcę rozmawiać, gdy w pobliżu kręci się mama.

- To brzmi poważnie. - Odwrócił się plecami do budynku i oparł o samochód. - Co się stało?

- Wszystko.

David usłyszał, jak Stacy ciężko wzdycha. Głos jej drżał. Nie miał pojęcia, co zaraz usłyszy.

- W niedzielę mama znowu wyszła za mąż. Mam nowego ojczyma. - Stacy wypluła to słowo jak niedobre ciastko. - Nie jest taki jak ty.

- Hej, Manczkin, czy jest ktoś taki jak ja? - spróbował zażartować, ale był wstrząśnięty. Rozmawiał z Meredith kilka tygodni temu i nawet nie wspomniała, że z kimś się spotyka. - Nie lubisz go? Może powinnaś dać mu szansę.

- Len jest w porządku, nic do niego nie mam. Dobrze, że namówił mamę, żeby znowu rzuciła palenie. Ale on za bardzo się stara. Prawie go nie znam, a mama zgodziła się, żeby mnie adoptował. To nie jest w porządku. Nawet mnie nie uprzedzili - aż do ślubu nic nie wiedziałam o ich planach.

Adoptował? David był zdumiony.

- Gdyby któryś z mężów mamy miał mnie adoptować, chciałabym, żebyś to był ty - powiedziała Stacy, powstrzymując łzy. - A skoro to jest niemożliwe - dodała zduszonym głosem - dlaczego nie mogłam zachować nazwiska rodzonego ojca i pozostać sobą?

David przeklinał w duchu impulsywność Meredith. Nigdy nie zastanawiała się, jak jej zachowanie wpływa na innych, a zwłaszcza na córkę. Musiał ugryźć się w język, żeby nie okazać irytacji.

- Och, Stace, to trudna sprawa. Bardzo chciałbym ci pomóc.

- To jeszcze nie wszystko. Chcą, żebym pojechała z nimi na rodzinny miesiąc miodowy. To obrzydliwe. Len nawet kupił mi telefon satelitarny, żebym mogła dzwonić do ciebie z Włoch.

David spojrzał na zegarek. Dwie po drugiej. Już się spóźnił na umówioną wizytę.

- Bardzo ci współczuję, kochanie, ale pamiętaj, że mama chce dla ciebie jak najlepiej. Może zadzwonię do niej i spróbuję o tym porozmawiać? Może uda mi się ją przekonać, żebyś przyjechała do mnie na ten czas, kiedy oni będą w podróży poślubnej.

- To nic nie da. Oboje strasznie się zapalili do tego rodzinnego wyjazdu. David, to ty jesteś moją rodziną. Nawet nie wiem, dlaczego rozwiodłeś się z mamą.

David się skrzywił. To prawdopodobnie głównie z jego powodu rozpadło się ich małżeństwo. Meredith twierdziła, że ją zaniedbuje, że ma dość jego zmiennych nastrojów, introspekcji i bólów głowy, których nie chce leczyć. Nigdy tego nie powiedziała wprost, ale David wiedział, że pragnie takiego serdecznego i bezpośredniego kontaktu, jaki nawiązał z jej córką. Jego związek z Meredith - wspaniałą, lekkomyślną Meredith - opierał się głównie na potrzebach seksualnych. Poza sypialnią nie potrafił dać jej tego, czego pragnęła: uwagi, uwielbienia, szczerych roz-

mów o najbardziej intymnych uczuciach. To małżeństwo było pomyłką, jego pomyłką. Najbardziej cierpiała z tego powodu Stacy.

- Dorośli nie zawsze potrafią odpowiedzieć na wszystkie pytania, Stace. Ale jedno chcę ci powiedzieć. Twoja mama i ja rozwiedliśmy się, ale my oboje, ty i ja, wcale nie. Rozumiesz?

- Porozmawiasz z mamą i powiesz jej, że nie chcę nazywać się Stacy Lachman?

Stacy Lachman. David skamieniał. Przez chwilę nie mógł nawet oddychać, a co dopiero mówić. *Stacy Lachman.*

- David? Jesteś tam?

- Taaak... - wykrztusił z trudem. Odkaszlnął. - Jestem, skarbie. Zrobię, co będę mógł, OK? Stace, muszę kończyć. Teraz zrób coś dla mnie - zjedz lunch.

David schował telefon do kieszeni i przebiegł przez ulicę. W całym ciele czuł przeraźliwy chłód. Doskonale znał nazwisko Stacy Lachman. Wielokrotnie coś kazało mu je zapisać w swoim notatniku.

Podbiegł do windy. Serce mu łomotało. Przyjaźń ze Stacy była jedyną wartością, jaka pozostała po jego małżeństwie z Meredith. Trudno w to uwierzyć, ale zaprzyjaźnili się już podczas pierwszego spotkania, gdy Meredith zaciągnęła go na przedstawienie do przedszkola córki. Trzyletnia wróżka ledwo sięgała mu do kolan. Śmiał się, gdy Meredith powiedziała mu, że od kilku tygodni Stacy godzinami ćwiczyła przed lustrem swoje dwie proste kwestie.

David był gotowy ją oklaskiwać, ale tuż przed wielką chwilą mała przyjaciółka Stacy, Emily, zapomniała swojej roli i z płaczem uciekła ze sceny.

Stacy wahała się tylko sekundę, po czym popędziła za nią. W czasie przerwy David i Meredith poszli za kulisy. Stacy trzymała Emily za rękę. Obie dziewczynki i matka Emily śpiewały *Twinkle, Twinkle Little Star.*

- Stacy, zepsułaś przedstawienie! - zarzuciła córce Meredith godzinę później, gdy byli w cukierni. - Dlaczego nie zostałaś na scenie, żeby zagrać swoją rolę?

- Emily płakała - wyjaśniła Stacy między kolejnymi liźnięciami lodów.

- Przecież była tam jej mama.

- Ja byłam bliżej - odpowiedziała Stacy zdecydowanym tonem.

Meredith wydawała się zirytowana, ale David rozumiał Stacy. W oczach trzyletniej dziewczynki, gdy to mówiła, było coś niezwykle czystego. Nie potrafił tego nazwać. Uklęknął i poważnie uścisnął jej rękę.

- Emily powinna być szczęśliwa, że ma taką przyjaciółkę. Może my również się zaprzyjaźnimy.

Recepcjonistka Aleksa Dorseta zapukała do drzwi gabinetu i nacisnęła klamkę. David minął ją i wszedł do jasno oświetlonego słońcem, wyłożonego drewnem pokoju.

Alex Dorset siedział przy biurku i coś pisał. Był to otyły, łysiejący czarny mężczyzna, z wąsami jak u morsa i głęboko osadzonymi, dużymi brązowymi oczami. W gabinecie unosił się zapach cytrynowej pasty do czyszczenia mebli i podłogi, ale panował w nim bałagan. David od razu dostrzegł cztery patery z cukierkami. Z każdego miejsca w pokoju można było łatwo sięgnąć po coś słodkiego.

- Proszę spocząć, panie profesorze - Dorset wskazał pulchną ręką czarną leżankę naprzeciw biurka. - Proszę się zrelaksować. Wydaje się pan zdenerwowany.

- Chcę, żeby mnie pan zahipnotyzował - powiedział David, opierając się o blat. - Od razu.

- Muszę najpierw przeprowadzić wywiad, żeby zebrać informacje. To, co pan mi powiedział przez telefon, było bardzo enigmatyczne. Może najpierw opowie mi pan o tych bólach głowy, o których pan wspomniał?

- W tej chwili bóle głowy nic mnie już nie obchodzą. -Pod wpływem frustracji David uderzył ręką w biurko. Ze zdenerwowania zesztywniał mu kark. - Muszę się dowiedzieć, o co chodzi z tymi nazwiskami.

- Nim zacznę pana hipnotyzować, musi się pan uspokoić - stwierdził Dorset, unosząc brwi. - Proszę, niech pan usiądzie i opowie mi o swojej obsesji.

David zmusił się, żeby usiąść i wyrzucić z siebie skróconą wersję tego, o czym opowiedział Dillonowi. Co ma z tym wspólnego Stacy? Dlaczego ma w notatniku jej nowe nazwisko? Musi się tego dowiedzieć.

- Na podstawie tego, co powiedział mi pan przez telefon, spodziewam się skomplikowanej sprawy. - Terapeuta postukał ołówkiem w blat biurka.

- To rzeczywiście cholernie skomplikowane. Możemy zacząć od razu?

- Możemy spróbować.

David oddychał nerwowo. Zmusił się, by zamknąć oczy. Dorset poczłapał dookoła biurka i usiadł na krześle obok. David wyciągnął się na leżance. Usłyszał trzask klawisza magnetofonu. Dorset zapowiedział, że gdy David się obudzi, będzie się czuł wypoczęty i będzie pamiętał wszystko, co przypomni sobie pod wpływem hipnozy. Kazał mu się skupić na głosie.

Terapeuta mówił łagodnym, niskim i dźwięcznym głosem spikera radiowego.

- Licz od tyłu... pięć... cztery...

David wkrótce doznał wrażenia, że ogarnia go miękka ciemność. Odpływał... już nie czuł napięcia w barkach... zapomniał o niepokoju... przestał myśleć.

Słuchał tego spokojnego głosu i zgodnie z poleceniem wrócił do tej zimy, gdy miał trzynaście lat. Znów był na ośnieżonym dachu pięknego dwupiętrowego domu, a Cri-spin Mueller wspinał się przed nim.

- Abby! Złap mnie za rękę! Abby!

- Abby nic nie jest, Davidzie - powiedział Dorset. - Jesteś teraz w szpitalu. Przy tobie są lekarze. Widzisz ich?

- Widzę siebie. Mam zakrwawioną klatkę piersiową. Lekarze pochylają się nade mną.

- Czujesz ból?

- Nie, nic mnie nie boli. Unoszę się. Obok jest Crispin. Lekarze gdzieś zniknęli. Co to za światło?

- Sprawdź. Idź do światła, Davidzie. Jesteś całkowicie bezpieczny. Powiedz, co widzisz.

Światło, piękne, jedwabiste światło. W świetle jakieś kształty, twarze. Wiele twarzy. Jakieś postacie krzyczą, wyciągają do niego ręce zza świetlistej tęczy. Przygląda się zafascynowany ich twarzom - przezroczystym, wymęczonym, błagającym o coś.

Ich krzyki niemal stłumiły światło. Atakowały go, grzmiały w jego głowie. Nazwiska. Wykrzykiwali swoje nazwiska. Słyszał setki, tysiące nazwisk. Wciąż je powtarzali. Potem udręczone twarze wyśpiewały chórem jedno słowo.

Zechor.

Nagle światło zgasło.

Gdy David otworzył oczy, miał wrażenie, że przyćmione światło w gabinecie Dorseta pali jego czaszkę.

Czuł się tak, jakby pękała mu głowa. Oddychał szybko i płytko.

- Wszystko w porządku, Davidzie?

- To raczej ja powinienem o to spytać, doktorze. - Da-vid z trudem wstał z leżanki.

Dorset podał mu szklankę wody.

- Czy pamięta pan wszystko, co powiedział mi pan podczas hipnozy?

- Każde słowo. - David mocno zbladł. Nie było mu łatwo przetrawić to, co przeżył raz jeszcze. Teraz, zamiast odpowiedzi, miał nowe pytania.

- Zawsze pamiętałem, że coś ciągnęło mnie do świat-

ła, ale zupełnie zapomniałem widoku tych twarzy. I ich krzyki. - David zmarszczył brwi. - Kto to jest Zechor? -spytał, jakby sam siebie. - Wszyscy wypowiedzieli to słowo. *Zechor*.

- Może powinien pan sprawdzić w notatniku - odrzekł terapeuta, przyglądając mu się uważnie. - Powinniśmy również umówić się na przyszły tydzień. Podczas pierwszej próby zaszedł pan wyjątkowo daleko. Następnym razem może uda nam się dotrzeć do innego poziomu.

- Może zróbmy to od razu? Muszę się dowiedzieć, o co chodzi z tymi nazwiskami.

- Nie mogę. To byłoby zupełnie bezproduktywne. Powrót do takich przeżyć ogromnie wyczerpuje psychikę. Musi pan dać podświadomości czas na asymilację tego, co pan zobaczył. Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej.

David wyszedł z gabinetu. Niepokój ściskał mu serce. W drodze do samochodu wyjął komórkę i wybrał numer Dilłona McGratha.

- Dillon? W moim notatniku jest zapisane nazwisko Stacy. Nie mam pojęcia dlaczego. Wielu z tych ludzi zmarło - wyrzucił z siebie. - Co to znaczy „zechor"? Powiedzieli do mnie *zechor*.

- Kto powiedział?

- Ci ludzie. Ci, których widziałem przy końcu tunelu. -David westchnął ciężko. - Były ich tysiące. Wykrzykiwali swoje nazwiska. Potem powiedzieli chórem: *Zechor*.

W telefonie zapadła cisza.

- Znam chyba kogoś, kto może ci to wyjaśnić -odezwał się wreszcie Dillon. - Moim zdaniem, musisz poradzić się rabina. Wiem, że nie masz religijnych skłonności - dodał szybko, nim David mu przerwał. - Wiem, że ostatni raz byłeś w synagodze z okazji swojej bar micwy. Ale jednak ci ludzie zwrócili się do ciebie po hebrajsku.

- Po hebrajsku? - David stanął jak wryty, metr od samochodu. - *Zechor* to hebrajskie słowo?

- To znaczy „pamiętaj". Ci ludzie, których widziałeś w świetle, w tunelu, chcieli, żebyś zapamiętał.
- Co miałbym zapamiętać? - David podrapał się po głowie i spojrzał na chmury.
- To chyba oczywiste, Davidzie - cicho i cierpliwie powiedział Dillon. - Chcieli, żebyś zapamiętał ich nazwiska. I zapamiętałeś.

ROZDZIAŁ 6

- Jesteś geniuszem metafizyki - powiedział David do telefonu. Skręcił w Osiemnastą Ulicę. - Wyjaśnij mi więc, co to znaczy.

- Tego nie potrafię - odpowiedział szybko Dillon. -Mówili do ciebie po hebrajsku, a to moim zdaniem wskazuje, że najlepszym doradcą będzie rabin. Wyjaśnienie, dlaczego chcieli, abyś zapamiętał ich nazwiska, zapewne tkwi w tobie, podobnie jak ich nazwiska. Mam kolegę, który, jak sądzę, będzie w stanie ci pomóc. Rabin Eliezer ben Moshe jest wysoko cenionym kabalistą, znawcą tradycji żydowskiego mistycyzmu. Przeżyłeś mistyczne doświadczenie, Davidzie. Ja mógłbym ci się przydać, gdybyś potrzebował egzorcyzmów.

Kabała? David wiedział tylko, że to nowa *cause celebrę* gwiazd i gwiazdorów filmowych, którzy wiązali czerwone sznurki wokół nadgarstków i przyjmowali hebrajskie imiona.

- Nie chodzi o kabałę w wydaniu Madonny - dodał Dillon, zupełnie jakby czytał w jego myślach. - Do rabina już zadzwoniłem. Zainteresował się nie tylko twoim no tatnikiem, ale również kamieniem, który znalazłeś po wy padku. Gdy będziesz jechał do Brooklynu, weź ze sobą notatnik i kamień. Prosił, żebyś od razu przefaksował mu kilka stron z nazwiskami. Chce się im przedtem przyj rzeć.

David zmarszczył brwi. Skręcił ostro w prawo. Słuchając Dillona, zastanawiał się gorączkowo.

- Ben Moshe pochodzi ze starego rodu uczonych rabinów, którzy całe życie poświęcili badaniu kabały i poznawaniu jej uniwersalnych tajemnic.

Uczeni rabini. Te słowa przypomniały mu coś z dzieciństwa. Matka opowiadała mu o swoim przodku, słynnym mistyku Reb Zalmanie z Kijowa. Podobno potrafił równocześnie nauczać w dwóch miastach, oddalonych o setki kilometrów. David zawsze sądził, że mama wymyślała te historie.

- Nabierasz mnie, prawda?

- Davidzie, w życiu zdarzają się rzeczy, których nie możesz mierzyć naukowymi metodami i badać empirycznie. Postaraj się być otwarty.

David westchnął głęboko.

- Nie jestem przekonany... - zaczął.

- Masz lepszy pomysł? - przerwał mu Dillon.

- Daj mi ten adres w Brooklynie - poprosił David, pocierając czoło. Zastanawiał się, co powie dziekan Myer, gdy usłyszy o jego pilnym wyjeździe do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ 7

Gdy David wysiadł z taksówki na Avenue Z w Brooklynie, płyty trotuaru zmywał gęsty deszcz. Zarzucił na ramię podróżną torbę i wbiegł na schody niczym niewyróżniają-cej się kamienicy na rogu. Nacisnął dzwonek, a potem przyjrzał się przymocowanej do futryny ozdobnej, srebrnej mezuzie. Był na miejscu - w Centrum Bnej Israel.

Drzwi otworzył szczupły, dość młody mężczyzna, ubrany w białą koszulę, czarne spodnie i czarną szydełkową jarmułkę. Przeprowadził Davida przez korytarz, który najwyraźniej kiedyś stanowił część prywatnego mieszkania. Centrum znajdowało się w kamienicy mieszkalnej przerobionej na biurowiec.

- Jestem rabin Tzvi Goldstein, asystent rabina ben Mo-shego - przedstawił się. Zaprowadził Davida do sali lekcyjnej, gdzie na krótszej ścianie wisiała szeroka tablica, a wzdłuż dłuższych boków stały półki z książkami. David przyjrzał się ich grzbietom. Wyłącznie hebrajskie tytuły. W sali przyjemnie pachniało kredą, starą skórą i woskiem do podłogi. - Badaliśmy już strony z notatnika, które przefaksował pan rabinowi ben Moshemu - powiedział rabin Goldstein z uśmiechem, z trudem skrywając podniecenie. - Rabin bardzo chce pana poznać.

Dobrze. Może wreszcie się czegoś dowiem, pomyślał David.

Ostatnio, ilekroć brał do ręki notatnik, nieuchronnie

spoglądał na strony, na których zapisał nowe nazwisko Stacy.

I coraz bardziej się denerwował.

- Czy może napije się pan herbaty, a ja zawiadomię rabina, że pan przyjechał?
- Nie, dziękuję.

Młody rabin wyszedł. David schował ręce do kieszeni i podszedł do jedynego okna. Widok ulicy był zupełnie rozmyty przez ściekające po szybach strużki wody. David przypomniał sobie wybuch na irańskim tankowcu, który zobaczył w telewizji, gdy czekał na lotnisku. Miał wrażenie, że ostatnio we wszystkich programach informacyjnych podają tylko złe wiadomości.

Drgnął zaskoczony, gdy spokojny głos z tyłu przerwał mu rozmyślania.

- *Szalom,* Davidzie. Proszę, chodź ze mną. Porozmawiamy na górze, w moim gabinecie.

David trochę się zdziwił. Spodziewał się akcentu rosyjskiego lub jidysz, a tymczasem rabin mówił tak, jakby pochodził z Nowej Anglii. Skrzypiący głos pasował do wychudłej postaci. Rabin Eliezer ben Moshe był drobnej budowy, wydawał się stary jak stojące na półkach książki. Miał gęste szpakowate włosy i długą srebrzystą brodę, która tworzyła jasną chmurę na piersi. Gdy David szedł za nim po wysłanych chodnikiem schodach, zdał sobie sprawę, jak bardzo wychudzony jest gospodarz. Czarna marynarka zwisała luźno z ramion. Wydawała się o dwa numery za duża, tak jakby właściciel skurczył się od czasu, kiedy ją kupił.

Natomiast orzechowe oczy rabina wciąż były przenikliwe, pełne ciekawości i nadziei. Patrzył przez chwilę, jak gość siada na krześle w ciasnym gabinecie.

- Czy przywiózł pan dziennik i ten kamień?

Nie traci czasu na wstęp, pomyślał David. Sięgnął do torby podróżnej po notatnik. Oczy rabina błysnęły, gdy zobaczył oprawiony w czerwoną skórę, gruby notes. Kiedy

David wyciągał z kieszeni kamień, zauważył, że koło komputera rabina leżą przefaksowane strony. Były na nich jakieś notatki, ale nie mógł ich odczytać.

Rabin wyciągnął zdeformowaną przez artretyzm rękę po kamień. Po krótkiej chwili wahania David wręczył mu klejnot.

Rabin ben Moshe w milczeniu wpatrywał się w gładki, niejednorodny kolorystycznie agat. Gdy wciągnął powietrze, jego pierś lekko drgała.

- Nie ma faset - szepnął i szybkim ruchem wyjął z szu flady szkło powiększające.

David obserwował rabina, jak obraca kamień, ogląda i bada go uważnie.

Ze wszystkiego, co się zdarzyło, najbardziej dziwiło go, dlaczego ten kamień, przedmiot, który trzymał na biurku od trzynastego roku życia, miałby mieć jakieś szczególne znaczenie. Rabin muskał jednak palcami wyryte na kamieniu hebrajskie litery z takim szacunkiem i podziwem, że David poskromił niecierpliwość, z jaką czekał na wyjaśnienie sprawy nazwisk.

- To stary, święty kamień - powiedział w końcu rabin, patrząc Davidowi w oczy. - Niech pan zwróci uwagę, jak go oszlifowano. Jest zaokrąglony i lśniący. Wypolerowano go, ale nie ma płaskich powierzchni odbijających światło. To bowiem kaboszon. Aż do średniowiecza tak szlifowano wszystkie klejnoty.

David jeszcze raz spojrzał na mleczny niebieski kamień, który tak beztrosko umieścił w ręku ceramicznej małpki.

- Chce pan powiedzieć, że pochodzi z czasów średniowiecznych?
- Ależ nie. Jest znacznie starszy. Ma tysiące lat, pochodzi z czasów biblijnych.

Z czasów biblijnych. David był zdumiony i sceptyczny. Jak Crispin Mueller miałby wejść w posiadanie kamienia z czasów biblijnych?

- Powiedziano mi, że ma magiczną moc. - David oczekiwał, że rabin wybuchnie śmiechem.

- Potwierdza to napis, który się na nim znajduje.

Ben Moshe, nie odrywając wzroku od agatu, zamknął kamień w dłoni i wyszeptał hebrajską modlitwę.

- Jest pan Żydem. Czy rozumie pan modlitwę Szehechejanu? Podziękowałem właśnie Bogu, że pozwolił mi dożyć tej chwili.

David poczuł mrowienie na plecach. O czym on mówi? Co w tym nadzwyczajnego? Co kamień Crispina ma wspólnego z tym, że w moim notatniku znalazło się nazwisko Stacy?

Rabin ostrożnie położył kamień obok dziennika.

- Powiedział pan, że to magiczny kamień. W jakim sensie? - spytał David, pochylając się do przodu.

- Należy do wyjątkowego zbioru dwunastu kamieni. Powiedziałeś mi przez telefon, że nie jesteś religijny, Da-vidzie, ale zakładam, że wiesz, kim był Mojżesz.

- To wiem - przytaknął David.

- A jego brat Aaron, arcykapłan?

- Z tym już gorzej.

David zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, przyjeżdżając do Brooklynu. Zamiast dowiedzieć się czegoś o nazwiskach, dawał się wciągać w dygresje na temat klejnotów i Biblii. Gdy z trudem hamował niecierpliwość, jego spojrzenie znów padło na agat. Nagle przypomniał sobie, dlaczego go zachował - miał mu przypominać, żeby zawsze się zatrzymał i pomyślał nim coś zrobi. Powstrzymał się od zadania pytań na temat notatnika i skupił uwagę na słowach rabina.

- W Księdze Wyjścia - kontynuował ben Moshe - czytamy, że Aaron był pierwszym arcykapłanem, czyli zajmował najwyższe stanowisko w żydowskiej społeczności, oraz że Bóg nakazał Mojżeszowi, aby sporządził bratu trzy święte szaty: pektorał, efod i suknię wierzchnią.

- Z tym już całkiem źle - wzruszył ramionami David. -Efod? Co to takiego?

- To inne określenie lnianego fartucha, jaki Aaron nosił podczas świętych obrzędów. Dla nas jednak najważniejszy jest pektorał - stwierdził rabin. - Został wykonany według wskazówek, jakie Bóg dał Mojżeszowi. Był kwadratowy, utkany ze złotych nici, z fioletowej i czerwonej purpury, z karmazynu i kręconego bisioru.

Ben Moshe spojrzał na Davida i wyjaśnił.

- Jak mówi Księga Wyjścia, ilekroć Aaron wchodził do najświętszej części Świątyni, żeby modlić się do Boga, miał nakazane nosić na sercu pektorał z imionami synów Izraela, czyli nazwami dwunastu plemion. Nazwy zostały wyryte w dwunastu szlachetnych kamieniach, osadzonych w złocie i przyszytych do pektorału złotymi nićmi.

- Pan twierdzi, że ten agat to jeden z tych kamieni? -David domyślił się, do czego zmierza ben Moshe. Nie mógł w to uwierzyć.

- Niech pan przeczyta, co jest na nim napisane -odrzekł rabin. Wziął do ręki kamień i obszedł biurko.

- Niewiele pamiętam z lekcji hebrajskiego.

Ben Moshe, nie zwracając uwagi na to wyznanie, podniósł kamień do oczu Davida i wskazał pięć maleńkich liter od prawej strony do lewej.

- *Nun, pe, taw, lamed, jud** - przeczytał. - Naftali to protoplasta jednego z dwunastu plemion Izraela.

- To znaczy, że każdemu plemieniu przypisany był jeden kamień?

- Właśnie. Każdemu inny. Imię Naftali, będące nazwą jego plemienia, zostało wyryte w agacie, kamieniu zapewniającym ochronę, zapobiegającym upadkom...

David parsknął śmiechem.

* Spółgłoski z imienia Naftali

- A to szkoda, że nie zadziałał. Ten kamień trafił do mnie - wyjaśnił rabinowi - ponieważ poprzedni właściciel uważał, że jego magiczne właściwości uchronią nas przed upadkiem z pokrytego śniegiem dachu. Ale nie uchroniły.

Rabin bynajmniej się nie speszył. Spojrzał na Davida wyblakłymi, brązowymi oczami i spokojnie odpowiedział.

- Później chciałbym się dowiedzieć więcej o osobie, do której należał. Na razie wiem tylko, że człowiek ten najwyraźniej nie rozumiał natury tego kamienia. Ten klejnot - podobnie jak pozostałe - służy wyższym celom. Nigdy nie miał chronić pojedynczej osoby, lecz Dzieci Izraela i cały świat. Dwanaście kamieni z pektorału to wyraz miłosierdzia Boga dla Jego dzieci. - Rabin westchnął głęboko. - Jesteś tu dziś, w moim gabinecie, nie bez przyczyny, Davidzie. To nie przypadek. Tak samo nie jest przypadkiem, że znasz nazwiska, które zapisałeś w notatniku i masz ten święty kamień. - W oczach rabina widać było niepokój. Zdawał sobie sprawę z wielkiej pilności tej sprawy. - Czy mogę zobaczyć notatnik?

Davida ogarnęło poczucie nierzeczywistości. Rabin otworzył notatnik na pierwszej stronie.

To wszystko musi być wynikiem jakiegoś nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności. Przecież wszedł w posiadanie tego kamienia tylko na skutek wypadku...

Wypadek.

Na skutek tego samego wypadku, pomyślał, poznał te nazwiska.

Kamień i nazwiska.

Czy między jednym i drugim rzeczywiście istnieje jakiś związek? - zastanowił się.

- Jestem przekonany, że to nazwiska ludzi, których wiedziałeś, gdy otarłeś się o śmierć - powiedział ben Moshe, kręcąc w palcach długą brodę. Jego głos brzmiał jeszcze bardziej złowieszczo niż przedtem. David poczuł mrowienie na plecach.

- Kim oni są i dlaczego mam w głowie ich nazwiska?
- Możesz sobie z tego kpić, Davidzie, ale nawet niewierzący mogą doświadczać mistycznych przeżyć. I ty właśnie doświadczyłeś. Odpowiedzi na twoje pytanie należy więc szukać w kręgu mistyki. Nie jesteś pierwszym człowiekiem, który spisał te nazwiska. Nie są to też nazwiska przypadkowe, lecz bardzo szczególne. Bardzo, bardzo szczególne.

W mieszkaniu na drugim piętrze nad kawiarnią Java Juice w innej części Brooklynu mężczyzna w koszulce z wizerunkiem Eminema, w założonej daszkiem do tyłu bejsbolówce drużyny Yankee i ze słuchawkami na uszach zmniejszył natężenie dźwięku. Usłyszał już dość.

Podniósł słuchawkę telefonu zabezpieczonego przed podsłuchem i nacisnął klawisz ponownego wybierania numeru. Wokół niego migotały ekrany monitorów supernowoczesnego centrum komunikacyjnego. To był raj dla komputerowego maniaka. Siedząc przy konsoli w kształcie podkowy, mógł podsłuchiwać rozmowy na trzech kontynentach i śledzić bieg historycznych zdarzeń, podczas gdy dwa piętra niżej nałogowcy niemogący obyć się bez kofeiny tłoczyli się, byle tylko dostać kolejną porcję tego świństwa.

- Co nowego? - rzucił do słuchawki potężny blondyn, siedzący z tyłu furgonetki ze znakiem firmowym piekarni, zaparkowanej przy Avenue Z. James Gillis był rozdrażniony, swędział go tyłek od siedzenia i czekania na sygnał. To było jego pierwsze wystąpienie w roli Anioła Ciemności i chciał pokazać, co potrafi.
- Do diabła, Sanjay, jak długo mamy tu sterczeć? She-pherd jest tam już od czterdziestu minut.
- Tylko nie spieprz roboty, pyszałku. Oto rozkaz. She-pherd ma przy sobie kamień i notatnik. Masz je zdobyć. Gdy już ich załatwicie, znajdźcie ten cholerny sejf. Musi my dostać wszystko, co ten stary Żyd w nim trzyma.

- *Noproblemo* - odpowiedział Gillis, zerkając na Enriąue, ślusarza z Portoryko, który pod marynarką od Armaniego nosił pas z narzędziami i glocka. Enriąue siedział obok niego i wpatrywał się w spływające po szybie krople deszczu. Zawsze zachowywał zimną krew - był równie cierpliwy i opanowany jak mafijny morderca.

Sanjay sprawdził, czy magnetofony cyfrowe po lewej stronie konsoli wciąż rejestrują rozmowę.

- W takim razie - powiedział, znowu podkręcając poziom głośności i powracając do śledzenia rozmowy - na przód, Aniołowie Ciemności. Macie zezwolenie na start.

ROZDZIAŁ 8

- Nazwiska, które zapisałeś... - rabin położył rękę na leżących przy komputerze kartkach, przefaksowanych przez Davida - to te same nazwiska, które są zapisane na starożytnym papirusie znalezionym na Bliskim Wschodzie.

David miał wrażenie, że pod jego krzesłem rozsunęła się podłoga.

- Nie może być.

- Właśnie dziś rano otrzymaliśmy potwierdzenie. Posłuchaj, nim się wypowiesz - skarcił Davida ben Moshe. -Te nazwiska, wszystkie, które zapisałeś w notatniku, po raz pierwszy zostały spisane tysiące lat temu. Spisał je Adam.

Rabin uniósł dłoń, tak jakby David chciał protestować.

- Kabała mówi, że Adam skopiował boską Księgę imion to znaczy nazwy ptaków, zwierząt, wszystkich ży wych stworzeń, dla siebie i swoich synów. Oni przekazali ją swoim synom, i tak przechodziła z pokolenia na poko lenie, aż trafiła w ręce Mojżesza.

David zerwał się z krzesła. Nie mógł dłużej zapanować nad sobą. To było zbyt niewiarygodne.

- Z całym szacunkiem, rabbi, ale trudno uwierzyć, że Adam, będąc w ogrodzie Edenu, znał nazwisko mojej pa sierbicy. - Sięgnął po dziennik i zaczął głośno czytać przy padkowo wybrane nazwiska. - Lub Shena Jianchao. Noe-

lanii Trias. Beverly Panagoupolos. - Rzucił notatnik na biurko. - Niechże pan da spokój.

- Nie oczekuję, że od razu to wszystko zrozumiesz - odparł rabin, bynajmniej niezbity z tropu. - Badanie ka bały to zajęcie na całe życie. Zrozumienie tajemnic Tory wymaga dojrzałego umysłu i wielu lat pracy. W dawnych wiekach sekrety te znali nieliczni, a rabini przekazywali je tylko swym najbardziej oddanym uczniom. Jednakże ja, Davidzie, poświęciłem tej pracy całe życie, zajmuję się tym od ponad sześćdziesięciu lat. Tego, co chcę ci powie dzieć, jestem tak pewny, jak swojego nazwiska.

David nagle przypomniał sobie opowieści matki o jej pradziadku, wielkim mistyku Reb Zalmanie.

- Słucham więc - powiedział.

- Słuchaj mnie uważnie - pokiwał głową ben Moshe. -Mojżesz otrzymał kopię Księgi imion, która należała do Izaaka, jednego z dwóch synów Abrahama. Księga ta była przechowywana w skarbcu Świątyni w Jerozolimie. Gdy w siedemdziesiątym roku Rzymianie zburzyli Świątynię, wywieźli wszystkie skarby do Rzymu, a Księga imion zaginęła, wraz z pektorałem arcykapłana. A razem z pektorałem - opowiadał rabin cichym głosem - zaginęły też kamienie dwunastu plemion Izraela.

David spojrzał na kamień leżący na biurku. Myśli mąciły mu pytania, ale hamował się i słuchał skrzypiącego głosu rabina.

- Kopie należące do drugiego syna Abrahama, Ismae- la, brata przyrodniego Izaaka, trafiły do rąk synów uro dzonych mu przez nałożnice. Te papirusy pogrzebały piaski pustyni. W ciągu wieków zaginęły wszystkie eg zemplarze Księgi imion. W ostatnich latach archeolodzy odnaleźli jednak w Egipcie i innych miejscach na Bliskim Wschodzie fragmenty księgi, które ich zdaniem zostały skopiowane z papirusu Ismaela. Z pomocą historyków i matematyków usiłują połączyć je w całość. Skontakto wałem się z ekspertami, żeby porównać strony z twojego

dziennika z różnymi fragmentami przechowywanymi w Izraelu.

David z trudem przyswajał sobie pełne znaczenie informacji rabina.

- Czy znaleziono różne egzemplarze księgi Adama?
- Tak sądzimy. Odkryto papirusy aramejskie, koptyj-skie i hebrajskie...
- Dlaczego? Wydawałoby się, że wszystkie powinny być po hebrajsku?
- Nie - pokręcił głową rabin. - Matka Ismaela, Hagar, nie była Żydówką, dlatego jego potomkowie kopiowali Księgę, używając języków arabskich. Wprawdzie w wielu papirusach znaleziono identyczne fragmenty, ale nikt jeszcze nie odtworzył pełnego tekstu. Jednakże - w jego oczach pojawił się błysk - niektórzy uważają, że jesteśmy już blisko.
- Czyli nadal są prowadzone wykopaliska archeologiczne? - spytał David, pochylając się do przodu.
- Ależ tak. - W głosie rabina pojawił się ostry ton. -Niestety, nie tylko my szukamy brakujących fragmentów. Są też inni, którzy starają się jak najszybciej odtworzyć całą Księgę, żeby poznać wszystkie nazwiska. To źli ludzie, Davidzie. Nieprzyjaciele Boga.

David w zdumieniu przeciągnął ręką po włosach. Deszcz coraz mocniej bębnił o szyby.

- Co to za ludzie?
- Gnozyci.

Davidowi niewiele to mówiło. Rabin ben Moshe obszedł biurko i splótł ręce na piersiach. Jego twarz przybrała ponury wyraz.

- Gnozyci to tajne stowarzyszenie, wywodzące się z dawnego, przedchrześcijańskiego kierunku filozoficzno--religijnego, gnostycyzmu. To jedna z nielicznych organi zacji kontynuujących gnostycką tradycję, które przetrwa ły do naszych czasów. Ta sekta jest dziś bardziej aktywna i tajemnicza, niż była przed wiekami.

David słyszał o gnostycyzmie. Pamiętał, że Dillon wspomniał o gnostykach, gdy kiedyś podczas sobotniego śniadania dyskutowali o pochodzeniu religii, zajadając bajgle z serem.

- To hedoniści, tak? - próbował sobie przypomnieć. Na zewnątrz rozległ się grzmot. - Uważali, że ludzie są uwięzieni w pułapce złych ciał, zgadza się?

- Tak. Oraz że każda dusza może wykorzystać pewną wrodzoną wiedzę - coś jakby drabinę - żeby wznieść się duchowo i uwolnić z cielesnych więzów.

- I dotrzeć do nieba?

- Niezupełnie, Davidzie. - Ben Moshe westchnął ciężko. - Nazwa stowarzyszenia wywodzi się od greckiego słowa *gnosis,* czyli wiedza. Gnozyci wierzą, że jeśli zgromadzą dostateczną wiedzę, zdołają pokonać Boga. I właśnie do tego dążą.

David chciał zadać wiele pytań, ale nim zaczął, rozległo się pukanie do drzwi i zajrzał Goldstein.

- Proszę wybaczyć, rabbi. Przyjechała Jael HarPaz.

- Dobrze, dobrze. Przyślij ją na górę, Tzvi. - Ben Moshe wrócił na swoje miejsce. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu. Zaprosiłem specjalistkę od starożytności, żeby do nas dołączyła. To znakomity izraelski archeolog z Safedu. Przyleciała dziś rano.

- Proszę posłuchać, rabbi. - David uniósł ręce. - Ta sprawa staje się coraz bardziej skomplikowana. Nie chciałbym zejść z głównej drogi. Zanotowałem w dzienniku nazwisko mojej pasierbicy i to mnie bardzo niepokoi. Jeśli pan wie, proszę przejść do rzeczy i powiedzieć mi, dlaczego tak wielu zmarłych chce, żebym zapamiętał ich nazwiska!

- Właśnie do tego zmierzamy, Davidzie. Proszę, bądź cierpliwy. Musisz zrozumieć, że bierzesz udział w czymś bez porównania ważniejszym, niż możesz sobie wyobrazić. O ile mi wiadomo, jesteś doktorem nauk politycznych i znanym specjalistą w tej dziedzinie. Zapewniam cię, że

w swojej dziedzinie wiedzy jestem równie kompetentny jak ty w swojej. To samo dotyczy Jael HarPaz.

Nim David odpowiedział, w progu pojawiła się wysoka, szczupła kobieta w długiej, lekkiej, czarnej spódnicy, dopasowanym jedwabnym zielonym żakiecie i nieprzemakalnym płaszczu koloru kości słoniowej. Zdecydowanym krokiem weszła do gabinetu rabina. Na ramieniu miała skórzaną torbę koloru miedzi. David od razu zwrócił uwagę na jej egzotyczne kości policzkowe i wydatne usta, z bardzo delikatnym śladem szminki. Ocenił ją na jakieś trzydzieści lat. Sądząc po długich miedzianych włosach, związanych w luźny węzeł, oraz po śniadej cerze, była sa-brą, czyli rodowitą Izraelką.

- Jael, pozwól, że przedstawię Davida Shepherda, o którym ci opowiadałem. Davidzie, to Jael HarPaz.

Kobieta obrzuciła Davida badawczym spojrzeniem i postawiła torbę na podłodze. Gdy wymienili uścisk dłoni, rozległ się brzęk jej srebrnej bransoletki.

- *Szalom.*

Mówiła z wyraźnym hebrajskim akcentem, a jej głos był równie atrakcyjny jak cała postać.

- Wybrała się pani w daleką podróż z mojego powodu. Nie bardzo rozumiem dlaczego.
- Przyjechałam zobaczyć ten kamień. Czy pan go przywiózł?

Jej autorytatywny ton zaskoczył Davida. Po chwili obrócił się w stronę biurka, podniósł agat i jeszcze raz mu się przyjrzał.

- Czy pani również sądzi, że pochodzi z pektorału arcykapłana?
- Mogę go zobaczyć? - Gdy David podał kamień, ciemne zielone oczy Jael zabłysły. Obracała agat i oglądała ze wszystkich stron jak przedtem rabin ben Moshe.
- Naftali - powiedziała, nie kryjąc podniecenia. Rabin się uśmiechnął.
- Dobrze - wtrącił David, wzdychając głęboko. - Przyj-

mijmy dla jasności wywodu, że to rzeczywiście kamień z oryginalnego pektorału. Gdzie są pozostałe? Czy coś o nich wiadomo?

- Cztery znajdują się w bezpiecznym miejscu w Jerozolimie - powiedziała Jael. Zerknęła na rabina, wyraźnie oczekując na coś jeszcze.

- Ja mam tu jeden - przyznał ben Moshe. - To bursztyn, kamień lewitów.

Mówiąc to, rabin podszedł do półki bibliotecznej i odsłonił sejf.

- Trafił do mnie z sefardyjskiej synagogi w Detroit. Pewien Żyd z Tunezji kupił go na rynku w Kairze, ale nie miał pojęcia, co to takiego. Do Stanów Zjednoczonych przywiózł bursztyn jego syn. Miesiąc temu pokazał klejnot swojemu rabinowi, który skontaktował się ze mną.

Rabin wyjął z sejfu starą skórzaną torbę i sięgnął do środka. Wyciągnął futerał z aksamitu i wydobył z niego kamień takiej samej wielkości jak agat Davida. Gdy rabin położył bursztyn obok agatu, David wstrzymał oddech. Kamienie były nie tylko identycznej wielkości, ale i dokładnie tak samo oszlifowane. Nie ulegało wątpliwości, że hebrajskie litery wyryła na nich ta sama ręka.

To wszystko działo się zbyt szybko. Kamienie, nazwiska, nazwy na kamieniach, Crispin, Stacy, jego notatnik. Gdy rabin odezwał się znowu, David usiłował zebrać myśli.

- Zamierzałem w przyszłym tygodniu zawieźć ten bursztyn do Izraela, ale dzięki twojej wizycie mogę uniknąć podróży. Nie ulega wątpliwości, że oba kamienie muszą znaleźć się w bezpiecznym miejscu w Jerozolimie, nim przydarzy im się coś złego. Jael?

Ben Moshe podniósł kamienie i chciał je podać uczonej, ale wypadły mu ze zdeformowanych palców i potoczyły się pod biurko. David ukląkł, by je odnaleźć.

Pod biurkiem zobaczył coś, co bardzo go zaskoczyło.

- A cóż to takiego? - zawołał, patrząc na malutki, srebrzysty odbiornik przymocowany od spodu do blatu biur-

ka. - Nagrywał pan naszą rozmowę? - spytał gniewnie rabina. Podniósł kamienie i wstał. Jego słowa zaalarmowały Jael.

- Co ty mówisz? - zdziwił się ben Moshe.

Rabin jeszcze nie skończył, a Jael już klęczała, zaglądając pod biurko. Wyrwała urządzenie podsłuchowe. Mimo opalenizny widać było, jak zbladła.

- Oni wiedzą - powiedziała, patrząc w oczy przerażonego rabina.
- Szybko. - Ben Moshe drżącymi rękami zawiązał torbę. - Weź to i uciekaj...

W tej chwili na parterze rozległ się huk. David przez chwilę myślał, że to wystrzał z tłumika samochodu, ale sekundę później usłyszał krzyk.

- Uciekaj, rabbi! Uciekaj! - dobiegł ich z dołu donośny głos rabina Goldsteina. W całym budynku słychać było kolejne strzały.
- Schowaj kamienie, Davidzie! - krzyknął rabin, równocześnie wciskając torbę w ręce Jael. Do ich uszu dotarło dudnienie ciężkich kroków na schodach. - Schody ewakuacyjne! Szybko! Bierzcie to. Jeśli Bóg pozwoli, wszystko później wyjaśnię, ale teraz uciekajcie!

Rabin podbiegł do drzwi, żeby zamknąć je na klucz. David schował kamienie do kieszeni spodni, wrzucił notatnik do podróżnej torby i zarzucił ją na ramię. Jael już otwierała okno.

- Pan pierwszy. - David chwycił rabina za ramię i pociągnął w kierunku schodów ewakuacyjnych, ale ten się uwolnił.
- Nie, Davidzie, ty uciekaj pierwszy. Już! - powiedział spokojnie. - Jael, zabierz go do Safedu. On zna nazwiska. Zna nazwiska lamed wowników.
- Chodź! - zawołała Jael, która już zdążyła przełożyć nogi na zewnątrz.
- Idź! - przynaglił go ben Moshe. Napastnicy już rozwalali drzwi.

David poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Pochylił głowę i wyskoczył przez okno na schody ewakuacyjne. Deszcz ciął go w twarz. Jael była już w połowie schodów. David się zawahał. Podał rękę rabinowi, który usiadł na parapecie i chciał przełożyć nogi na drugą stronę. Wtedy napastnicy wyważyli drzwi. Rozległy się strzały. Rabin jęknął i pochylił się do przodu, a na jego siwej brodzie pojawiły się czerwone plamy.

- Uciekaj, David! - krzyknęła Jael.

Przez ułamek sekundy patrzył ze zgrozą na rabina, po czym pobiegł w dół. Niewiele brakowało, a przewróciłby się na mokrych metalowych stopniach. Zerknął do góry. Jakiś potężny blondyn kopniakiem zepchnął na bok ciało rabina i celował do Davida z rewolweru.

David zrobił unik. Kula odbiła się od ceglanego muru. Rzucił się pędem za Jael. Blondyn strzelił jeszcze raz, ale znowu chybił. Ruszył za nimi w pogoń.

Biegli w gęstym deszczu. Jael skręciła w przecznicę i niemal zderzyła się z kobietą walczącą z parasolem i torbami pełnymi zakupów.

- Niech pani uważa! - wrzasnęła tamta, ale Jael nie miała czasu przepraszać.

Wpadła między dwa budynki. David za nią. Doganiał ją. Jael przecinała ulicę, witana wyciem licznych klaksonów. Kolejna kula trafiła w tylne koło furgonetki firmy kurierskiej. Samochód wpadł w poślizg i ruszył prosto na Davida.

David rzucił się gwałtownie do przodu i upadł na chodnik. Jael podała mu rękę i pomogła wstać. Blondyn biegł w ich kierunku z rewolwerem w ręku. Ludzie rozpierzchli się na boki.

- Tędy! - David pociągnął Jael w stronę autobusu, z którego wysiadali pasażerowie. Ominęli leżące na ulicy torby ze śmieciami i na siłę wbili się do autobusu. Przez mokre szyby David widział, że blondyn zmierza prosto w ich stronę.

Usłyszał syk zamykanych drzwi. W tym momencie blondyn znowu podniósł broń.

- Na podłogę! - zawołał David. - Tam jest jakiś uzbro jony wariat!

Starsza kobieta krzyknęła z przerażenia.

- Ruszaj. Już! - przynaglił David kierowcę.
- Kurwa, człowieku! - poparł go jakiś czarny nastolatek z iPodem. - Spieprzaj stąd!

Kierowca zaklął i nacisnął gaz. Włączyli się do ruchu. W tym momencie nabój wbił się w tył autobusu. Wjechali w kałużę, wzbijając gigantyczną fontannę. Wycieraczki z trudem nadążały za strugami wody zalewającym: szyby.

- Połącz się z dyspozytorem - powiedziała Jael do kie rowcy. - Niech wyśle karetkę pogotowia do Centrum Bne Israel, Avenue Z. Tam jest ranny.

Spojrzała na Davida, ale żadne z nich się nie odezwało. Autobus toczył się ulicą, klucząc między samochoda mi. Oboje wiedzieli, że już za późno. Rabin ben Moshe nie żyje.

Oszołomiony David przez chwilę zastanawiał się, czj jest tak samo blady i przerażony jak ona. Wciąż czuł gwał towne bicie serca. Nie mógł pojąć, co się stało.

Jedną rękę zacisnął na torbie, a drugą pomacał kieszeń

Kamienie nadal tam były. A nazwisko Stacy było w je go notatniku.

- On opróżnił ten cholerny sejf! Wszystko zabrał! - wy krzyknął Enriąue, gdy Gillis wpadł do pokoju ze schodóv ewakuacyjnych. Gillis wbił wzrok w pustą szafkę ukryto za biblioteką.

Kurwa. Słychać już było wycie policyjnych syren. Ni< mieli czasu.

- Znalazłeś dziennik? A co z kamieniami?
- Widocznie Shepherd i ta kobieta z Izraela je zabrali. -

Enriąue wyciągnął już szuflady z biurka i wyrzucił ich zawartość na podłogę. Nagle zauważył obok komputera kilka przefaksowanych stron. Na górze ktoś zapisał nazwisko Davida Shepherda i numer faksu. Enriąue natychmiast chwycił kartki.

- Co o tym myślisz? - pokazał je Gillisowi. Ten spojrzał na listę nazwisk i wyraźnie odetchnął.
- Mam coś, Sanjay - warknął do mikrofonu komórki. Nosił słuchawkę i mikrofon przymocowane do ucha. -Strony z dziennika Shepherda, które przefaksował rabinowi. Zabieramy komputer.
- Nie ma tam jeszcze policji? - spytał Sanjay. Nie mówił już spokojnym i znudzonym głosem. Był wyraźnie zdenerwowany. - Spieprzajcie stamtąd!

Nim Sanjay skończył, Enriąue wyrwał kabel z kontaktu, chwycił komputer i pobiegł do wyjścia. Gillis zgarnął jeszcze stertę dyskietek i pstryknął zapalniczką. Przez ułamek sekundy patrzył na płomień, po czym podpalił stertę papierów na podłodze. Z przyjemnością pomyślał, jak bliski jest teraz przyszłemu światu.

Zbiegł ze schodów, przeskakując po dwa stopnie. Słychać było coraz głośniejsze wycie syren.

Gdy wozy policyjne z piskiem opon zatrzymały się przed centrum, biała furgonetka z piekarni znajdowała się już przy następnej przecznicy. W gęstym deszczu prawie nie było jej widać.

Sanjay natychmiast wysłał zaszyfrowany raport do centrali na Sycylii, gdzie Eduardo DiStefano siedział przed komputerem i wczytywał się uważnie w każde słowo.

ROZDZIAŁ 9

Meredith siedziała na trybunie. Pochyliła się do przodu i z napięciem przyglądała się córce. Stacy starła pot z czoła. Przez chwilę kozłowała na linii rzutów wolnych.

Dalej, mała, dopingowała w myślach Meredith. Trafisz.

Stacy spojrzała na kosz i rzuciła swobodnie, jakby to była najłatwiejsza rzecz na świecie. Przez chwilę w szkolnej sali gimnastycznej panowała grobowa cisza. Nawet Meredith wstrzymała oddech. Piłka zakreśliła łuk i wpadła do kosza. Kibice na trybunie krzyczeli z radości.

Stacy z uśmiechem przybiła piątkę z koleżankami z drużyny. Do końca meczu zostało tylko pięć sekund -przeciwniczki nie mogły już wrzucić piłki do kosza.

- Moja dziewczyna! - krzyknęła Meredith, gdy rozległa się syrena sygnalizująca zakończenie gry. Stacy stała w szeregu z koleżankami - wymieniały uściski dłoni z przeciwniczkami.

Meredith spojrzała na zegarek i zastanowiła się, co ma zrobić. Mecz skończył się dość wcześnie. Len zadzwoni ze Sztokholmu dopiero za godzinę. Miały dość czasu, żeby po drodze do domu wstąpić do chińskiej restauracji.

- Przebierz się, kochanie, a ja tymczasem przyprowadzę samochód z parkingu.
- Dobrze, mamo, ale pośpiesz się. Umieram z głodu.
- Może pójdziemy do China Pałace? To tuż obok - krzyknęła Meredith. Stacy biegła już przez boisko do szatni.

Poszła prosto do łazienki. Z przyjemnością zrzuciła przepoconą koszulkę i weszła pod prysznic. Umyła włosy, ale nie chciała tracić czasu na suszenie. Związała je w koński ogon, włożyła dżinsy i różową koszulkę, którą David kupił jej ostatniego lata, gdy odwiedziła go w Waszyngtonie. Tego samego dnia sprezentował jej żółtą bransoletkę z napisem „Mierz wysoko", którą stale nosiła.

Ubierając się, Stacy pomyślała, że tylko dzięki Davido-wi tak dobrze gra w kosza. Gdy miała pięć lat i z trudem utrzymywała piłkę, to on ją namówił, żeby rzucała do nisko zawieszonej obręczy. Trzy lata później nauczył ją kozłować. Ćwiczyli codziennie, gdy mama gotowała obiad. Stacy uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, jak David wołał jej matkę, żeby gratulowała córce, gdy udało się jej pokonać go w grze jeden na jednego. Teraz oczywiście zdawała sobie sprawę, że David pozwalał jej wygrywać.

Po obiedzie razem pośpiesznie ładowali brudne naczynia do zmywarki, żeby jeszcze zdążyła wykonać sto rzutów wolnych, nim zrobi się ciemno. Stacy lubiła ten rytuał.

Później, gdy w ciemnościach nie było już widać kosza, siedzieli spoceni na patio i chłodzili się, zajadając lody z bananami i obserwując, jak na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy. David nazywał to „chwilą migoczącego światła".

Stacy zarzuciła torbę na ramię i ruszyła do drzwi. Próbowała wyprzeć wspomnienia. Przyjmij do wiadomości, że teraz Len jest twoim ojczymem. On nie lubi ani koszykówki, ani lodów, powtarzała w duchu.

Len wolał sąuasha i kawę z mlekiem sojowym.

Nagle, gdy otwierała podwójne drzwi, podłoga wyraźnie zadygotała. Wszystkie dziewczyny zaczęły krzyczeć.

Boże, czy to znowu wtórne wstrząsy? Wczoraj obudziła się, gdy pod wpływem trzęsienia ziemi o sile 3,6 w skali Richtera zadygotało jej łóżko. Na szczęście to nie było nic poważnego, tylko lekkie drgania.

Stacy już przywykła. Gdy przeprowadziła się z mamą do Santa Monica, serce podchodziło jej do gardła przy każdym wstrząsie. Teraz zachowywała się, jakby urodziła się w Kalifornii - byle trzęsienie nie robiło na niej wrażenia.

Ostatnio, wobec tylu klęsk żywiołowych, jakie spadały na świat, Stacy zaczęła się jednak obawiać wielkiego trzęsienia ziemi. Wszyscy twierdzili, że jest tylko kwestią czasu, kiedy zatrzęsie się całe zachodnie wybrzeże. Strach było o tym myśleć.

To straszne. Podobnie jak ten snajper w Toronto. Ilu ludzi już zabił? Tego dnia rano mama z obrzydzeniem wyłączyła telewizor, gdyż -jak powiedziała - nie mogła dłużej słuchać wiadomości o wszystkich koszmarach tego świata.

Stacy nie mogła przestać o nich myśleć.

Może chociaż przez jeden dzień postarasz się zachowywać jak mama i wyprzeć ze świadomości te wszystkie złe wieści, skarciła się, idąc pośpiesznie do samochodu. Było późne popołudnie, ale jeszcze świeciło słońce. Pomyśl raczej o kurczaku z sałatą. I ostrej zupie. I lodach imbirowych.

Stacy była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła mężczyzny czytającego gazetę w dodge'u caravanie, który stał przed parkingiem z silnikiem na chodzie. Wcześniej nie dostrzegła go też w tylnym rzędzie na trybunie.

Wsiadła do explorera i zapięła pasy. W brzuchu burczało jej z głodu.

- Chcę jeść! - oświadczyła. Wsunęła do odtwarzacza płytę Alicii Keys i pogłośniła. Meredith wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła.

Stacy Lachman to miła dziewczyna, pomyślał Raoul LaDouceur. Szkoda, że już wkrótce spotka ją coś złego.

Złożył gazetę i cisnął ją na podłogę samochodu. Wyjechał z parkingu i ruszył za explorerem Meredith Lachman, trzymając się w odległości trzech samochodów. Ta

kobieta, podobnie jak jej córka, zupełnie nie zwracała uwagi na otoczenie. Śledził je od dwóch dni, żeby poznać ich rozkład dnia i oswoić się z Santa Monica. Żadna nic nie zauważyła.

Złą stroną tego zlecenia był cholerny smog. To znacznie gorsze niż pieczenie w gardle, o jakie przyprawiły go oliwki.

Raoul pomyślał, że musi koniecznie wstąpić do apteki Walgreens po nowy inhalator, nim ten, który ma, całkowicie wyschnie. Z konieczności zawsze nosił przy sobie receptę, podobnie jak broń i telefon satelitarny.

Gdy Meredith wjechała na parking obok chińskiej restauracji, Raoul zrobił to samo. Zaparkował kilka miejsc dalej.

Poczuł, że zaraz zacznie kasłać. Wyciągnął inhalator. Wdychając lek, przyglądał się, jak Stacy Lachman i jej matka wchodzą do środka.

Tym razem otrzymał bardzo ogólne rozkazy - miał upozorować wypadek lub porwanie. Uznał, że porwanie będzie czystsze. Wobec tego Stacy Lachman miała zniknąć, podobnie jak cztery miesiące temu znikła jego ofiara w Sierra Leone. Zamierzał pozbyć się ciała w Dolinie Śmierci, w drodze do Las Vegas. Minie wiele miesięcy, nim ktoś znajdzie szkielet.

Jego żołądek gwałtownie dał o sobie znać. Raoul poczuł, że jest głodny. Wysiadł z samochodu i skierował się do słabo oświetlonej, czerwono-czarnej restauracji.

Mała Lachman i jej matka nawet nie spojrzały, żeby sprawdzić, kto wszedł. Raoul usiadł w loży pod ścianą. Zamówił kolację, a potem przyglądał się dziewczynce, która zręcznie posługiwała się pałeczkami. Wrzucił dwie porcje cukru do herbaty Ulung. Uśmiechnął się.

Najedz się, Stacy Lachman. Jutro o tej porze już będziesz martwa, pomyślał. Chyba że ten pieprzony smog mnie wykończy.

ROZDZIAŁ 10

- Zamknij drzwi na zasuwę - powiedziała Jael, gdy David wszedł za nią do pokoju 736 w Riverside Tower Ho tel. Rzuciła teczkę i torbę rabina na biurko pod oknem i wyciągnęła telefon komórkowy. - Muszę zadzwonić...

David wyrwał jej z ręki BlackBerry.

- Najpierw wyjaśnij mi, przed kim, do cholery, uciekaliśmy.

- Będzie dość czasu na wyjaśnienia, gdy już zadzwonię. Oddaj mi telefon! - zażądała chłodno, a jej zielone oczy miały jeszcze bardziej lodowaty wyraz.

- Kim byli ci ludzie? Gnozyci?

- Ich szwadron śmierci - warknęła Jael. - Tak zwani Aniołowie Ciemności. Mam tu pewien kontakt. Jeśli pozwolisz mi zadzwonić, może wyjedziemy z tego kraju żywi. Proszę więc.

- Wyjedziemy z tego kraju? W jaki sposób? Nawet nie mam przy sobie paszportu.

- To najmniejsze zmartwienie. Teraz oddaj mi telefon.

Zabrała mu go. David odwrócił się, rzucił przemoczoną torbę na półkę i przy okazji zobaczył swoje odbicie w lustrze nad komodą. Mokre włosy przylepiły mu się do czaszki, a twarz przybrała niezdrowy, szary odcień. To prawdopodobnie skutek szoku, pomyślał. Nic dziwnego. Przed oczami wciąż miał obraz rabina ben Moshego leżącego na schodach.

David i Jael wyskoczyli z autobusu na pierwszym przystanku. Jakimś cudem udało się im, mimo ulewy, złapać taksówkę. Pojechali w kierunku rzeki Hudson. Po drodze oboje milczeli. Byli przemoknięci, ale dygotali nie tylko z tego powodu.

Któż może wiedzieć, czy teraz są bezpieczni. Czy ten jasnowłosy olbrzym chciał zdobyć kamienie? A może dziennik?

Ben Moshe twierdził, że chodzi im o poznanie nazwisk.

Czyli również nazwiska Stacy.

David wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Po czterech dzwonkach włączyła się poczta głosowa.

- Cześć, Manczkin - odezwał się. Starał się, żeby jego głos brzmiał naturalnie, ale nie zdołał całkiem ukryć na pięcia. - Zadzwoń do mnie natychmiast, jak tylko odbie rzesz wiadomość, dobrze? Sprawdzam, co u ciebie.

Następnie spróbował zadzwonić do Meredith. Zaklął głośno, gdy odezwała się automatyczna sekretarka.

- Zadzwoń do mnie, Merę, jak najszybciej. Muszę z to bą porozmawiać o Stace. To pilne.

David nie wiedział, co zamierza jej powiedzieć, gdy od-dzwoni. Jak można komuś oznajmić, że jego dziecko jest na liście osób, które już nie żyją lub mają zginąć? Przed rozmową z Meredith lub Stacy musi uzyskać jakieś wyjaśnienia od Jael HarPaz.

Podszedł do biurka pod oknem i otworzył torbę rabina. Podczas gdy Jael mówiła coś szybko po hebrajsku, David wysypał zawartość torby i przyjrzał się uważnie wszystkim przedmiotom. Hebrajski modlitewnik, kołonotatnik, mała moneta z brązu z wytłoczoną ósemką.

David podniósł monetę. Nie, to nie jest ósemka, tylko dwa splecione ze sobą węże.

Zauważył na dnie torby dwie pokryte folią karty. Wyjął jedną. Zobaczył dziwny, skomplikowany rysunek. Co to takiego?

To był jakiś diagram. Molekuły różnych kolorów, połą-

czone przecinającymi się liniami. Rysunek przypominał mu schematy z ulotek farmaceutycznych. Lub coś, co zbudował w dzieciństwie z drewnianych klocków.

David usłyszał, że Jael skończyła rozmowę. Wrzucił rysunek do torby i obrócił się twarzą do kobiety.

- Teraz chciałbym usłyszeć jakieś wyjaśnienie.

- Od czego mam zacząć? - chłodno spytała Jael.

- Od nazwisk w moim notatniku. Dlaczego są zapisane na starożytnym papirusie, jak powiedział mi rabin? -David wyrzucał z siebie słowa. - Czyje to nazwiska? Co mają z sobą wspólnego?

- To ludzie, którzy podtrzymują istnienie świata. Wyjątkowi. Gnozyci systematycznie niszczą ich wszystkich.

Davida ogarnęło przerażenie. Nazwiska, które sprawdził przy użyciu wyszukiwarki. Słusznie podejrzewał. To wcale nie były wypadki.

Stacy.

- W tym notatniku jest nazwisko mojej pasierbicy. - Davidowi załamał się głos. - Uważasz, że jej coś grozi?

Jael przełknęła ślinę. W jej oczach pojawiło się coś na kształt współczucia.

- Bardzo mi przykro. Nie wiedziałam. Tak, jest w niebezpieczeństwie. Tak jak wszyscy lamed wownicy. Czy mieszka w Waszyngtonie?

- Nie, na Zachodnim Wybrzeżu. W Santa Monica. -David zazgrzytał zębami. - Czy ci sami ludzie szukają również jej? Ci Aniołowie Ciemności?

Jael pokiwała głową.

- To dobrze wyszkoleni, bezwzględni mordercy. Jeśli znają jej nazwisko, to ją znajdą. Potrzebuje ochrony, i to natychmiast. Zadzwonię jeszcze raz do Awiego...

- Nie - przerwał jej David. Zacisnął mocno szczęki. -Mam kogoś, komu ufam. On jest najlepszy. Będzie ją chronił, a mieszka niecałą godzinę lotu od niej.

Jael przygryzła wargę, a potem wzruszyła ramionami.

Zdjęła przemoczony żakiet. Dygotała, a jej twarz jeszcze nie odzyskała naturalnej barwy.

- Jak chcesz. Zaparzę kawę, a ty załatw Stacy ochronę.

David wystukał numer telefonu Karla Hutchinsona.

Nie widzieli się wprawdzie od trzech lat, ale rozmawiali co kilka miesięcy. Modlił się, żeby Hutch odebrał telefon.

- *Hola!* - David usłyszał dobrze znany głos Hutcha, ale to było tylko nagrane polecenie, żeby zostawić wiadomość po sygnale.

- Hutch, to ja. Jestem w Nowym Jorku, to bardzo pilna sprawa. Sądzę, że Stacy grozi poważne niebezpieczeństwo. Chodzi o jej życie. Potrzebuję cię, stary.

David czuł się tak, jakby jego głowa miała eksplodować. Odetchnął głęboko. Jeszcze raz. Skoncentruj się.

Jael podała mu filiżankę kawy. David spróbował skupić na niej uwagę.

- Czy teraz wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Spróbuję. Siadaj, Davidzie. - Popatrzyła na niego badawczo. - Niełatwo będzie ci się z tym pogodzić. Ani mnie wytłumaczyć.

David usiadł przy biurku i postawił filiżankę na blacie.

Przypomniał sobie, co ben Moshe krzyknął do Jael, gdy wyskakiwała na schody ewakuacyjne.

Wykluczone, żeby miał polecieć do Izraela bez Stacy.

Skupił wzrok na długonogiej kobiecie, która usadowiła się na łóżku naprzeciw niego.

- Możesz zacząć od wytłumaczenia mi, kim są lamed wownicy.

ROZDZIAŁU

- Czy wiesz, co to jest Talmud? - spytała Jael, patrząc na Davida spokojnie.
- Bardzo ogólnie. Stare rabiniczne komentarze do Starego Testamentu, tak?
- Coś więcej niż tylko komentarze. Talmud to najważniejszy zbiór żydowskich tekstów religijnych. Zawiera całą żydowską wiedzę - prawo, historię, filozofię, etykę, nawet legendy. - Jael upiła kawy. - Talmud to sześćdziesiąt trzy traktaty, z okresu od trzeciego do szóstego wieku, napisane przez najbardziej uczonych żydowskich mędrców. Ludzi, którzy poświęcili całe życie na analizowanie i definiowanie żydowskiego prawa oraz na dyskusje o nim. Właśnie w Talmudzie można znaleźć wyjaśnienie, kim są lamed wownicy.
- Mów dalej - powiedział David, z trudem opanowując niecierpliwość.
- Według rabina Abaje - jednego z tych uczonych mędrców - w każdym pokoleniu żyje trzydziestu sześciu sprawiedliwych, którzy doświadczają błogosławieństwa Szechiny.
- Czyjego?
- Szechina to żeński aspekt Boga - wyjaśniła, patrząc mu w oczy. - Żydowska tradycja naucza, że Bóg podtrzymuje istnienie świata tylko ze względu na zasługi tych trzydziestu sześciu ludzi.

- Chwileczkę - przerwał jej David, kręcąc głową powątpiewająco. - Chcesz powiedzieć, że na całym świecie jest tylko trzydziestu sześciu sprawiedliwych ludzi?

- Nie, w rzeczywistości jest ich jakieś osiemnaście tysięcy - odpowiedziała z błyskiem uśmiechu. - Jednak la-med wownicy to osoby wyjątkowe, których dusze osiągnęły najwyższy stopień duchowego rozwoju. Ich dobroć jest tak mocna i naturalna, że są oni zdolni osiągnąć duchową jedność z Bogiem, choć pozostają na ziemi.

- Twierdzisz więc, że mają gorącą linię z Bogiem? -David uniósł brwi z niedowierzaniem. - Słuchaj, zawsze wiedziałem, że Stace to dobre dziecko, ale nie przesadzajmy...

- Mistycy uczą, że lamed wownicy żyją wśród nas nierozpoznani. W każdym pokoleniu jest ich co najmniej trzydziestu sześciu. Nikt ich nie zna, nawet oni sami nie wiedzą, kim są. Gdy ktoś twierdzi, że jest lamed wowni-kiem, to z pewnością nim nie jest. Są pokorni i czynią dobro po cichu, unikając pochwał i uznania. Znane są opowieści chasydów o lamed wownikach, którzy przybywali do miasta jako zupełnie nieznani ludzie, ratowali je przed katastrofą i znikali bez żadnych fanfar tak niespodziewanie, jak się pojawili.

Jael zacisnęła palce na kubku z kawą.

- Jeśli wszyscy lamed wownicy z danego pokolenia zginą, nastąpi koniec świata.

Potężna błyskawica rozdarła niebo. Oboje spojrzeli w okno. Strugi wody lały się na miasto, które i tak już tonęło.

- Nie rozumiesz, Davidzie? To już się zaczęło. Nie za stanawiałeś się, skąd na świecie tyle okropności? Pa miętasz, aby kiedyś świat pogrążał się w takim zamęcie? To dzieło gnozytów, którzy niszczą go, zabijając lamed wowników.

David znowu poczuł pulsowanie w głowie, zgodne z rytmem bębniącego deszczu. Wstał i podszedł do okna.

Skupił wzrok na strumieniu wody spływającej ulicą. W tej samej chwili piorun uderzył w budynek naprzeciwko. Z górnych okien posypało się szkło. Huk grzmotu zabrzmiał jak wybuch bomby. David odskoczył od okna. Pod stopami czuł wibracje podłogi.

Trzęsienia ziemi w Turcji, wybuch w porcie Dayyer, terroryści w Melbourne. Kolejne huragany na Atlantyku... lawiny błota w Chile...

Nie. To niemożliwe. Odwrócił się twarzą do Jael. W ciemnym pokoju hotelowym jej zielone oczy wydawały się wyjątkowo smutne i poważne.

- Davidzie, musisz pojechać ze mną do Izraela, do Sa-fedu - świętego, mistycznego miejsca.
- Pojadę tylko do Santa Monica. Nigdzie indziej.
- W Safedzie znajdziesz odpowiedź, Davidzie. W tamtejszym świetle, w powietrzu. Nawet świeccy uczeni, tacy jak mój ojciec i ja, nie mogą zaprzeczyć, że to miasto wydaje się otoczone aurą, która dociera z gwiazd. Kaba-liści z Safedu potrzebują twojego notatnika i twojego umysłu. Mają tylko skrawki papirusu znalezione w piasku, urywki starożytnej księgi z imionami wszystkich stworzeń, w tym również z nazwiskami lamed wowni-ków. Ty, Davidzie, też dysponujesz tymi nazwiskami. Są w twojej głowie.
- Jeśli Stacy jest jedną z nich... - David urwał. Strach ścisnął mu żołądek. Jeśli oni istnieją, pomyślał.

Jael odgarnęła włosy z twarzy.

- Nie możemy liczyć, że ten twój Hutch szybko do niej dotrze, zwłaszcza że nie odpowiada na telefon. Chcę posłać zespół rezerwowy. Mój kontakt, Awi Raz, ma dostęp do wszystkich środków, jakimi dysponuje izraelski wywiad i służba bezpieczeństwa. Jego nazwisko jest symptomatyczne dla zawodu.
- To znaczy?
- Hebrajskie „raz" znaczy „tajemnica". Ponadto każdej hebrajskiej literze przypisana jest pewna wartość liczbo-

wa. Litery tworzące nazwisko Raz mają taką samą wartość liczbową jak słowa, które znaczą „światło" i „obcy".

- Cóż z tego? Nie rozumiem.

- Awi Raz to człowiek, który rozjaśnia tajemnice i prześwietla ludzi - powiedziała Jael, otwierając telefon. - To powinno ci dać wyobrażenie o charakterze jego pracy, a także o kwalifikacjach.

David zacisnął usta. Czekał niecierpliwie na kontakt ze Stacy. Jego komórka zadzwoniła, gdy Jael mówiła coś po hebrajsku. Porwał telefon, modląc się, żeby na wyświetlaczu pojawiło się imię Stacy.

Hutch.

- I cóż to się dzieje, Davidzie? Jak mogę ci pomóc?

- Jedź do Santa Monica. Musisz chronić Stacy i Mere-dith. Pamiętasz ich adres? Wywieź je z Kalifornii. Niedługo będę miał do dyspozycji paru ludzi. Gdy już będziecie bezpieczni, zadzwoń i powiedz mi, gdzie jesteście.

- Jezus, człowieku, o co tu chodzi?

- Mam powody sądzić, że Stacy jest na liście ludzi do likwidacji - powiedział David. Sam nie mógł uwierzyć w to, co mówi. - Pewna sekta religijna chce ją zabić. Stary, potrzebuję cię tam na wczoraj.

Gdy David odłożył telefon, poczuł na sobie wzrok Jael. W jej oczach nie dostrzegł współczucia.

- Awi sam wybrał dwóch agentów Mosadu, którzy jeszcze dziś wieczorem polecą do Los Angeles. Gdy Hutch skontaktuje się z nami, oni spotkają się z Hutchem i przejmą ochronę. Stacy będzie bezpieczna. Wierz mi.

Kolejny grzmot zatrząsł szybami. Jael wstała z łóżka i podeszła do Davida.

- Natomiast my musimy jak najszybciej dotrzeć do Sa-fedu.

- Nic z tego. Jadę do mojej córki. Dla mnie ona jest najważniejsza.

- Davidzie, ona będzie miała ochronę. Tymczasem wielu innych ludzi nie może na to liczyć. Pomyśl o tym, co

stało się dzisiaj, jesteś na radarze gnozytów. Jeśli teraz pojedziesz do Stacy, możesz doprowadzić ich prosto do niej.

David czuł pulsowanie krwi w skroniach. W głowie nadal doskonale słyszał huk wystrzałów.

A może Jael ma rację?

- Bardziej pomożesz jej, jeśli pojedziesz do Safedu. Im szybciej się tam znajdziemy, tym lepiej. Ktoś jednak musi przywieźć twój paszport - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Czy masz kogoś, komu mógłbyś zaufać?

ROZDZIAŁ 12

Nie ma lepszego środka uspokajającego niż pływanie na plecach na dmuchanym materacu, pomyślała Stacy. Zamknęła oczy i mrucząc z zadowolenia, poddała się pieszczotom promieni słonecznych. To było niemal idealne popołudnie. Wygrała dzisiejszy mecz, w ciasteczku z wróżbą znalazła zapowiedź wielkiej przygody, a - co najważniejsze - David obiecał, że spróbuje przekonać matkę, aby nie ciągnęła jej ze sobą na „rodzinny miesiąc miodowy".

Gdyby jeszcze nie słyszała, jak rozmawiając z Lenem, mama miauczy przez telefon. To było obrzydliwe.

Gdyby nie było mi tak dobrze, pomyślała Stacy, podpłynęłabym do brzegu i nastawiła głośniej muzykę. Nie chciało się jej ruszyć...

Z okna nad basenem rozległ się śmiech matki, teraz o dobre dziesięć decybeli głośniejszy. Kogo oszukuje? Stacy skrzywiła się z irytacji i ześlizgnęła z materaca do letniej wody. Jak można się zrelaksować, słysząc, jak własna matka robi z siebie idiotkę, i to tak głośno, że słyszą wszyscy sąsiedzi?

Wyszła z basenu, otrząsnęła się z wody i podeszła do leżaka, gdzie zostawiła telefon, krem do opalania i ręcznik. Puszka coli nagrzała się w słońcu, ale Stacy mimo to wypiła kilka łyków. Nastawiła radio na cały regulator.

Tak jest lepiej. Teraz nie będę musiała słuchać...

Nagle ktoś chwycił ją mocno od tyłu. Stacy zakrztusiła się colą. Czyjaś twarda ręka zakryła jej nos i usta. Stacy puściła puszkę i desperacko usiłowała złapać oddech. Równocześnie krztusiła się, walczyła o łyk powietrza i próbowała krzyczeć. Udało jej się rozchylić usta, ale nie wydobyła z siebie dźwięku.

Stacy miała wrażenie, że zaraz pękną jej płuca. Ogarnęło ją przerażenie. Napastnik chwycił dziewczynkę włochatą ręką, poderwał w górę i ruszył, jakby grał w rugby i biegł z piłką do bramki.

Mimo paniki Stacy zorientowała się, dokąd on zmierza. Jeszcze dziesięć kroków i znajdą się w dziwnej furgonetce zaparkowanej przed garażem.

Eva Smolensky, sapiąc, ciągnęła po schodach odkurzacz. Była bardzo drobną kobietą, zaledwie kilkanaście centymetrów wyższą i niewiele szerszą od maszyny, którą wepchnęła do gabinetu doktora Shepherda. Zapaliła górne światło i skrzywiła się, widząc, jak sterta gazet urosła od ostatniego wtorku, kiedy tu sprzątała. Gdy doktor She-pherd zadzwonił i poprosił, żeby wpuściła do jego gabinetu ojca McGratha, Smolensky pomyślała, że przy okazji posprząta i następnego dnia, we wtorek, będzie miała czas odwiedzić swojego najmłodszego wnuka.

Boże, nie była już taka młoda jak kiedyś. Ostatni raz sprzątała wieczorem, gdy jej dzieci były małe i musiała czekać, aż zasną, nim mogła zająć się domem. Praca u doktora Shepherda nie była łatwym zadaniem. To wprawdzie miły i uprzejmy młody człowiek, ale straszny bałaganiarz, zupełnie jak jej zięć, Henry.

Eva pokręciła głową. Dobrze, że zadzwonił dostatecznie wcześnie. Zdąży sprzątnąć prawie wszystkie pomieszczenia, nim przyjedzie ojciec McGrath, żeby wziąć to, czego doktor Shepherd potrzebuje.

Wyglądając przez okno i czekając na księdza, Eva po-masowała się po krzyżu. W jej wieku niełatwo było sprzątać, ale zachowała kilku ulubionych klientów. Przynajmniej na razie.

W przyszłym roku, kto wie? Może wreszcie z tym skończy.

Przystojny ksiądz jeszcze się nie pojawił, więc Eva wróciła do odkurzacza, pochyliła się i włożyła wtyczkę do kontaktu. Nie obawiała się, że ksiądz przyjdzie, gdy ona będzie odkurzać - powiedziała mu, że zostawi drzwi otwarte, na wypadek gdyby ryk odkurzacza i wycie pralki zagłuszyły dzwonek.

Już miała włączyć odkurzacz, gdy usłyszała sygnał suszarki do bielizny. Westchnęła ciężko i poszła do pralni. Chciała od razu rozwiesić koszule, żeby nie pogniotły się w bębnie.

Gdy otwierała drzwiczki suszarki, pralka zaczęła cykl płukania. Dlaczego nikt jeszcze nie wymyślił pralki i suszarki, które działałyby w takim samym cyklu? Czy to byłoby zbyt wygórowane oczekiwanie? Nagle Eva usłyszała, że w holu ktoś się poruszył. Ojciec McGrath. Widocznie wszedł chwilę przedtem, nim wyjrzała przez okno. Jak mogła go nie usłyszeć? Może powinna już sprawić sobie aparat słuchowy, do czego wciąż namawiały ją córki...

Hm. Eva pośpiesznie poszła do holu. Z radością myślała o kilku chwilach w towarzystwie swojego ulubionego księdza. Przyjemnie było na niego popatrzyć, a poza tym był serdeczny i uprzejmy. Po każdym spotkaniu miała wrażenie, że znalazła się w towarzystwie anioła.

Rozejrzała się po holu. Dziwne. Nie ma go.

- Ojcze McGrath? - zawołała. Podreptała do kuchni, rozejrzała się i wróciła do holu. Zerknęła na schody.

Co jest? Mogłaby przysiąc, że słyszała, jak ktoś chodzi po domu.

- Ojcze? - zawołała jeszcze raz.

Cisza.

Eva, bardzo zaintrygowana, postanowiła sprawdzić gabinet.

Nigdy tam nie dotarła.

Ktoś zarzucił jej na głowę jeszcze gorącą, niebieską koszulę w paski należącą do doktora Shepherda i zawiązał rękawy wokół jej wątłej szyi.

Eva przez chwilę próbowała złapać oddech, szarpiąc się jak marionetka zawieszona na sznurkach, ale szybko przeniosła się do aniołów. Po minucie jej ciało zostało wepchnięte do suszarki, między gniotące się koszule.

Stacy spojrzała w kierunku otwartego okna sypialni matki. Mamo! - chciała krzyczeć. - Mamo! Nie mogła wydać głosu, nie mogła nawet oddychać. W nosie i gardle czuła ogień, a przed oczami zaczęły jej tańczyć jakieś świetliste punkciki.

Spróbowała się wyrwać z uścisku, szarpiąc się, jakby chciała odebrać przeciwniczce piłkę. Na próżno. Był zbyt silny. Otwarty bagażnik furgonetki niczym paszcza potwora był już blisko. Tylko nie zemdlej! - pomyślała. Pod wpływem nagłego przypływu adrenaliny zdołała otworzyć usta. Jak doberman wbiła zęby w palce, które miażdżyły jej twarz.

Mężczyzna odruchowo puścił ją i krzyknął z bólu. Stacy udało się zaczerpnąć powietrza i uwolnić z chwytu. Rzuciła się do ucieczki, nim napastnik zdążył ją znowu złapać.

- Pomocy! Gwałt!

Jej bose stopy dudniły o trotuar. Dzięki Bogu! Sąsiad, pan Atkins, właśnie wyprowadzał swego psa, Recklessa, na spacer.

Border collie zaszczekał, a pan Atkins spojrzał na nią. Pies szarpnął go do przodu, w kierunku domu Lachmanów.

Stacy usłyszała ryk silnika furgonetki. Rzuciła się w bok, między drzewa. Samochód minął ją z piskiem opon i skręcił w pierwszą przecznicę.

- Stacy! Kto to był? Nic ci nie jest? - Gdy pan Atkins i Reckless podbiegli do niej, Stacy znowu krzyknęła.

- Mamo!

ROZDZIAŁ 13

Nad Wzgórzem Kapitolińskim zapadł zmierzch. Było parno. Dillon McGrath wyszedł z domu przy D Street i szybkim krokiem zbliżył się do swej acury. Usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki, ale nie włączył silnika. Wyciągnął natomiast telefon komórkowy i chusteczkę. Starł pot gromadzący się nad górną wargą.

- No i co, Dillon, masz paszport?

Dillon jeszcze nigdy nie słyszał, żeby David był tak zdenerwowany. Można to łatwo zrozumieć, pomyślał. Przecież widział, jak zginął ben Moshe.

- Przykro mi, Davidzie, ale nie znalazłem paszportu. Nie ma go w górnej szufladzie biurka, ani też w żadnej innej. Sprawdziłem nawet w twoim biurku na wydziale. Bez rezultatu.

- Sprawdź jeszcze raz. Musi być. - W głosie Davida słychać było panikę.

- Wierz mi, wszędzie dokładnie sprawdziłem. Nigdzie go nie ma. W domu nie było Evy - zostawiła otwarte frontowe drzwi - dodał i szybkim ruchem włączył silnik.

W słuchawce zapadła cisza.

- David?

- Ktoś tam był przed tobą - odpowiedział David wyraźnie sfrustrowany. - Ktoś zabrał mój przeklęty paszport!

- Nie, nie sądzę. - Dillon zacisnął palce na kierownicy. Czuł rosnące napięcie. - Dom wcale nie wyglądał tak, jak-

by ktoś tam szperał. Wszędzie panował porządek. Z jednym wyjątkiem. Eva zapomniała schować odkurzacz.

- To do niej niepodobne.
- Co więc mam zrobić? - spytał Dillon. Wyprzedził go jakiś samochód, rozwiewając liście. - Chcesz, żebym zadzwonił na policję i zameldował o kradzieży paszportu?
- Nie. W żadnym razie policja. Znajdę inny sposób.
- David. Co z tym agatem? - Dillon odkaszlnął. - Masz go jeszcze?
- Tak. Podobnie jak bursztyn. Ben Moshe dał mi kamień plemienia Lewitów tuż przed... - nie dokończył zdania.
- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z jego mocy -powiedział Dillon. Siedział w ciemnym samochodzie z zamkniętymi oczami.
- Nie miałem czasu długo się nad tym zastanawiać.
- Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej. Muszę na pewien czas wyjechać z kraju. Jeśli będziesz mnie potrzebował w ciągu najbliższych paru dni, zostaw wiadomość w biurze. Będę regularnie sprawdzał. Ale... - Dillon zawahał się. - Uważaj na siebie, Davidzie. To mi się nie podoba.
- Dobrze, że mi to mówisz - skrzywił się ironicznie David.

David wyłączył telefon i spojrzał na Jael, która pochylała się nad kołonotatnikiem rabina. Jej włosy opadały na policzki jak miedziane zasłony.

- Mój paszport znikł, Hutch nie oddzwonił, nie mam pojęcia, gdzie jest moja córka. A tobie jak się wiedzie?

David padł na łóżko i przycisnął dłonie do oczu.

Odpowiedziała gestem, wskazując ściszony telewizor, na którego ekranie było widać obrazy śmierci i zniszczenia wywołanego przez trzęsienie ziemi w Turcji.

- Nie tylko my mamy kiepski dzień - dodała.

*

Zatrzymawszy się na kolejnym świetle, Dillon znów sięgnął po telefon. Już od kilku dni rozmyślał o tych kamieniach. Teraz przyszła pora na działanie.

- Czy jesteś pewien, że biskup Ellsworth tam mieszka? - spytał bez wstępu. - Właśnie jadę na lotnisko Reagan International.

Przez chwilę słuchał. Zapaliło się zielone światło i jakiś niecierpliwy kierowca zatrąbił na niego.

- Doskonale. Wyląduję w Glasgow jutro, wczesnym wieczorem. Przyjadę do ciebie prosto z lotniska.

ROZDZIAŁ 14

- Awi Raz może ci załatwić fałszywy paszport, ale to pewnie zajmie kilka dni - denerwowała się Jael. Chodziła w tę i z powrotem przy oknie.

David wyszedł z łazienki. Masował twarz wilgotnym ręcznikiem.

- Mam lepszy pomysł. Wiem, jak załatwić autentyczny paszport na jutro rano.
- Jak? - zdziwiła się Jael.
- Czasami opłaca się być synem senatora.

Jeśli Judd Wanamaker przebywa w kraju.

Zadzwonił do niego.

Najbliższy przyjaciel ojca jest teraz ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Egipcie. Byli sojusznikami w Senacie. Razem niezmordowanie walczyli o ustawę o ochronie mokradeł, narażając się na niezadowolenie deweloperów i gigantów przemysłu drzewnego. Ta przyjaźń obejmowała również ich rodziny. Kiedyś pojechali razem na wakacje do Niagara-on-the-Lake i tak zrodziła się tradycja, która przetrwała niemal dwadzieścia lat, do śmierci ojca Davida. Zmarł na zawał w sali Senatu.

- Mamy szczęście - powiedział do Jael. - Jest w kraju, przyjechał załatwić coś w ONZ. Chce spotkać się z nami podczas przerwy na lunch. Trzy przecznice stąd jest japońska restauracja z prywatną salką, gdzie będziemy

mogli swobodnie porozmawiać. Mamy się tam pojawić za godzinę.

- Jest więc czas, żeby się temu przyjrzeć. - Jael przenio sła torbę rabina na łóżko i po kolei wyjmowała wszystko, co w niej jeszcze zostało. Ułożyła wyjęte przedmioty obok ko- łonotatnika i spojrzała pytająco na Davida. - Gdy przeglą dałeś zawartość torby, znalazłeś coś interesującego?

Jest spostrzegawcza i atrakcyjna, pomyślał David, zdziwiony, że to zauważył.

- Tak. Są tam rzeczy, które nic mi nie mówią. A ty? Znalazłaś coś interesującego w notatniku rabina?

Jael usiadła na łóżku z podwiniętymi nogami.

- Jest tam trochę szczegółowych zapisków dotyczą cych jego badań nad działalnością gnozytów. Oni mają ob sesję na punkcie tajemnicy, zupełnie jak dawni gnostycy. Dlatego tak mało wiadomo o ich wierzeniach i prakty kach. Polegają na tradycji ustnej i nadal używają tajnych talizmanów i symboli do identyfikacji członków sekty. - Jael zmarszczyła czoło. - Ben Moshe był ogromnie nie spokojny. Lękał się, że gnozyci są już bliscy osiągnięcia swego celu. Napisał jeszcze coś.

David czekał. Patrzył, jak wyraz jej twarzy łagodnieje.

- Rabbi pisał o swojej wierze w Boga. Ufał, że Bóg wskaże sposób pokonania gnozytów.

David nigdy nie zetknął się z taką wiarą. Zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby wierzył w coś z takim przekonaniem. Jego duszę poruszały krytyczne rozważania na temat systemów politycznych i analiza ich funkcjonowania, nie zaś kazania, modlitwy, opowieści biblijne. Teraz jednak usiłował znaleźć logikę w zdarzeniach, których wyjaśnienie było niemożliwe.

Przez chwilę w pokoju słychać było tylko bębnienie deszczu o szyby. W końcu David wziął z łóżka jakąś kolorową kartę.

- Czy wspomniał coś o tym?
- To karta tarota - wyjaśniła Jael, marszcząc brwi.

- Naprawdę? - zdziwił się David. - Wydawało mi się, że ortodoksyjnym Żydom nie wolno uprawiać chiromancji, wróżbiarstwa, że wszelki okultyzm jest zakazany. Na studiach miałem kolegę, ortodoksyjnego Żyda, który wciąż upominał naszą koleżankę, również Żydówkę, żeby przestała czytać horoskopy, ponieważ Tora zakazuje wróżenia.

- To prawda, ale twój kolega się mylił - odpowiedziała, unosząc brwi. - Astrologii nigdy nie utożsamiano z wróżbiarstwem. Powinieneś zobaczyć podłogi w starożytnych domach i synagogach, które odkopaliśmy w Izraelu, zwłaszcza te z okresu od pierwszego do czwartego wieku. Nie mogę zliczyć, ile razy widziałam na nich ozdobne znaki zodiaku.

- Mówisz serio?

- Oczywiście. Starożytni kabaliści wierzyli, że wszystko w świecie duchowym ma swoje odbicie w świecie fizycznym, w królestwie planet i gwiazd. Uczyli, że gwiazdy i planety stanowią część wielkiego boskiego planu wszechświata. Wszystko w niebie ma swoje odbicie na ziemi.

Jael przyglądała się karcie tarota. Jedna jej strona przedstawiała kolorowy rysunek wieży - potężnej spiral-

nej fortecy, z której spadały do fosy sylwetki ludzkie, gło

wami w dół. Za wieżą atramentowe niebo przecinała błyskawica, od której zapaliło się najwyższe piętro budowli. Na odwrocie był tylko prosty rysunek splecionych węży i w lewym dolnym rogu numer 471.

- Nie mogę zrozumieć, do czego rabinowi ben Mo-shemu służyła ta karta. - Jael wydawała się zdziwiona. -Nie jestem specjalistką od tarota, ale wiem, że ta karta

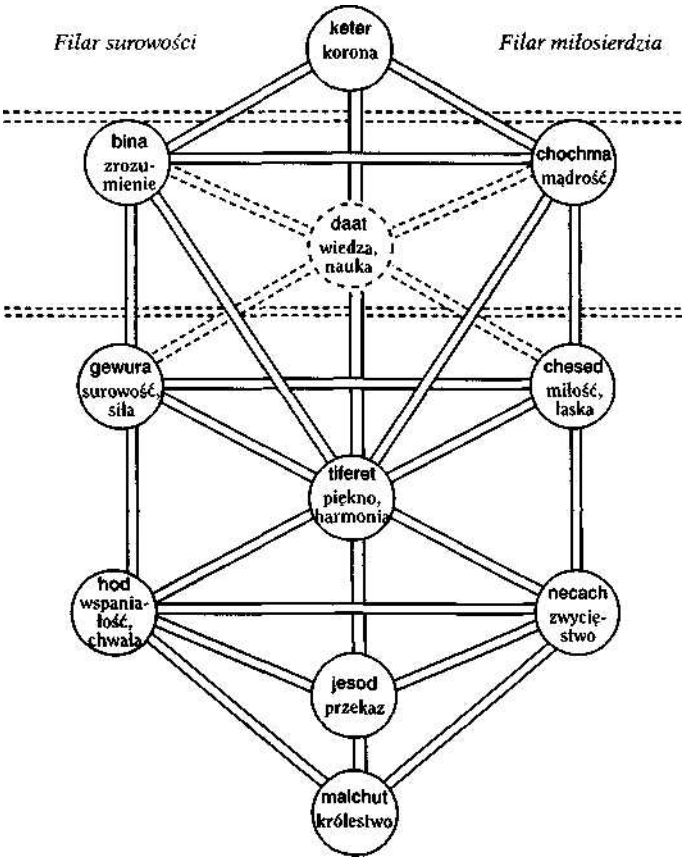
Filar surowości
keter
korona
Filar miłosierdzia
bina
zrozu-
mienie
chochma
mądrość
daat
wiedza,
nauka
gewura
surowość,
siła
chesed
miłość,
łaska
tiferet
piękno,
harmonia
hod
wspania-
łość,
chwała
necach
zwycię-
stwo
jesod
przekaz
malchut
królestwo

wywodzi się wprost z kabalistycznego drzewa życia. Pokażę ci.

Nic mnie już nie zdziwi, pomyślał David, gdy Jael sięgnęła po niewielki zafoliowany rysunek, który on też wcześniej zauważył. Wskazała na połączone cząsteczki.

- To właśnie jest drzewo życia - powiedziała. - Podstawa kabały.
- A więc to jest drzewo życia. Ja myślałem, że schemat cząsteczki chemicznej - przyznał David.

Jael potrząsnęła głową. Spróbowała ukryć uśmiech.

- To oczywiście symboliczne drzewo. Każde z tych kół - *sefirot* - wyraża jakiś atrybut Boga, który ludzie mogą naśladować. Kabaliści uważają je za formy emanacji boskiej i kroki na drodze do duchowego oświecenia. Jak wiesz, ja również jestem naukowcem, nie mistykiem, ale podziwiam pojęcia, tajemnicę i piękno, zawarte w drzewie życia.

David spojrzał na rysunek. Znowu tracił cierpliwość. Koła nadal prezentowały mu się jak struktura cząsteczki, a nie rozumiał, jaki to wszystko ma związek z zapewnieniem Stacy bezpieczeństwa.

- Co to ma wspólnego z tarotem? Lub z gnozytami? -spytał cierpko.
- Nie wiem, jak to się łączy z gnozytami, ale karty tarota są wzorowane na drzewie życia. Dziewiętnastowieczny francuski okultysta Eliphas Levi jako pierwszy badał to podobieństwo. Chodzi o... - Jael przygryzła wargi i starannie dobierała słowa. - *Sefirot* reprezentują wszystko, co stworzone, przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Wyobraź sobie, że każde z tych kół jest „naczyniem" wypełnionym boskim światłem lub energią. To z nich - jak twierdzą mistycy - Bóg stworzył świat, napełniając je tak potężnym światłem, że popękały, a iskry owej światłości uwięzły w skorupach, które rozproszywszy się, rozprzestrzeniły światło w całym wszechświecie. Tak powstał nasz świat.

- Wielki Wybuch?
- Niezupełnie. - Jael zmrużyła oczy. - Mogę mówić dalej?

Bolesny wyraz jej twarzy przypomniał Davidowi znużoną pytaniami nauczycielkę z trzeciej klasy, panią Karp. Ale Jael HarPaz była od niej znacznie ładniejsza.

- Mów - odpowiedział, przeciągając się. Kark zesztywniał mu boleśnie.
- Mamy więc te skorupy - ciągnęła Jael. - Mistycy nauczają, że każda z nich na kształt zamkniętej muszli więzi w sobie światło. Zadaniem człowieka jest rozbić je, uwolnić iskry boskiego światła i przywrócić światu.

Jael wstała z łóżka i znowu zaczęła krążyć po pokoju.

- Nie możesz oczekiwać, Davidzie, że wszystko od razu zrozumiesz. Kabała jest bardzo skomplikowana. Wierz mi, że moja wiedza jest bardzo powierzchowna. Trzeba poświęcić wiele lat na studia, żeby poznać choćby podstawy. Właśnie dlatego w przeszłości kabała stanowiła tajemnicę.
- Wydaje mi się, że kabaliści mają coś wspólnego z gnozytami - zauważył David.
- Owszem, zamiłowanie do tajemnic. Również gorące pragnienie nawiązania kontaktu z Bogiem. - Jael zatrzymała się i zwróciła ku Davidowi. - Jednakże ich rozumienie świata i celu ludzkiego życia jest zupełnie inne. Kabała ukazuje potencjał, który należy wykorzystać do tworzenia światła i dobra w świecie. Naucza, że naszym zadaniem jest naprawiać świat, nie zaś go niszczyć.
- Wreszcie. Przypomniałem sobie coś z hebrajskiej szkoły - *tikun olam.* Obowiązek naprawiania świata, czynienia go lepszym.
- Właśnie - potwierdziła, opierając się biodrem o biurko. - Poza tym gnozyci uczą nawet dzieci, że świat materialny jest zły, natomiast kabałę tradycja pozwala poznawać tylko żonatym mężczyznom po czterdziestce, którzy przedtem przez wiele lat studiowali Torę.

- To wyklucza Madonnę.

- Oraz wielu innych, którzy przywłaszczyli sobie kabałę jako modną religię. Nie można oddzielić kabały od judaizmu, od badania Tory. Wszystko to zawsze było nierozerwalnie ze sobą związane.

- Nie mam jeszcze czterdziestu lat, a już nie jestem żonaty, ale chciałbym się dowiedzieć, jaki związek ma drzewo życia z tarotem.

- Cierpliwość nie jest chyba twoją najmocniejszą stroną, prawda?

- Zwłaszcza gdy zagrożone jest życie mojej córki.

- Już się do tego zbliżamy - zapewniła go, przeczesując palcami wilgotne włosy. Podała mu kartę.

- Dziesięć *sefirot* - kolistych struktur - reprezentuje różne poziomy duchowości. Dwadzieścia dwie linie między nimi to drogi, jakie pokonują żydowscy mistycy w rozwoju duchowej świadomości.

- Zrozumiałem. - David potarł palcami skronie. Znowu zaczął mu dokuczać lekki ból głowy.

- Mamy więc dziesięć *sefirot,* dwadzieścia dwa połączenia między nimi i dwadzieścia dwie litery hebrajskiego alfabetu. W talii tarota są również dwadzieścia dwie karty Wielkich Arkanów. W tarocie istotna jest także liczba dziesięć. Co ci jest?

David przyciskał dłonie do skroni, jakby walcząc z bólem.

- Dobrze się czujesz? - spytała. Poszła do łazienki, by przynieść mu wody.

David miał ochotę zamknąć oczy. Ból głowy ogromnie się nasilił. Mężczyzna zmusił się, żeby spojrzeć na zegarek.

Powinni już iść na spotkanie z Juddem. Dlaczego Hutch się nie odezwał? Zobaczył, jak Jael podaje mu szklankę. Wydawała się zaniepokojona.

- Boli mnie głowa - mruknął, po czym nagle zerwał się z łóżka. Od torby dzieliły go tylko dwa kroki. Wyciągnął notatnik.

Percy Gaspard.

David wziął z biurka długopis, otworzył notatnik i zapisał kolejne nazwisko.

- Percy Gaspard - powiedział ledwo słyszalnym głosem. Jael podeszła do niego i spojrzała ponad jego ramieniem. David zapisał datę.

- Zadzwonię do Awiego, żeby sprawdził, czy Percy Gaspard jest na liście nazwisk, które my odczytaliśmy -rzuciła szybko. - Dowiemy się też, czy jeszcze żyje.

Czy już jest martwy. A może jest następną ofiarą... pomyślał David.

- Skoro już do niego dzwonię - wtrąciła Jael z telefo nem przy uchu - powiem mu, żeby zajął się twoim pa szportem. Na wszelki wypadek, gdyby twój przyjaciel nie mógł tego załatwić.

David powlókł się do łazienki i umył twarz zimną wodą.

- Musimy już iść - oznajmił, wróciwszy do pokoju. Wrzucił notatnik do torby, zgarnął z łóżka rzeczy rabina i również je schował.

- Będzie bezpieczniej, jeśli weźmiemy to wszystko ze sobą. - Odetchnął głęboko. - Jesteś gotowa walczyć z potopem?

Jael włożyła mokry, jedwabny zielony żakiet.

- Szkoda, że na zewnątrz nie czeka Noe z arką. - Mó wiąc to, ruszyła energicznie do drzwi.

ROZDZIAŁ 15

Judd Wanamaker wyglądał jak wiejski doktor. Był łysiejącym, korpulentnym mężczyzną ze starannie przystrzyżoną brodą, a w jego szczerej twarzy rzucał się w oczy przede wszystkim nos jak u świętego Mikołaja. Ojciec Da-vida mówił, że jeśli Judd przegra wybory, zawsze może zostać nowojorskim taksówkarzem, bo prowadzi jak wariat owładnięty pragnieniem śmierci, zna miliony anegdot i uwielbia je opowiadać.

- Musicie wziąć *sanma shioyaki* - namawiał ich, gdy tylko dokonano koniecznych prezentacji i usiedli w prywatnym pokoju na piętrze, nad salą jadalną restauracji Yotsuba. Wnętrze było urządzone w japońskim stylu. Jael usadowiła się na poduszce wypchanej ryżową słomą, krzyżując nogi pod niskim stolikiem. Dla wygody do leżących na podłodze mat przymocowano rzeźbione drewniane oparcia. Sięgnęła po menu ozdobione wytłoczoną czterolistną koniczynką. - To makrela z rusztu. Podają ją ze świeżą siekaną japońską rzodkiewką. Najlepsza, jaką kiedykolwiek jadłem. Pięć lat temu Ted Kennedy zaprosił mnie tu na makrelę. Była tak fantastyczna, że już następnego dnia znowu przyszedłem.

- Judd zawsze był entuzjastą dobrej kuchni i polityki -powiedział David do Jael, gdy kelner ustawiał przed nimi szklanki z wodą. - No i swojej żony. Jak się ma ciocia Ka-tharine? - zwrócił się do przyjaciela ojca. - Czy nadal

zbiera najwięcej ze wszystkich na Narodową Orkiestrę Symfoniczną?

- Pewnie nawet w tej chwili pracuje nad ustanowieniem rekordu. Zbieranie funduszy wymaga jeszcze większego talentu politycznego niż uprawianie polityki, a Ka-tharine ma wrodzone zdolności - opowiadał Judd. -Naprawdę powinna pani spróbować makreli - zachęcał Jael.

- Myślę, że na dzisiaj mam już dość ryzykownych przygód, panie ambasadorze - odpowiedziała. - Wezmę raczej *kitsune udon.*

- A jakie to przygody przeżyliście dzisiaj poza ulewą? - spytał Judd, patrząc na nią ze współczuciem.

David pomyślał, że Jael świetnie panuje nad sobą. Przecież przyleciała do Stanów tego dnia rano, a już zdążyła zobaczyć morderstwo, zaliczyć ucieczkę przed uzbrojonym bandytą, który do niej strzelał, a teraz je lunch z ambasadorem. Zaintrygowało go, co musiała przeżyć, że potrafi zachować taki spokój.

- Może lepiej najpierw coś zamówmy - powiedział, spoglądając na czekającego w pobliżu kelnera.

Judd skinął głową. W jego oczach pojawił się cień niepokoju.

Nagle przygasły światła, ale prądu brakowało tylko przez chwilę. David się zdenerwował.

Wybrali przystawki i dania główne. Gdy kelner wyszedł i zasunął za sobą drzwi *shoji,* David nieco się rozluźnił. Migotanie światła najwyraźniej nie było zapowiedzią poważnej awarii.

- Nie zawracałbym ci głowy, Judd, gdyby to nie było naprawdę konieczne - zaczął. - Muszę jednak jutro wyjechać za granicę, a mój paszport gdzieś znikł.

- Rozumiem. - Judd przyjrzał mu się badawczo. - Interes czy przyjemność?

- Interes. - To zabrzmiało ostrzej, niż David chciał. Judd nie spuszczał z niego wzroku.

- Wygląda na to, że pilny.
- Inaczej nie sprawiałbym ci kłopotu.
- To żaden kłopot, Davidzie. Z przyjemnością ci pomogę. Będzie z tym trochę papierkowej roboty. Musisz przyjść do mnie do ONZ jutro z samego rana. Myślę, że bez trudu uda mi się załatwić ci paszport w ekspresowym tempie.
- Jak długo to potrwa? - wtrąciła Jael, odwijając pałeczki z lnianej serwetkę.
- Zadzwonię zaraz po lunchu i jutro w południe powinniście już mieć paszport.
- Bardzo dziękuję, sir. - W odruchu wdzięczności Da-vid zwrócił się do niego tak, jak przywykł w dzieciństwie. Judd się uśmiechnął.
- Ośmielam się sądzić, że twój ojciec zrobiłby to samo dla każdego z moich dzieci.
- A co słychać u Katie, Ashleya i Marka? - spytał David.

Kelner wrócił z wielką drewnianą tacą artystycznie ułożonych sushi i sashimi.

David ugryzł bułkę, która smakowała mu jak styropian. Zupełnie nie miał apetytu. Grzebał pałeczkami w potrawie, licząc, że Judd tego nie zauważy. Rozmawiali na błahe tematy - rodzina, kariera, małżeństwo. Jael słuchała w milczeniu. Jadła kluski z tofu i tylko od czasu do czasu wtrącała jakąś uwagę.

Gdy Judd spytał o Stacy, zapadła pełna napięcia cisza.

- Nie rozmawiałem z nią od kilku dni - David próbo wał ukryć niepokój. - Małżeństwo Meredith trochę wytrą ciło ją z równowagi.

Judd nie był głupcem. Bez trudu zauważył jego krótkie wahanie i zakłopotanie, nim odzyskał panowanie nad sobą. Zmarszczył brwi.

- Masz z nią jakiś problem, prawda? - spytał spokojnie. - Znam cię jak własne dzieci. Czy Stacy jest chora?
- Nie, nic jej nie jest - zaczął, ale zaraz pokręcił gło-

wą. Czuł zbyt wielki ból, żeby udawać. - Jej życie jest zagrożone, Judd. Niebezpieczeństwo czyha wszędzie.

- Co ty mówisz? - Ambasador odłożył pałeczki i przygwoździł go spojrzeniem, które przeraziło już niejednego świadka podczas przesłuchań w Senacie.
- Nie zrozumiesz. Sam tego nie rozumiem.
- Przekonaj się. Jeśli tylko będę mógł coś zrobić, dobrze wiesz, że zrobię.

David i Jael wymienili spojrzenia. Jael nieznacznie wzruszyła ramionami, dając mu do zrozumienia, że może posłuchać swojego instynktu.

Spojrzał Juddowi w oczy. Twarz ambasadora miała pytający wyraz.

- Czy słyszałeś kiedyś o sekcie gnozytów?

ROZDZIAŁ 16

Byli już czterysta kilometrów od Santa Monica, a Stacy wciąż dygotała. Droga, pogrążona w nocnych ciemnościach, wiodła przez pustkowie. Tylko w oddali widać było poświatę - to płonął las. Jechali wynajętym dżipem Grand Cherokee na wschód, autostradą 1-40 u podnóża Black Mountains.

Hutch spojrzał w lusterko wsteczne. Meredith siedziała z tyłu, obejmując córkę. Gdy wyjechali z miasta, Stacy przestała łkać. Teraz tuliła się do matki i nie podrywała się już nerwowo na widok każdej białej furgonetki.

Co za szaleniec zaatakował dziecko na jego podwórku? - zastanawiał się Hutch.

A może chodziło im o Davida, może ktoś chciał uderzyć w niego, atakując pasierbicę?

To było jak jakieś niesamowite *deja vu*. Ile już lat minęło, od kiedy ochraniał Davida? A teraz ta dziewczynka, którą David traktował jak własne dziecko, potrzebowała jego opieki.

Meredith poruszyła się.

- Ile jeszcze do Flagstaff? - szepnęła.

Hutch zauważył, że Stacy zasnęła z głową na ramieniu mamy.

- Trzy godziny z hakiem. Potrzebujesz toalety?
- Jeszcze nie - odpowiedziała po chwili wahania. -Przejedźmy granicę stanu.

- Już niedaleko. - Hutch znowu spojrzał w lusterko. Było tak ciemno, że nie widział twarzy Meredith. Gdy wyjeżdżali z Santa Monica, była śmiertelnie przerażona. -Może spróbujesz się zdrzemnąć. Obudzę cię, gdy dojedziemy do jakiegoś przyzwoitego miejsca w Arizonie, gdzie moglibyśmy się zatrzymać.
- Nie, dziękuję. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zasnę -mruknęła.
- Zapewniam cię. Zabiorę was w takie miejsce, gdzie nikt was nie znajdzie.

Hutch był wysokim, potężnym mężczyzną. Potrafił walczyć i chronić innych. Emanowała z niego spokojna pewność siebie. Meredith wiedziała, że powinna się czuć bezpieczna, ale wciąż się denerwowała. Noc wydawała się groźna, a wróg nie miał twarzy.

Meredith dostała gęsiej skórki. Przytuliła mocniej Stacy.

Patrzyła zaczerwienionymi i podpuchniętymi oczami na samochody jadące po drugiej stronie autostrady. Modliła się, żeby Hutch miał rację. Może rzeczywiście nikt ich nie znajdzie. Ten dzień zaczął się tak normalnie, a potem nagle wszystko się odmieniło. Teraz czuła się jakby inną kobietą. Przerażonym zbiegiem. Drżała nie o siebie, lecz o jedyną istotę, która znaczyła dla niej więcej niż cokolwiek na świecie.

- Spróbuję zadzwonić do Davida - powiedziała, sięgając do torebki po telefon.
- Powodzenia. - Hutch przyśpieszył, żeby wyprzedzić gigantyczną ciężarówkę. - Nie wiadomo dlaczego, od razu przełącza na pocztę głosową.
- Można by oczekiwać, że ją czasem sprawdza. -W głosie Meredith dało się wyczuć pretensję.
- Coś mi mówi, że David robi teraz wszystko, co w jego mocy - odrzekł spokojnie Hutch. - Zadzwoni.

A wtedy, pomyślała Meredith, zaciskając usta i z trudem opanowując napięcie, może jakoś wyjaśni, dlaczego ktoś nastaje na moją córkę. Otworzyła telefon.

ROZDZIAŁ 17

Gdy David skończył opowiadać, Judd Wanamaker gwizdnął cicho. Spoglądał na zmianę na napięte twarze Davida i Jael. Nim przerwał ciszę, musiał zebrać myśli.

- To brzmi jak jakaś fantastyka, Davidzie. Lamed wow-nicy, tajne kulty, zastąpienie Boga.
- Proszę nie zapominać o zniszczeniu świata - wtrąciła Jael, patrząc na niego z ukosa.
- Gdybyś nie był synem Boba Shepherda, roześmiałbym ci się w nos i poszedłbym sobie. Ale w tych okolicznościach... - Spojrzał na niego przenikliwymi szarymi oczami. - Nie wiem, jak mam to wszystko zrozumieć.
- Judd, wiem, że to brzmi jak opowieść szaleńca, ale niebezpieczeństwo jest jak najbardziej realne. Gnozyci i Aniołowie Ciemności to nie jest żaden wymysł. Dziś rano niewiele brakowało, a udałoby im się zabić nas oboje. -David zacisnął palce na krawędzi stołu.
- Jeśli pan nie wierzy, że gnozyci usiłują spowodować koniec świata - dodała Jael - może pan wyjdzie na dwór i rozejrzy się. To nie jest normalna burza. Czy widział pan kiedyś takie strumienie na ulicach? Wszystko wokół stanęło na głowie. Świat został pozbawiony z równowagi. To nie jest zbieg okoliczności.
- Może powinienem zadzwonić do prezydenta? - rzucił Judd, trochę żartując, a trochę drażniąc się z nimi.
- Może powinieneś zobaczyć to - odrzekł David, wyciągając z torby swój notatnik.

Położył na stole oprawny w czerwoną skórę duży notes. Judd sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po okulary. W milczeniu otworzył notatnik i zaczął przerzucać strony.

- To spis nazwisk.

- Zdaniem rabina nie są to nazwiska zwykłych ludzi -wyjaśnił David. - Pamiętasz, jak spadłem z dachu razem z Crispinem Muellerem i Abby Lewis? Gdy tego dnia w szpitalu byłem bliski śmierci, przeżyłem mistyczne doświadczenie. Widziałem ludzi o tych nazwiskach, mówili do mnie i prosili, żebym je zapamiętał. To byli ludzie, o których ci opowiedziałem. Jael twierdzi, że gnozyci chcą ich zabić. W jakiś sposób poznałem ich nazwiska. Rabin powiedział mi, że to nazwiska lamed wowników.

David wziął od Judda swój dziennik. Trzymał go mocno obiema rękami.

- Te same nazwiska są zapisane na papirusie z Bliskiego Wschodu, który odczytali Jael i jej ojciec.

- Autentyczność papirusu została potwierdzona naukowo - zapewniła Jael. - To fragmenty legendarnej Księgi imion, spisanej przez Adama.

- Tego od Ewy? - zdumiał się Judd.

- Zaczyna pan rozumieć - zauważyła cicho.

- Czy pani zdaje sobie sprawę, co mówi? - Judd zmarszczył czoło. Zwrócił się do Davida. - Co to ma wspólnego z twoim wyjazdem?

- David musi się spotkać z mistykami z Safedu - wyjaśniła Jael, nim David zdążył odpowiedzieć. - Możliwe, że on ma w ręku klucz do udaremnienia planu gnozytów. Naszym zdaniem jest posiadaczem szczególnej wiedzy, którą nie dysponuje nikt inny na świecie. Minie jeszcze sporo czasu, nim archeolodzy zrekonstruują całą Księgę imion Adama. - Jael spojrzała na Davida. - Ale jeśli tu zostanie, gnozyci znajdą go i zabiją.

Znajdą. Zabiją. David nagle spojrzał na zegarek. Dlaczego Hutch jeszcze nie zadzwonił? A Meredith? Stacy? Sprawdził telefon. Przegapił cztery sygnały.

- Przepraszam na chwilę - mruknął i połączył się z pocztą głosową.

- Boże! - wykrztusił przez zaciśnięte gardło.

Jael i Judd zamarli.

- Ktoś usiłował porwać Stacy. Udało się jej uciec. Teraz jest pod opieką Hutcha. Razem z Meredith.

- Och, Davidzie! - Judd zerwał się z krzesła i stał osłupiały ze zmarszczonym czołem. - Nic jej się nie stało? Czy zawiadomili policję?

- Hutch powiedział, że nic jej nie jest. Policja przyjechała od razu, jeszcze przed Hutchem. Zabrał je do swojej chaty. - David zwrócił się do Jael. - Kiedy przyjedzie ten zespół Awiego?

- Jutro. Daj mi adres, to zadzwonię do nich i spytam, kiedy będą na miejscu.

Jael płynnym ruchem wstała z maty i oddaliła się o parę kroków.

- Jutro z samego rana przyjadę do ONZ w sprawie paszportu - zapewnił David. - Czy mi wierzysz, Judd, czy nie, muszę mieć paszport. - Spojrzał mu w oczy.

- Będziesz miał. Ja... nie wiem, jak to rozumieć. Jestem człowiekiem wierzącym, wiesz. Jednak... - Judd Wa-namaker chwycił go za rękę. - Czy to może być prawda? Wydaje mi się...

- Nie! - przerwał mu okrzyk Jael. - To niemożliwe!

Jael z całej siły ściskała telefon, a w jej oczach pojawiły się łzy. Gdy skończyła rozmowę, podeszła do nich sztywnym krokiem. Jej twarz miała kolor resztek ryżu na talerzach.

- Rozmawiałam z Awim. Samolot, którym leciał jego zespół, runął do Atlantyku. Oba silniki wybuchły nad oce anem.

David poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

- Silniki samolotów El-Al-u nie wybuchają - z trudem dodała Jael. - W każdym razie nie same z siebie, i to oba równocześnie.

ROZDZIAŁ 18

Jael i David szli Parkside w kierunku Riverside Tower. Oboje pochylili głowy, żeby osłonić twarze przed deszczem. Nigdzie nie było widać wolnej taksówki, a woda w kałużach sięgała kostek. Co chwila szarpały nimi mocne podmuchy wiatru. Przechodzili przez skrzyżowania, nie zwracając uwagi na światła, byle tylko uciec przed szalejącym żywiołem.

Inni przechodnie również biegli, walcząc z wiatrem. Podmuchy były tak silne, że parasole stały się bezużyteczne. Spod kół samochodów tryskały gejzery wody.

Nim doszli do pierwszej przecznicy, David zauważył szyldy kwiaciarni, sklepu Duane Reade i potem - nad wejściem do sutereny - migający neon: WRÓŻENIE Z KART TAROTA. Chwycił Jael za rękę.

- Mam pomysł - spróbował przekrzyczeć ulewę. -Chodźmy tędy.

Szybko zeszli po schodkach. Na drzwiach zobaczyli szeroko otwarte szkarłatne oko. Gdy otworzyli, rozległo się dźwięczenie zawieszonych na sznurkach kryształków. W pokoju unosił się dziwny zapach wanilii i czosnku. Pośrodku stał stół, a wokół niego kilka składanych krzeseł. Pod sufitem wisiał zakurzony żyrandol. W kącie stała szklana gablotka z migającymi w świetle amuletami, otoczona doniczkami paprotek, bambusem, sansewierą. Pod

ścianą naprzeciwko znajdowała się rachityczna biblioteczka, zapchana różnymi książkami.

Zamigotała kurtyna z paciorków nanizanych na złote nitki i do pokoju weszła starsza kobieta. Niska, w czarnej spódnicy do kostek i fioletowej tunice, z siwiejącymi włosami splecionymi w gruby warkocz. David ocenił ją na siedemdziesiąt lat, ale miała gładką i elastyczną skórę, a na bardzo małych rękach nie widać było żył. Jej wiek zdradzały jednak wyblakłe brązowe oczy, zasnute mgiełką zaćmy, a także powieki, cienkie i pomarszczone jak bibuła.

Podeszła do okrągłego stołu nakrytego satynowym obrusem. Pośrodku stała świeca i leżało pudełko zapałek. Bez żadnych zapowiedzi sięgnęła po talię kart tarota.

- Witam. Nie spodziewałam się gości w taki deszczowy dzień. Komu z państwa mam powróżyć?

Mnie. Gdybym tylko wierzył, że może mnie pani zapewnić, iż Stacy nic się nie stało, pomyślał ponuro David. Niepewność jest torturą, ale w tej chwili nie mógł o tym myśleć.

- Przyszliśmy tutaj, ponieważ potrzebujemy pewnych informacji - powiedział. Podsunął Jael krzesło i sam usiadł obok.

- W kartach jest wiele informacji - odrzekła i podała im talię. - Proszę. Kto zechce potasować?

Zamiast wziąć talię, David sięgnął do torby, poszperał i wyciągnął kartę rabina.

- Bardziej mnie interesuje, co może nam pani powiedzieć o tej karcie.

Kobieta wydawała się zirytowana pytaniem. Odłożyła karty i usiadła naprzeciwko nich. Wzruszając ramionami, wzięła kartę od Davida i przez chwilę przyglądała się rysunkowi wieży, a potem spojrzała na drugą stronę.

- To wieża. Co jeszcze chce pan wiedzieć?

*

- Mam ich. Znam tę okolicę.

James Gillis pstryknął palcami na Enriąue, który leżał na podwójnym łóżku w pokoju motelu na Lower East Side. Portorykańczyk zerwał się natychmiast, wyciągnął z szuflady biurka kluczyki do furgonetki i pobiegł do drzwi. Gillis ruszył za nim, choć jeszcze mówił coś szybko do telefonu komórkowego. Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

- Znaleźliśmy ich - rzucił. Postawił kołnierz, żeby osłonić się przed deszczem. - Pogadamy po drodze.

Gdy szli do furgonetki, Gillis przekazał mu wszystkie informacje.

- Mamy cholerne szczęście. Dostaliśmy drugą szansę. Właśnie wyszli z restauracji Yotsuba. Niedaleko Riverside Park.

- Chcielibyśmy wiedzieć, co oznaczają rysunki na karcie - powiedziała Jael, przysuwając się z krzesłem do stołu.

Wróżbitka popchnęła kartę w stronę Jael i spojrzała jej w oczy.

- Wieża to karta należąca do Wielkich Arkanów. Najbardziej złowróżbna karta w talii.
- Jakie nieszczęścia zapowiada? - spytał David.
- Wróży śmierć, zniszczenie, strach, ofiary - wyjaśniła, przyglądając się jego zmartwionej twarzy. - Inaczej mówiąc, zapowiada poważne zmiany. - Kobieta postuka-ła nierównym paznokciem w figurki spadające z wieży. -To wyraźna zapowiedź - dodała. - Potężny upadek wiodący do odkrycia ostatecznej prawdy. - Odchyliła się do tyłu. Nagle, nie wiadomo skąd, skoczył jej na kolana zupełnie biały kot. David nie zauważył go wcześniej. -Przyszedłeś, Kabuki, przyjrzeć się gościom? - Wróżbitka pogłaskała kota po grzbiecie.
- Czy to wszystko? - spytał David, zmieniając pozycję na krześle.

- A ile macie czasu? - spytała z ironicznym uśmie chem. Wstała, zmuszając kota do zeskoczenia na podłogę. Podeszła do biblioteczki, popatrzyła na książki, wyjęła gruby tom i wróciła z nim do stołu. Zręcznie otworzyła księgę na odpowiedniej stronie. - Tutaj - mruknęła. Za częła głośno czytać, trzymając książkę blisko zasnutych mgłą oczu i mrużąc je. - Wieżą rządzi Mars, planeta wojownicza, dlatego karta ta ma związek z wojną. - Za cisnęła usta po tym słowie. Po chwili czytała dalej śpiew nym głosem. - Wojną między strukturami zbudowanymi z kłamstw. Również - wskazała palcem piorun uderzają cy w wieżę - z oślepiającym błyskiem prawdy. - Odłożyła książkę i przyjrzała im się uważnie. - Gdy komuś wycho dzi z rozkładu ta karta, ostrzegam go, żeby się przygoto wał na szokujące odkrycia. Coś tak potężnego, że może zmieść króla z tronu lub wstrząsnąć systemem od dawna wyrobionych przekonań.

System od dawna wyrobionych przekonań. Poczuł, jak w żołądku przewraca mu się sashimi. Czy cywilizację można nazwać systemem od dawna wyrobionych przekonań?

Tylko nie daj się nabrać na taką bałamutną gadaninę, powiedział sobie. Gdy kobieta znowu zaczęła mówić, przerwał jej grzmot. W niewielkim pokoju nagle zrobiło się ciemno. Wstrzymali oddech. Po chwili wróżbitka zapaliła grubą świecę pośrodku stołu.

- Tak jest lepiej - mruknęła cicho. Z płomienia świecy rozchodził się zapach wanilii.

David rozejrzał się dookoła. Zdecydowanie wolałby, żeby znowu zapaliły się żarówki. Nic z tego.

W migającym świetle świecy napięta twarz Jael wyglądała jak oblicze zjawy, ale gdy kobieta się odezwała, jej głos brzmiał pewnie i energicznie.

- Czy ta książka mówi coś o związkach tarota z żydowskim mistycyzmem? - spytała, nagle zmieniając temat.

- Oczywiście. Kabała. - Staruszka pokiwała głową

w ciemnościach. - Według pewnych źródeł tarot ma związek z kabałą, według innych nie. Niewątpliwie są liczne podobieństwa. - Podsunęła książkę Davidowi. - Minie trochę czasu, nim znowu będzie prąd. Panu łatwiej czytać przy świecy niż mnie.

- Wiemy już o liczbowych związkach między kartami i alfabetem hebrajskim - powiedział David, przerzucając ilustrowane strony w poszukiwaniu indeksu. - Dwadzieścia dwa triumfy i dwadzieścia dwie litery alfabetu.

David poczuł, że kot plącze mu się między nogami i ociera się o niego.

- Mam. Kabała - powiedział. Otworzył księgę na odpowiedniej stronie i zaczął głośno czytać. - Talia tarota to lustrzane odbicie kabalistycznego drzewa życia. Podobnie jak istnieje dziesięć *sefirot,* jest też dziesięć numerowanych kart w każdym kolorze tarota. Jest jeszcze jeden niezwykły związek. Cztery mistyczne światy, w których istnieje drzewo życia - ziemia, powietrze, woda i ogień - to odpowiedniki czterech kolorów tarota: pentagramów, mieczy, różdżek i kielichów. - David spojrzał na wróżbitkę. Uśmiechała się, a w jej tęczówce migotał płomień świecy.

- Jeśli chce pan poznać więcej związków, jestem pewna, że znajdzie pan dużo materiałów w miejskiej bibliotece publicznej - powiedziała. - Ale zarazem - dodała, prychając kpiąco - znajdzie pan również mnóstwo książek, których autorzy twierdzą, że tarot nie ma nic wspólnego z kabałą. Że templariusze przejęli go od Saracenów. To jeszcze nie wszystko - ciągnęła, pochylając głowę w bok. -Nie brakuje takich, którzy utrzymują, że pierwszą talię stworzyli w piętnastym wieku gnostycy

David poczuł, jakby po plecach przebiegła mu iskra elektryczna.

- Naprawdę? - podniósł ze stołu kartę rabina ben Moshego. - Czy na tej karcie dostrzega pani coś, co ma szczególny związek z kabałą lub gnostykami?

- Oczywiście. - Trudno tego nie zauważyć. - Wróżbitka popatrzyła na niego z politowaniem. Wzięła do ręki kartę, odwróciła ją i zbliżyła do świecy. - To. Podwójny Uroboros.

- To pochodzi z greckiego, prawda? - Jael przyjrzała się dwom wężom, które zjadały się nawzajem od ogonów, a ich ciała tworzyły ósemkę.

- Tak. Według gnostyków wąż połykający własny ogon wyobraża słońce lub świat. Natomiast dwa węże, jak na tym rysunku, to Wielki Wąż Świata, gnostycki symbol odwiecznego cyklu śmierci i ponownego narodzenia.

- Śmierć i powtórne narodzenie. Zniszczenie i odnowa - powiedziała Jael. Davida mdliło od połączenia tem-pury z zapachem wanilii. Jael pochyliła się ku niemu. -Właśnie to chcą osiągnąć gnozyci w skali całego świata -szepnęła. - Dlatego zabijają lamed wowników. Czy w końcu mi wierzysz?

Deszcz nagle się wzmógł. O drzwi zagrzechotał grad niczym nawała pocisków.

David i Jael, pogrążeni w myślach, nie dosłyszeli cichych kroków dwóch mężczyzn, którzy weszli do salonu od strony podwórza.

David zastanawiał się, dlaczego rabin ben Moshe trzymał kartę przedstawiającą wieżę w sejfie razem z klejnotami arcykapłana.

Wróżbitka pierwsza przerwała ciszę. Oddała Davidowi kartę i przez chwilę przypatrywała się jego twarzy, słabo widocznej w ciemnościach.

- Macie tak wiele pytań. Może znajdziecie odpowiedź w kartach - powiedziała i z zachęcającym uśmiechem po dała talię Jael. - Śmiało, moja droga. Potasuj je. Powiem wam, co zapowiadają.

Jael pokręciła głową. Nagle zerwała się z krzesła. W tej samej chwili David dostrzegł, że za zasłoną z paciorków coś się poruszyło. To nie był kot, tylko jakiś człowiek z jasnymi włosami. David instynktownie wyczuł zagrożenie.

- Uciekaj! - krzyknął, popychając Jael do drzwi. Ułamek sekundy później do pokoju wpadli dwaj mężczyźni.

Blondyn odepchnął starą wróżbitkę pod ścianę. Potężny Latynos podniósł rewolwer. Pierwsza kula zagwizdała koło ucha Davida, który już wybiegał z pokoju i przeskakując po dwa stopnie, po ciemku pędził za Jael. Za plecami słyszeli krzyk starej kobiety.

W mieście panowały egipskie ciemności. Na ulicach nie było żywej duszy. Wszędzie płynęły strumienie wody, od murów odbijało się echo grzmotów.

Dziękujmy Bogu za te ciemności, pomyślał David. Złapał Jael za rękę i razem pobiegli ulicą. Brodzili w głębokich kałużach, co spowalniało tempo ucieczki.

- Tędy - Jael nagle skręciła w lewo, ciągnąc go za sobą. Słyszeli zbliżające się kroki prześladowców. Ukryli się pod schodami kamienicy. Kucając, tak że woda sięgała im prawie do kolan, usiłowali wstrzymać oddech. Kulili się w ciemnościach niczym szczury w rynsztoku. David czuł, jak żołądek kurczy mu się ze strachu. Wsunął rękę do kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie zgubił kamieni.

Nad głowami, na poziomie ulicy, słychać było ciężkie kroki. Woda spod butów trysnęła im w oczy.

Czekali, wstrzymując oddech, sparaliżowani strachem. Sekundy mijały rozpaczliwie wolno...

Minęła pełna minuta, nim wreszcie odetchnęli i ostrożnie wypełzli spod schodów. Szybko przeszli na drugą stronę ulicy, pokonując w bród potok, po czym, przytulając się do ścian budynków, przekradali się w ciemnościach do hotelu.

- Jak oni nas znaleźli? - szepnęła Jael. Odważyła się coś powiedzieć dopiero wtedy, gdy wślizgnęli się do holu.

- Może jest ich więcej, niż sobie wyobrażamy. Ich ludzie mogą być w całym mieście. - David ostrożnie wyma-cywał drogę przez ciemny korytarz. Wreszcie wyczuł

drzwi prowadzące na klatkę schodową. - Dobrze, że nie mamy pokoju na najwyższym piętrze - mruknął, gdy szli po omacku do góry, jedno za drugim.

Nagle dotarł do nich odgłos kroków. Ktoś schodził. Zamarli, ale po chwili usłyszeli łagodny głos kobiety usiłującej uspokoić płaczące dziecko.

Przywarli do ściany, usuwając się z drogi, po czym ruszyli dalej w ciemnościach.

Gdy doszli do następnego podestu, David miał wrażenie, że jego namoknięta torba waży pięćdziesiąt kilogramów więcej. Czuł się tak, jakby dźwigał ciężar całego świata.

I jeśli wszystko, czego dowiedział się tego dnia, odpowiadało prawdzie, bynajmniej nie było to złudzenie.

Dillon wpatrywał się w ciemności tak głębokie, że sam nie wiedział, czy patrzy w niebo, czy w kierunku oceanu. W kabinie samolotu panował półmrok. Prawie wszyscy pasażerowie spali, ale on nie mógł zmrużyć oka. Potrzebował podwójnej glenmorangie.

Ostatni raz spotkał się z biskupem Ellsworthem podczas konferencji w Rzymie, zorganizowanej w Wielki Tydzień. Biskup odszukał go i przez kilka minut chwalił jego najnowszą książkę, ale później długo mówił o swoim projekcie, który realizował w diecezji - sobotnie śniadania dla chłopców schodzących na złą drogę, połączone z czytaniem Biblii.

Dillon przymknął oczy i wyciągnął się na fotelu. W wyobraźni widział pierścień z rubinem, który Ellsworth tamtego dnia miał na palcu. Pamiętał, jak kamień błyszczał w słońcu na *piazza,* gdy biskup gestykulował z entuzjazmem.

Wtedy nie miał pojęcia o historii tego rubinu. Minęło kilka lat, nim zdał sobie sprawę z jego znaczenia. Dopiero gdy David pokazał mu podobny klejnot, Dillon uświa-

domił sobie, co musi zrobić. Zaczął od nakłonienia Davi-da do wyjazdu do Brooklynu.

Teraz wszystko zbliżało się do finału.

Dillon szukał w sobie czegoś, co już dawno stłumił -gniewu, jaki odczuwał w dzieciństwie w Bostonie, gdy ojciec lał go pasem, a matka uciekała z pokoju. Znowu chciał czuć taką wściekłość. Potrzebował jej.

Miał zamiar wykorzystać wszystkie konieczne środki, żeby zwyciężyć w czekającym go starciu.

ROZDZIAŁ 19

FLAGSTAFF, ARIZONA NASTĘPNEGO DNIA

Hutch postawił czajnik na kuchence i zapalił gaz. Lubił parzyć kawę w tradycyjny sposób - do zmielonych ziaren przeznaczonych na daną liczbę kubków dosypywał jeszcze parę łyżeczek.

Z telewizora ustawionego na półce w kącie płynęły złe wiadomości. Hutch rozbił jajka na patelnię i dodał pokrojony boczek. Nie myślał jednak o jedzeniu, tylko o dwóch osobach, które spały w pokoju gościnnym w jego chacie.

Dojechali na miejsce już po zmroku. Przeniósł Stacy z samochodu do sypialni i powiedział Meredith, żeby w razie potrzeby zawołała go, bez względu na porę. Słyszał, jak dziewczynka wielokrotnie krzyczy przez sen, ale zawsze od razu dochodził do niego głos Meredith, która uspokajała córkę. Jakieś dwie godziny przed północą w pokoju gościnnym zapadła cisza.

Hutch spodziewał się, że David zadzwoni z samego rana, ale się nie doczekał. Sam wielokrotnie próbował skontaktować się z przyjacielem, ale mu się nie udało. Teraz z CNN dowiedział się dlaczego.

„...w pięciu dzielnicach Nowego Jorku i na znacznym obszarze New Jersey mieszkańcy są pozbawieni prądu w wyniku awarii, spowodowanych bezprecedensową bu-

rzą. Wczoraj wieczorem na wschodnim wybrzeżu spadło aż trzydzieści centymetrów wody. Uderzenia piorunów zniszczyły elektrownię, na skutek czego miasto ogarnął podobny chaos jak w sierpniu dwa tysiące trzeciego roku, gdy doszło do awarii sieci energetycznej. Wczorajsza burza przerwała również działanie sieci komórkowej. Zdaniem władz miasta po usunięciu awarii elektryczności wypompowywanie wody z metra może trwać nawet kilka tygodni...".

Spiker mówił dalej. Hutch nałożył jajecznicę na talerz. Dopóki David jest w Nowym Jorku, nie pozostaje nic innego, jak tylko chronić Stacy i Meredith oraz pilnować, żeby Meredith nie wpędziła córki w stan jeszcze większej histerii.

- Czuję zapach dymu.

Hutch obrócił się na pięcie. Stacy stała w drzwiach kuchni. Jej włosy, sięgające do ramion, były zmierzwione, a oczy czerwone od płaczu. Miała na sobie te same szare spodnie od dresu i T-shirt, w którym jechała.

- Las pali się daleko stąd, skarbie. To tylko dym rozchodzi się na dużą odległość. Co ci przygotować na śniadanie? Jajka? Czy może jesteś miłośniczką płatków?

- Chcę porozmawiać z Davidem - odpowiedziała melodyjnym głosem.

Ja też, pomyślał Hutch.

- Gdy wczoraj dzwonił do mnie, żebym zajął się tobą, był w Brooklynie. Wtedy rozpętała się w Nowym Jorku bardzo silna burza. - Hutch wskazał jej telewizor. Kamera filmowała nowojorczyków brodzących w potokach wody na ulicach. - Wysiadła elektryczność, nie działają telefony komórkowe. Musimy siedzieć tu i czekać, aż David zadzwoni.

- Nie rozumiem, co się dzieje - powiedziała Stacy słabym głosem. Hutch zauważył, że w jej oczach znowu pojawił się lęk. - Tutaj pożary lasu, tam powódź. To dziwne.

Stacy podeszła do okna. Patrzyła na dym unoszący się nad widoczną w dali czerwoną poświatą. Po policzkach płynęły jej łzy.

- Hutch, co się dzieje ze zwierzętami, gdy las się pali. Czy udaje im się uciec?

Hutch odkaszlnął.

- Czasem się udaje.

- A jeśli się nie uda? - Stacy na chwilę zamilkła. - Nie rozumiem, dlaczego Bóg pozwala, żeby działy się takie rzeczy.

Jej orzechowe oczy były pełne bólu. Jej młodą, niewinną twarz zniekształciło cierpienie. Hutch żałował, że nie potrafi odpowiedzieć.

- Zapewne wiem o boskich planach mniej, niż powinienem - powiedział wreszcie. - Znam się natomiast na gotowaniu i smażeniu jajek. Jajecznica, sadzone, gotowane na twardo, na miękko, po wiedeńsku? Co panienka zamawia?

Stacy z trudem przełknęła ślinę i przycisnęła dłonie do mokrych oczu.

- Poproszę jajecznicę - wykrztusiła po chwili. Znowu obróciła się w stronę okna i wbiła wzrok w poświatę nad horyzontem. - Jak myślisz, kiedy ugaszą te pożary?

ROZDZIAŁ 20

NOWY JORK

Podróż zatłoczonymi ulicami do biura Judda Wanama-kera zajęła Davidowi pełne dwie godziny. Chyba wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku wylegli na ulice. Chodzili, szukając żywności, czynnych bankomatów i jakichś oznak powrotu do normalnego życia.

David pośpiesznie przeciskał się przez tłum, czujnie rozglądając się dookoła. Zachowywał maksymalną ostrożność, póki nie dotarł do bezpiecznego budynku ONZ. Tu czekało go rozczarowanie - gmach był ciemny i zamknięty.

David stał na ulicy, przeklinając bezużyteczny telefon komórkowy. Co gorsza, normalny telefon w hotelu również nie działał. Wielokrotnie na próżno usiłował dodzwonić się do Judda i Hutcha.

Sfrustrowany i zły, pocieszał się tylko nadzieją, że Sta-cy jest bezpieczna pod opieką Hutcha. Czuł ból w piersiach na myśl, że może już nigdy jej nie zobaczy.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko wrócić do hotelu. Kilka przecznic od gmachu ONZ zwrócił uwagę na ciastka na wystawie otwartej cukierni. W środku było pełno ludzi.

- Wszystkie wczorajsze - powiedział sprzedawca, gdy David dotarł do lady. - To wyprzedaż, trzy w cenie jedne-

go. Jak sprzedamy, zamykamy sklep. Dopóki nie przywrócą prądu, nie można nic upiec.

David kupił sześć muffinów, paczkę biszkoptów i dwulitrową butelkę ciepłej coli. Przepchnął się przez tłum na zalaną wodą ulicę. W nocy część wody spłynęła, ale ruchu prawie jeszcze nie było. Rozejrzał się uważnie dookoła, po czym ruszył do hotelu. Po drodze ciągle zastanawiał się, jak znaleźli ich wczoraj Aniołowie Ciemności.

Przecież w Nowym Jorku jest z pewnością wiele osób zajmujących się stawianiem tarota. Skąd wiedzieli, gdzie szukać jego i Jael? Weszli do tego lokalu pod wpływem impulsu?

Chyba że śledzili nas od restauracji, pomyślał. Gdy tylko wyszliśmy z Yotsuby. Jeśli Aniołowie Ciemności zauważyli, że jedliśmy lunch z Juddem, to Wanamakerowi również może grozić niebezpieczeństwo.

David nie miał żadnej możliwości, żeby go ostrzec - tak samo jak nie mógł uprzedzić żyjących lamed wowników, że grozi im śmierć. Nie miał nawet pewności, że zna nazwiska wszystkich - może niektóre nadal tkwiły w zakamarkach jego mózgu.

Po raz pierwszy naprawdę zapragnął pojechać do Sa-fedu. Jego jedyną bronią w walce z gnozytami były nazwiska, jakie miał w głowie i zapisał w dzienniku. Nie posiadał ani wiedzy i kontaktów Jael, ani mądrości rabina ben Moshego. Dysponował tylko wspomnieniami doświadczenia, które nie poddawało się racjonalnemu wyjaśnieniu. Jeśli Safed był tak świętym i mistycznym miejscem, jak twierdziła Jael, to może tam uda się wyzwolić głosy tych, których dusze prosiły, aby je zapamiętał.

David wydłużył krok. Był zadowolony, że się przeszedł, rozluźnił mięśnie, przewietrzył głowę. Miał wrażenie, że minęły wieki, a nie tylko pięć dni, od kiedy pokonał Toma w sąuasha. Nie mógł uwierzyć, że w tym czasie jego życie stanęło na głowie.

Teraz był zbiegiem - ukrywał się w nędznym hotelo-

wym pokoju, bez łączności ze światem, popadając w szaleństwo. Pokój wydawał się coraz mniejszy, ale Jael nie narzekała. Bez słowa protestu została w hotelu, gdy on poszedł po paszport. Na jej miejscu Meredith chodziłaby po ścianach i krzyczała, że prześladowcy są tuż-tuż.

Przyjrzał się klatce schodowej, po czym ruszył do góry. Hutch musi mieć pełne ręce roboty, pomyślał. Jeśli mu się udało odnaleźć je i wywieźć.

Na pewno mu się udało.

David zbliżał się już do drzwi pokoju, ale nagle stanął jak wryty. Usłyszał dobiegający ze środka głos. Pochylił się. To mówił jakiś mężczyzna. David włożył klucz w zamek, otworzył drzwi i zobaczył przed sobą lufę rewolweru.

ROZDZIAŁ 21

VILLA CASA DELLA FALCONARA, SYCYLIA

Kamerdyner premiera wszedł na taras, gdzie DiStefano i jego żona, ubrani w jedwabne szlafroki, jedli zwykłe śniadanie, złożone z kawy i herbatników.

- *Scusi, signore e signora* - powiedział, zwracając się do premiera. Ukłonił się i mówił przepraszającym tonem. - Młody człowiek ze wsi bardzo prosi, żeby go pan przyjął. Nalega. Twierdzi, że gdy pan służył w wojsku, jego matka pracowała tu w kuchni. Rzeczywiście, pamię tam tę kobietę. Uważa, że tylko pan może mu pomóc.

DiStefano złożył gazetę i położył ją na stole obok filiżanki. Jego żona spokojnie popijała espresso.

- Wprowadź go, Carlo - zgodził się, wzruszając ramionami.

Mario Bonfiglio niemal wbiegł na taras. Na jego śniadej twarzy malował się niepokój. Pod skórą widać było napięte mięśnie. DiStefano pomyślał, że przypomina pumę czającą się do skoku.

- *Mia dispiace* - bardzo przepraszam, *Eccellenza.* Przychodzę do pana w rozpaczy. Policja nic nie robi i nic nie wie. Rodzina mojej narzeczonej i ja przeżywamy męki. - Urwał i przełknął ślinę. Pod wpływem badawczego spojrzenia premiera i jego żony cały się spocił.

- Twoja narzeczona? - przynaglił go DiStefano.

- *Si,* Irina, moja ukochana, moje serce. Tydzień temu mieliśmy się pobrać, a tymczasem ona znikła. Jej ojciec wysłał ją na pocztę i już nie wróciła. Szukaliśmy jej wszędzie, *signore.* Na polach, na farmach, wszędzie. Policja nie robi nic. Żartują sobie, mówią, że pewnie uciekła z innym. Wiem, że to nieprawda, Irina i ja przysięgliśmy sobie wierność. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy weźmiemy ślub i założymy rodzinę.

- Cóż twoim zdaniem mogę zrobić ja, czego nie zrobiłaby policja? - Premier zmierzył go pytającym wzrokiem.

- Może pan rozkazać policji, żeby przeprowadziła dochodzenie, ekscelencjo. Mogą zawiadomić sąsiednie miasta. Od jej zniknięcia minęły trzy tygodnie i straciliśmy dużo cennego czasu. Proszę, jeśli wyda pan rozkaz, policja pomoże nam jej szukać. - Mario wyciągnął ręce w błagalnym geście i zwrócił się do żony premiera.

- *Signora,* pani wie, co znaczy miłość. To coś wspaniałego i bolesnego. Muszę odzyskać moją ukochaną. Na pewno zdarzyło się jej coś strasznego. Nigdy by mnie nie opuściła.

Mario przyglądał się jej, wypatrując oznak współczucia i zrozumienia. Widział tylko zimne, stalowe oczy i zaczesane do góry złote włosy. Odłożyła serwetkę i wstała z uśmiechem na wąskich jak żyletka ustach.

- Ach, miłość jest tak kapryśna, młody człowieku. Cza sem miłość umyka. Może twoja Irina nie chce, żeby ją od naleziono.

Pod wpływem gniewu twarz Maria się zmieniła. Jego oczy płonęły jak dwa węgle, ale powstrzymał się od gwałtownej odpowiedzi.

Flora Dondi minęła go i znikła w głębi domu. Mario skupił pałający wzrok na jej mężu.

- Moja Irina nigdy nie zostawiłaby mnie z własnej woli - powiedział niskim głosem.

- Bardzo ci współczuję. - Premier pochylił się nad sto łem. Mario dostrzegł na jego twarzy wyraz troski i poczuł

niewysłowioną ulgę. - Zapisz nazwisko swoje, narzeczonej i jej ojca oraz datę, kiedy znikła. Zażądam, żeby policja dokładnie zbadała sprawę. Każę sprawdzić wszystkie winnice i wsie na wyspie. - DiStefano podał mu pióro i wezwał kamerdynera, żeby przyniósł papier. - Dobrze zrobiłeś, przychodząc do mnie, synu - powiedział, gdy Mario zapisał konieczne informacje i położył kartkę na obrusie.

DiStefano wstał i podał mu rękę. Mario z radością uścisnął dłoń dobroczyńcy. Ożywiony nadzieją, dziękował w myślach Matce Boskiej, że natchnęła go odwagą i że zdecydował się przyjść do premiera.

- Niech pana Bóg błogosławi, *signore.* Niech pana Bóg błogosławi. - Mario odwrócił się do wyjścia, omal nie przewracając przy tym krzesła. Kamerdyner go wyprowadził.

DiStefano wziął do ręki kartkę i przez chwilę przyglądał się nieporadnie zapisanym słowom. Potem wyciągnął z kieszeni szlafroka srebrną zapalniczkę ozdobioną symbolem podwójnego Uroborosa. Pstryknął i już po chwili w jej ogniu spłonęły nadzieje Maria Bonfiglia.

ROZDZIAŁ 22

David błyskawicznie złapał lufę rewolweru i spróbował wyrwać przeciwnikowi broń, ale ten, mimo niskiego wzrostu, miał żelazny chwyt. Nim zdążył nacisnąć na spust, David pchnął go w pierś, tak że stracił równowagę. Obaj upadli na podłogę. Walczyli o rewolwer. Muffiny wysypały się, a torba podróżna uderzyła Davida w plecy.

- *Lo,* Awi! - krzyknęła Jael po hebrajsku. - Nie strzelaj, to David!

David pierwszy zarejestrował jej słowa i przerwał walkę. Awi. Wciąż czuł skutki nagłego przypływu adrenaliny, ale powoli się uspokajał.

Kurwa.

Puścił rewolwer i wstał z podłogi. Jego przeciwnik też się pozbierał, klnąc podobnie jak on.

- Ależ powitanie! - David obrzucił gniewnym spojrzeniem niskiego Izraelczyka z kręconymi włosami.

- W moim fachu to sposób na przeżycie - odparł tamten. Mówił spokojnie, z wyraźnym obcym akcentem.

Jael zamknęła drzwi na klucz i pozbierała muffiny.

- Jeśli już skończyliście się zabijać, to może zapoznamy Davida z sytuacją.

- Dobrze sobie poradziłeś - przyznał Awi, podając mu rękę. Miał rudawe włosy, bokobrody i najciemniejsze oczy, jakie David kiedykolwiek widział. Jego postawa i aszkena-zyjskie rysy twarzy zapowiadały pewność siebie i siłę.

- Walcząc o życie, człowiek szybko się uczy - odrzekł David.
- Masz paszport? - spytała Jael.
- Nie - pokręcił głową. - Nie znalazłem Wanamakera. Budynek ONZ jest zamknięty. Nigdzie nie ma prądu.
- Zauważyłam. - Jael otarła pot z czoła. W pokoju było pewnie ze trzydzieści stopni. - Są jednak i dobre wiadomości. Awi ma dla ciebie paszport. Nie wiem, jak on to robi - uśmiechnęła się do Izraelczyka - ale jakoś zawsze mu się udaje.

David usłyszał w jej głosie podziw i z niezrozumiałych powodów to go zirytowało. Musiał jednak przyznać, że paszport wyglądał idealnie. Niczym nie różnił się od oryginalnego, który zostawił w swoim biurku.

- Podpisz go.

Lubi rozkazywać, pomyślał David. Awi podał mu długopis.

- Teraz musimy tylko poczekać, aż otworzą lotnisko -powiedziała Jael.
- I aż zaczną działać cholerne telefony komórkowe -dodał David, wkładając paszport do torby. - Czy twoi ludzie dotarli już do mojej córki?

Izraelczyk usiadł na jedynym krześle w pokoju, obok stołu, na którym położył rewolwer.

- Jeszcze nie. Powinni być w Flagstaff jutro wcześnie rano. Z ostatniej wiadomości, jaką otrzymałem, wynikało, że lotnisko Newark jest zamknięte. Zdaje się, że elektrycz ność wysiadła najpierw w New Jersey. Musieli polecieć dłuższą drogą, z Tel Awiwu przez Londyn do Phoenix. Lot trwa co najmniej dwadzieścia jeden godzin.
- A z Phoenix muszą jeszcze dojechać samochodem do Flagstaff? - spytał zawiedziony David.
- Jael mówiła, że twój człowiek to fachowiec.
- Świetny fachowiec.

David zastanawiał się, czy Hutch poradzi sobie z całą grupą Aniołów Ciemności. Oni nie wiedzą, gdzie jest Sta-

cy, powtarzał sobie w myślach. No, ale przecież wydawało się, że nie wiedzą też, gdzie jest on i Jael. Zaczął krążyć po dusznym pokoju. Czuł się, jakby za chwilę miały mu pęknąć tętnice.

- Davidzie - Jael czytała w jego myślach. Dotknęła ramienia Davida. - Ty masz teraz za zadanie stworzyć swoją księgę imion. Nie znamy wszystkich potrzebnych nazwisk. Brakuje wielu fragmentów księgi Adama. Są zakopane w jaskiniach i w piaskach pustyni. Jeśli jednak te nazwiska są w twojej głowie, zdołamy je wyciągnąć.

- To jedyny sposób, żeby pokonać gnozytów - dodał Awi. Mierzył Davida wzrokiem ostrym jak promień lasera. - Musimy ocalić jak najwięcej lamed wowników. A tylko ty możesz nam ich wskazać.

David uparcie patrzył w podłogę. Chciał tylko wydostać się z Nowego Jorku i pojechać do Stacy. Nie mógł jednak ryzykować, że doprowadzi Aniołów Ciemności prosto do niej. Czuł, jak po karku spływa mu pot, i wiedział, że to nie z powodu upału.

Jael dobrze rozumiała jego dylemat.

- Gdy już będziesz w Safedzie, mistycy pomogą ci przypomnieć sobie wszystko, co zostało ci dane - dodała cicho. - Musisz się skupić. To najlepszy sposób, żeby po móc Stacy. Jeszcze nie nastąpił koniec świata, musisz więc wierzyć, że twoja córka żyje.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Przerwał ją szelest papieru, gdy Awi sięgnął po torbę z piekarni, wyjął muffina, ugryzł kęs, po czym podał torbę Jael.

- A co z tym Percym Gaspardem? - spytał David, patrząc na Awiego. - Czego się o nim dowiedzieliście?

- Na razie bardzo niewiele. Znaleźliśmy tylko jednego, urodzonego w Montrealu w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. To wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć, nim wysiadła elektryczność. Może są już nowe dane. Jadę zaraz do Pensylwanii lub gdziekolwiek, gdzie jeszcze istnieje cywilizacja, przez co rozumiem mia-

sto z działającą siecią komórkową. Gdy nawiążę kontakt z kolegami, powinniśmy mieć znacznie więcej informacji.

- Rusz się więc - przynagliła go Jael.

Awi kiwnął głową i wstał z krzesła.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedział, podchodząc do Davida. - Kamienie. Teraz będą pod moją opieką.

- Dlaczego? - spytał David.

- U mnie będą bezpieczniejsze, nawet jeśli wy wcześniej polecicie do Izraela. Mają one wielkie znaczenie dla naszego narodu, a zostały nam ukradzione. - Spojrzał na Jael. - Czy mówiłaś mu, że naszym zdaniem elitarny Krąg gnozytów zdobył już kilka kamieni z pektorału?

Awi znowu zwrócił się do Davida.

- Oni nie cofną się przed niczym, żeby położyć na nich łapę. Pragną tych kamieni prawie tak jak trzydziestu sze ściu nazwisk, ponieważ ich magiczna moc może przechy lić szalę zwycięstwa.

David przypomniał sobie, jak przed laty Crispin obiecywał jemu i Abby, że dzięki temu kamieniowi na pewno nie spadną z dachu. Skąd on wiedział o jego magicznych właściwościach? I jak ten kamień trafił w jego ręce?

- Co to znaczy? W jaki sposób magiczna moc kamieni może przechylić szalę zwycięstwa? Wytłumacz mi to do kładniej .

Awi rozpiął kołnierz wilgotnej koszuli w kolorze khaki.

- Nasi mędrcy uczyli, że kamienie mają właściwości magiczne. Każdy kamień w pektorale arcykapłana nosi nazwę jednego z dwunastu plemion Izraela, a jego kolor jest taki sam jak kolor sztandaru, który powiewał przed obozem danego plemienia. Arcykapłan wkładał pektorał, gdy miał wejść do najświętszego miejsca w Świątyni, zwa nego Święte Świętych. Wiesz dlaczego? - spytał retorycz nie. - Dlatego że pektorał symbolizował cały naród ży dowski, przypominał Bogu o dwunastu plemionach i był znakiem błagania o łaskę. Ale to jeszcze nie wszystko - ciągnął Awi.

- Wiesz, jak działa tabliczka *ouija?* - przerwała mu Jael. David kiwnął głową. - Pektorał arcykapłana był dla starożytnego Izraela czymś w rodzaju tabliczki *ouija,* sposobem na nawiązanie kontaktu z Bogiem. Gdy Bóg darzył łaską naród żydowski, kamienie świeciły jasno. Gdy Izrael toczył wojnę, blask kamieni zapowiadał zwycięstwo.

- To dobry przykład - powiedział Awi, chowając rewolwer do kabury. - Tabliczka *ouija.* Tak to właśnie działało w czasach biblijnych. Ludzie przychodzili do arcykapłana z pytaniami do Boga. Aaron odczytywał pytania i wpatrując się w kamienie pektorału, rozmyślał o Bogu pod różnymi jego imionami. Wtedy litery na kamieniach rozbłyskiwały, przekazując odpowiedź.

David milczał. Przypomniał sobie, jak podczas odwilży znalazł ten agat. Kamień świecił tak jasno, że jego blask raził go w oczy. Wtedy pomyślał, że to skutek odbicia promieni słonecznych. Pod wpływem słów Awiego wyciągnął oba klejnoty z kieszeni i przyjrzał się im uważnie.

Agat i bursztyn. Naftali i Lewi. Wydawały się zupełnie zwyczajne. Teraz wcale nie świeciły, ale jeśli...

- Sam zawiozę je do Izraela - powiedział, zaciskając dłoń i patrząc Awiemu w oczy.
- Nie, ja to zrobię - zaprotestował Izraelczyk, ale Da-vid mu przerwał.
- Jeśli chodzi o mistyczne doświadczenia, moim zdaniem mam ich więcej niż ty. To ja znalazłem ten agat, a z tego, co ostatnio słyszałem, wynika, że nie stało się tak bez powodu. Nie mówiąc już o tym, że rabin ben Moshe mnie powierzył oba kamienie chwilę przed tym, jak został zamordowany.
- Myślę, że David ma rację - Jael stanęła między nimi. - Znalazł kamień plemienia Naftalego niedługo po tym, jak wskutek upadku miał mistyczną wizję. Kamień czekał na niego. To z pewnością nie przypadek. Przez tyle lat znajdował się u niego. Widocznie był mu przezna-

czony - przekonywała. - Z jakiegoś powodu, którego jeszcze nie znamy.

Awi przenosił spojrzenie na Jael i na Davida, mocno zaciskając usta. W końcu wzruszył ramionami.

- Dobrze, może masz rację. Niech tak będzie. - Podał Davidowi rękę. - Gdy tylko telefony zaczną działać, zawiadomię cię, co z twoją pasierbicą. No i z Percym Ga-spardem. Módlmy się, żeby w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin otworzyli lotnisko. Czas nie działa na naszą korzyść.

ROZDZIAŁ 23

Los ANGELES

Alberto Ortega był niezadowolony i dał temu wyraz, co rozgniewało Raoula LaDouceura.

Raoul rzadko tracił panowanie nad sobą, ale dziś pocił się i był wściekły. Odjechał z hotelu Sofitel wynajętym w agencji Avis kabrioletem Firebird. W pierwszej chwili po nieudanym porwaniu chciał po prostu porzucić białą furgonetkę, ale po namyśle uznał, że lepiej będzie zostawić ją na parkingu przy krajowym terminalu na lotnisku LAX. Teraz miał już inny samochód, który wynajął na fałszywe dokumenty. Policja nigdy nie odkryje jego związku z próbą porwania Stacy Lachman.

Raoul nie mógł jednak przestać myśleć o słowach Orte-gi. Był niezadowolony! Czy jemu się zdaje, że ja jestem zadowolony? - pomyślał. Raoul opanował chęć naciśnięcia pedału gazu do dechy. Zadowolił się nastawieniem radia na cały regulator, żeby zagłuszyć myśli.

Dzisiejsza akcja powinna była pójść jak z płatka. Ten dzieciak powinien już się znajdować w Dolinie Śmierci i żalić się kojotom. Do diabła. Jutro... najdalej pojutrze... -powiedział do siebie - nie będę czuł na karku śmierdzącego oddechu Ortegi. Arizona jest za mała, żeby dzieciak wymknął mi się po raz drugi.

Stary Ortega coraz bardziej przypominał mu dziadka.

Wymagający, niewdzięczny. Dawniej, gdy Ortega był sekretarzem generalnym ONZ, częściej go chwalił, dbał, żeby szybko awansował w szeregach Aniołów Ciemności. Teraz, gdy zbliżali się już do finału, gderał i zrzędził jak stara jędza.

Załatwiłem na jego zlecenie tylu wrogów, a wystarczyło jedno drobne niepowodzenie, żeby zaczął mi grozić, pomyślał. Tak jakby mnie, najlepszemu i najbardziej zasłużonemu Aniołowi Ciemności, można było odmówić wstępu do arki! Teraz, gdy zwycięstwo jest tak bliskie!

Czekali tylko, aż Wąż skończy pracę i poda im ostatnie dwa nazwiska.

Dlaczego Ortega *się* mnie czepia? Czy mogę ich zabić, nim Wąż powie mi, kim są?! - denerwował się.

Ta dziewczyna nie będzie żadnym problemem. Tylko dzisiaj się jej udało - pech, przypadek. Raoul zerknął na zakrwawiony bandaż na dłoni. Jak na taką małą mysz ma ostre zęby. Ale w ten sposób zyskała zaledwie kilka godzin.

I drogo za nie zapłaci.

Rozległ się dźwięk telefonu. Raoul otrzymał jakąś wiadomość.

Znowu Ortega, ze swego pałacu w Buenos Aires. Ten przebiegły łajdak nie będzie się cieszył nim długo. Raoul wiedział, że Ortega pojechał do Argentyny tylko po to, żeby zabrać żonę i dzieci do arki.

Przeczytał wiadomość.

„Zmiana planu. Chcę sam zbadać próbkę towaru. Przywieź ją w bezpieczne miejsce, nieuszkodzoną".

Raoul zesztywniał. Teraz chcą dostać dziewczynę żywą? Po co? Jaką wartość może mieć, jeśli nie jest martwa?

A może chcą powierzyć zaszczytne zadanie zabicia jej komu innemu?

Raoul skrzywił się gniewnie i popędził w kierunku Arizony. On już to załatwi.

ROZDZIAŁ 24

BROOKLYN, NOWY JORK

Wdowa po rabinie Tzvim Goldsteinie była delikatną kobietą przywodzącą na myśl sarnę. Po śmierci męża zamknęła się w sobie. Wyglądała, jakby niedawno skończyła dwadzieścia lat, choć w ciągu ostatnich siedmiu urodziła siedmioro dzieci. Najmłodsze, pięciomiesięczna dziewczynka, nie mogła jeszcze zrozumieć, dlaczego jej żółte, bawełniane śpiochy są celowo rozdarte na lewym ramieniu. Nie mogła też wiedzieć, że nigdy już nie zobaczy, jak ojciec pochyla się nad nią, żeby pobłogosławić ją z okazji szabatu.

Sara Lea Goldstein i wszystkie jej dzieci siedziały w ciemnościach w ich skromnym mieszkaniu. Przycupnęli jak ptaki na grzędzie w rządku na sofie, z której usunięto poduszki. Na niskim stoliku za nimi płonęła duża żałobna świeca w czerwonym szkle. Z powodu burzy to było jedyne światło w pokoju. Obok leżał stos modlitewników, z których korzystali mężczyźni podczas odbywających się dwa razy dziennie wspólnych modłów w domu.

Tak miało być przez siedem dni. Cała rodzina rabina Goldsteina rygorystycznie przestrzegała zasad żałoby.

Gdy Sara Lea dowiedziała się, że jej mąż został zamordowany, wzięła nożyczki, obcięła kołnierz swojej bluzki, a potem podobnie postąpiła z ubraniami dzieci. Przez sie-

dem dni, podczas sziwy, w domu miały być zasłonięte wszystkie lustra, wolno było siadać tylko na taboretach i fotelach bez poduszek, a ojciec i bracia Tzviego nie mogli się golić.

Członkowie rodziny i przyjaciele odwiedzali wdowę i sieroty, podtrzymując je na duchu, modląc się za nie oraz przynosząc żywność. David i Jael czuli się w tym zwartym, solidarnym gronie jak para intruzów, ale wiedzieli, że ta rozmowa jest konieczna.

Gdy kuzynka wdowy wzięła od niej dziecko i namówiła ją, żeby napiła się soku w jadalni, Jael dotknęła jej ramienia.

- Proszę pani, profesor Shepherd i ja rozmawialiśmy z rabinem ben Moshem, gdy doszło do zamachu - powie działa cicho. - Nie chcemy przysparzać pani dodat kowych cierpień, ale gdyby pani mogła porozmawiać z nami kilka minut, możliwe, że pomogłoby to wykryć sprawców tej zbrodni.

Sara Lea przez chwilę patrzyła na nich wzrokiem pełnym bólu.

- Proszę, państwo pozwolą ze mną - powiedziała, po czym zaprowadziła ich do niewielkiego gabinetu zasta wionego półkami pełnymi książek.

Przez firanki wpadały do środka ostatnie promienie światła. To był skromny, wygodny pokój, pachnący fajkowym tytoniem i pastą do mebli.

- Mój mąż, błogosławionej pamięci, spędzał tu wiele godzin, czytając i pracując - wyjaśniła pani Goldstein. Ro zejrzała się bezradnie po pokoju, jakby szukała czegoś, czego już tu nie było. - Co mogę dla państwa zrobić?

David wyciągnął z torby kartę tarota.

- Ta karta była wśród rzeczy, które rabin ben Moshe dał mi na przechowanie. Czy wie pani, skąd ona pochodzi i dlaczego ją trzymał?

Pani Goldstein wzięła kartę, spojrzała i cofnęła się gwałtownie.

- Ta karta sprowadza śmierć!

Zachwiała się, ale Jael ją podtrzymała.

- Co chce pani przez to powiedzieć? - spytała. Spojrzała na Davida ze zdziwieniem.

- Mąż mówił, że rabin ben Moshe, błogosławionej pamięci, dwa tygodnie temu dostał tę kartę od rabina Lazara z Krakowa. Rabin Lazar miał nadzieję, że rabin ben Moshe będzie wiedział, kto mógł zamówić dwa tysiące egzemplarzy takiej karty - wyjaśniła. Jej usta drżały, ale mimo to nie przerywała. - No i kto mógł zabić człowieka z powodu matryc.

- Jakiego człowieka? - zdziwił się David.

- Drukarza. Drukarza z Krakowa. - Sara Lea zwilżyła wargi. - Gdy to się stało, w warsztacie był akurat jego syn. Dolewał farby drukarskiej do maszyny. Ojciec uczył go rzemiosła. Tzvi opowiadał, że ten chłopiec słyszał, jak ojciec kłóci się z klientem, który mówił po polsku z wyraźnym obcym akcentem. Rozpoznał ten głos, bo klient był u nich dwa dni wcześniej i zaoferował podwójną zapłatę, jeśli zrealizują zamówienie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Mieli wydrukować dwa tysiące takich kart.

- Jest ich więc jeszcze tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć... - David wstrzymał oddech.

- Czy pani wie, o co się kłócili? - spytała Jael.

- Tamten chciał dostać matryce. Drukarz odmówił, twierdząc, że nigdy nie słyszał o czymś takim. Klient się rozgniewał i obstawał przy swoim żądaniu. Drukarz go przeprosił i poszedł do warsztatu. Posłał chłopca do domu, żeby nie słuchał przykrej rozmowy. Chłopiec wyszedł tylnymi drzwiami, a po chwili usłyszał strzał. Gdy się odwrócił, z okien warsztatu buchały płomienie.

Sara Lea pokręciła głową.

- Biedny chłopiec chciał wrócić po ojca, ale pożar był już zbyt wielki. Papier, farba drukarska, chemikalia paliły się błyskawicznie.

Pani Goldstein jeszcze bardziej zbladła.

- Rabin Lazar powiedział, że ten drukarz był dobrym człowiekiem. Tak samo zresztą jak mój mąż... - dodała szeptem.

Davida ogarnęła fala smutku. Dobrze rozumiał bezradność młodego chłopca.

- Czy pani wie, w jaki sposób rabin Lazar zdobył tę kartę? - spytał łagodnie.

- Syn drukarza interesował się wężami. Gdy pomagał ojcu obcinać karty, zafascynował go rysunek splecionych węży. Jak większość drukarzy, tak i jego ojciec zachowywał w swoich zbiorach próbkę każdej wykonywanej pracy. Gdy rabin Lazar odwiedził rodzinę w czasie sziwy, chłopiec wyznał, drżąc cały, że wziął kartę z szafy ojca. Biedak czuł się odpowiedzialny za jego śmierć, myślał, że to kara za kradzież karty.

- To musiał być straszny ciężar dla dziecka - szepnęła Jael. - Ponad siły. - Jej głos stwardniał. - Gdyby ten klient wiedział, że chłopak jest w warsztacie, zabiłby go również, żeby sprawa kart pozostała tajemnicą.

Tajemnica. David złożył klocki w całość.

- To właśnie dlatego klient domagał się matryc i zabił z ich powodu. Żeby nikt nie mógł wyśledzić, skąd pochodzą karty ani wydrukować ich więcej.

- Czy to pomoże wam znaleźć mordercę mojego męża? - spytała wdowa. W jej oczach zalśniły łzy. Zamrugała, usiłując je powstrzymać. - Czy sądzicie, że ten sam klient prześledził drogę tej karty z Polski do Brooklynu i zabił rabina ben Moshego i mojego męża, żeby ją odzyskać?

- Mniej więcej - odparł David, zaciskając palce na karcie. - Ale to znacznie bardziej skomplikowana sprawa i ten człowiek nie działa sam.

W pokoju zapadła cisza. Sara Lea przyciskała dłonie do szyi. Nagle rozległ się głośny płacz dziecka. W drzwiach gabinetu pojawiła się kuzynka pani Goldstein.

- Mała chyba jest głodna - powiedziała. Trzymała na rękach płaczące niemowlę.

- Muszę iść. - Sara Lea wzięła córeczkę i zaczęła ją kołysać.

- Bardzo pani dziękujemy za pomoc - odezwał się Da-vid. Kobieta uśmiechnęła się do nich smutno i wyszła w ślad za kuzynką.

David i Jael przecisnęli się przez zatłoczony salon do wyjścia. Gdy Jael kładła rękę na klamce, rozległ się cichy szmer urządzeń elektrycznych i w salonie zapaliło się światło.

- Niech się stanie światłość - mruknął David. Miał wrażenie, że mgła, w jakiej poruszał się od paru dni, nie co się rozrzedziła.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, oboje wypróbowali telefony komórkowe, ale sieć jeszcze nie ożyła.

- Zarezerwujemy samolot z telefonu hotelowego. - Jael ruszyła w kierunku skrzyżowania, żeby złapać taksówkę.

- Jeśli już będzie działał. - David dogonił ją i chciał schować kartę do torby, ale zatrzymał się w pół ruchu, gdyż coś zauważył.

Dlaczego nie widziałem tego wcześniej? - pomyślał. Na drugim planie, za jedną ze spadających sylwetek widniał zwodzony most. Złamane przęsła opadały do fosy. Spadająca z wieży sylwetka przesłaniała go, tak że wyglądał raczej jak część wału, ale niewątpliwie to był most.

David nagle zdał sobie sprawę, że widział już kiedyś taki most. Kilka miesięcy temu stał nocą na pomoście nad Tamizą i podziwiał panoramę Londynu. Tego wieczoru, kiedy jadł kolację z Tonym Blairem, kilku Anglików zaprosiło go do prywatnych pomieszczeń na wieżycy mostu. Widok rzeczywiście był wspaniały. Jeszcze bardziej zaskoczyła go informacja, że każdy może wynająć tu salę na bankiet lub konferencję.

Patrząc na kartę tarota, David przyglądał się uważnie architekturze mostu. Podobieństwo do Tower Bridge było uderzające. Ten sam wiktoriański styl, takie same wieżyce i zawieszenie...

To nie był rysunek techniczny, ale jednak...

London Bridge is falling down.

Przypomniał mu się refren piosenki z dzieciństwa. Wiedział, że w tej piosence chodziło o inny most, nie ten blisko londyńskiej Tower, ale słowa uparcie powracały...

Walący się London Bridge. Postacie spadające z wieży.

Wieża na karcie. Tower Bridge?

David poczuł na plecach falę chłodu. Czy to miało być ostrzeżenie? Czy gnozyci zamierzają przeprowadzić jakiś atak na Londyn? A może z Londynu?

Dlaczego ktoś chciał mieć dwa tysiące sztuk jednej karty?

- Mamy taksówkę! Chodź - zawołała Jael. Taksówka zatrzymała się z piskiem opon tuż przy niej.

David przyśpieszył, bo Jael już wsiadała. Myśli wirowały mu w głowie, tworząc chaotyczny labirynt, w którym nie mógł się rozeznać.

ROZDZIAŁ 25

Dobrze znany sygnał telefonu odezwał się akurat wtedy, gdy taksówkarz trąbił na autobus, który zajechał mu drogę. Wreszcie!

- Cześć, stary! - usłyszał gromki głos Hutcha. - Mam tu kogoś, kto nie może się doczekać rozmowy z tobą.
- Nie bardziej niż ja z nią - odpowiedział David. Gdy usłyszał słaby, lecz wyraźny głos Stacy, serce zabiło mu szybciej.
- Davidzie, mama mówiła, że próbowałeś nas ostrzec, że ktoś chce zrobić mi krzywdę. Skąd wiedziałeś?

David zamknął oczy. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Jak mógł wyjaśnić jej coś, czego sam nie rozumiał?

- David? Jesteś tam?
- Tak, Manczkin. Nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić, ale słuchaj Hutcha. Siedź w domu, trzymaj się go przez cały czas. Żadnych samodzielnych wyskoków.
- Czy ten człowiek może spróbować jeszcze raz?
- On lub ktoś podobny. - David skrzywił się, bo Stacy zaczęła płakać.
- Boję się. Dlaczego nie możesz do nas przyjechać?

Ta prośba rozdarła mu serce.

- Bardzo chciałbym, żeby to było możliwe, kochanie. Dałbym wszystko, żeby tylko być teraz przy tobie. Muszę jednak gdzieś pojechać, gdzieś daleko. To bardzo ważne i ma związek z twoim bezpieczeństwem.

- Bardzo da... daleko? - zaczęła Stacy, ale głos ją zawiódł. Meredith odebrała jej telefon.
- David, do cholery, co się dzieje? W co ty się wplątałeś? Wiesz, że ktoś omal jej nie udusił? Porwał ją z podwórka i próbował wsadzić do bagażnika.

David chciał coś odpowiedzieć, ale Meredith nie przerwała tyrady.

- Wiesz, że siedzimy w pieprzonej Arizonie, ukrywamy się gdzieś na zadupiu, a dookoła płoną lasy? Nie mogę się dodzwonić do Lena, a przecież mieliśmy jechać na ten cholerny rodzinny miesiąc miodowy! Do diabła, w co ty nas wmieszałeś...
- Meredith, pozwól mi porozmawiać z Hutchem -odrzekł David przez zaciśnięte zęby.
- Najpierw wyjaśnij mi, co ty zrobiłeś. Naraziłeś moją córkę na niebezpieczeństwo, więc mam prawo wiedzieć.
- Meredith, może nastąpić koniec świata, a ja staram się temu zapobiec. Rozumiesz? Teraz daj mi Hutcha.

Meredith westchnęła głęboko. Mógł sobie łatwo wyobrazić wyraz furii i niedowierzania na jej twarzy.

- To chodzi o koniec świata. Chce rozmawiać z tobą -usłyszał, jak Meredith mówi do Hutcha. Jej głos był pełen sarkazmu.
- Co tam, stary? Ta twoja rezerwowa ekipa jeszcze się nie pojawiła - odezwał się Hutch. Nareszcie głos rozsądku.
- Cała ekipa nie żyje. Ktoś podłożył bombę w samolocie, zginęli nad Atlantykiem. Kolejny zespół powinien być na miejscu lada chwila. Myślisz, że wytrzymasz do tej pory?
- Kpisz czy o drogę pytasz?
- Słuchaj. Wyjeżdżam z kraju pierwszym samolotem, jaki uda mi się złapać. Tylko na kilka dni. Ta ekipa jest z Izraela. Nim ich wpuścisz, każ im odmówić kilka modlitw po hebrajsku.
- Na przykład *Hawa nagila*, szalom* czy *oj?*

* Radujmy się! - tytut i początek popularnej piosenki.

- Bystrzak z ciebie. Ale to nie są modlitwy. - David za mknął oczy. Taksówkarz skręcił ostro w prawo i omal nie rozjechał kuriera na rowerze. - Hutch, polegam na tobie we wszystkim. Wiesz o tym, prawda?

- Tak jak znam swoją grupę krwi. David schował telefon do kieszeni.

- Płakała - powiedział.

- Bardzo mi przykro, Davidzie. To okropne. - Jael do tknęła jego ręki.

Dotknięcie było krótkie i lekkie jak piórko, ale z jej palców spłynęło na Davida ciepło. Pod jego wpływem wypełniający go lęk gdzieś się ulotnił.

- Jeśli dopisze nam szczęście, jeszcze dziś wieczorem wylecimy z JFK - dodała.

Szczęście. Więc już do tego doszło? Musimy liczyć na szczęście? Może na czterolistną koniczynę?

Tylko Bóg zna prawdę, pomyślał. Zbliżali się już do Ri-verside Tower.

GEORGETOWN UNIVERSITY

Na widok dwóch umundurowanych policjantów, którzy wpadli do jego gabinetu, Tom Mcintyre podskoczył na fotelu, omal nie rozlewając kawy na prace studentów.

- Czy pan David Shepherd? - zapytał młodszy, pod chodząc do biurka i wymachując mu przed nosem naka zem rewizji.

Co za zarozumiały sukinsyn, wściekł się Tom w duchu. Różowiutkie policzki, regulaminowa fryzura i popisowy tors ratownika. I te oczy. Wzorcowy gliniarz.

- Nie. Tom Mcintyre - powiedział, nie zwracając uwagi na nakaz. - 0 co chodzi?

- Czy wie pan, gdzie przebywa David Shepherd?

- A dlaczego was to interesuje? - Tom wytrzymał spojrzenie policjanta. Nigdy nie wyobrażał sobie, by na uni-

wersytet mogła wkroczyć policja, poszukając kolegi, i to z nakazem rewizji. Na litość boską, przecież David był synem senatora, a jego najbliższym przyjacielem jest ksiądz! To z pewnością najuczciwszy w świecie facet.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Tom przez chwilę się wahał, usiłując zebrać myśli.

- Hm, parę dni temu. W poniedziałek lub wtorek... nie pamiętam dokładnie.
- To jego gabinet, tak?
- Tak. I mój. Może jednak powiecie mi, o co chodzi?
- Morderstwo - odezwał się wreszcie drugi policjant.

Tom miał nadzieję, że wyraz jego twarzy nie zdradził
szoku, jakiego doznał.

- W domu Shepherda znaleziono zwłoki sprzątaczki. Została zamordowana - ciągnął policjant. Jego głos był równie stanowczy jak wygląd - mężczyzna miał kwadratową szczękę i zachowywał się agresywnie. - Musimy sprawdzić, czy profesorowi Shepherdowi nic się nie stało.
- Nie możemy się do niego dodzwonić - wtrącił pierwszy. - Zechce pan spojrzeć, czy to właściwy numer? - Podsunął Tomowi pod nos małą kartkę.

To był numer Davida.

- Tak - potwierdził Tom. Był wstrząśnięty, ale usiłował nie pokazywać tego po sobie. Zwilżył językiem wyschnięte wargi. - Wyjechał do Nowego Jorku na kilka dni w sprawach osobistych. Jak wiecie, tam wysiadła elektryczność, telefony, wszystko. Prawdopodobnie dlatego nie możecie się dodzwonić.
- Prawdopodobnie - przyznał młodszy policjant, przyglądając mu się uważnie.

Drugi policjant już zaczął szperać w szufladach biurka Davida. Wziął oprawione zdjęcie Stacy i pokazał je koledze, który kiwnął głową.

- Czy wie pan, co to za dziewczynka? - spytał Toma.
- Tak. To jego pasierbica.

Tom podał im nazwisko Stacy i Meredith. Gdy policjan-

ci spytali o adres, poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

- Słuchajcie, mogę was zapewnić, że David Shepherd nikogo nie zabił. Bywa groźny na boisku, ale na tym jego agresja się kończy - powiedział i wbrew podszeptom instynktu padł na fotel.

- Panie profesorze - odrzekł młody zarozumialec tonem pełnym pobłażania i lekceważenia. - Nie oskarżamy pana kolegi o morderstwo. Chcemy tylko z nim porozmawiać, czy to jasne? Musimy sprawdzić, czy sam nie jest ofiarą przestępcy. Jeśli więc wie pan, gdzie on jest, w jego i pańskim interesie proszę nam to powiedzieć.

- Wiem tylko, że poleciał do Nowego Jorku.

Tom nie mógł znieść, że David regularnie ogrywa go w sąuasha i pokonuje we wspinaczce. Czasami więc przychodziła mu do głowy myśl, że nieźle byłoby zobaczyć, jak David spada, ale nigdy nie życzył mu, żeby spotkało go coś takiego. Ten zarozumialec najwyraźniej chciał zasłużyć na awans. I posłać Davida do więzienia.

Policjanci niemal godzinę grzebali w biurku Davida, sprawdzali książki na półkach, a nawet prace studentów w szufladzie.

Gdy wreszcie skończyli, podali Tomowi kartkę z numerem sprawy i telefonem kontaktowym. Na pożegnanie młodszy zażądał, żeby Tom natychmiast zadzwonił, jeśli otrzyma jakąś wiadomość od Davida.

Tom poczekał, aż zejdą po schodach, po czym zamknął drzwi gabinetu i sięgnął po telefon.

ROZDZIAŁ 26

Porucznik Scott Conrad wystukał datę na komputerowym formularzu biuletynu, po czym ugryzł kanapkę z szynką i serem, którą kupił w uniwersyteckiej stołówce, nim ruszył z powrotem na posterunek.

Jego partner, Lou Minelli, pojechał do domu ofiary, żeby powtórnie przesłuchać mieszkającą tam dorosłą córkę. Conrad życzył mu powodzenia. Byli tam razem, żeby sporządzić wstępny raport, i Conrad z trudem powstrzymywał niecierpliwość, gdy córka łkała i nie mogła wydusić słowa.

Zgodnie z relacją córki Eva Smolensky zostawiła gulasz na płytce podtrzymującej ciepło i poszła do Shepher-da. To miała być kolacja dla córki. Zrozpaczona trzydziestoletnia kobieta pracowała jako fotograf. Matka zadzwoniła do niej do pracy i powiedziała, żeby nie czekała na nią z kolacją, bo ona jedzie sprzątać do Shepher-da. To była ich ostatnia rozmowa.

Ta sprawa przypadła Conradowi do gustu. I to bardzo. A cieszyłby się jeszcze bardziej, gdyby mógł teraz przesłuchać Shepherda.

Zmrużył oczy i zaczął pisać.

„Do wszystkich komisariatów policji i agencji. Poszukujemy osoby, którą chcemy przesłuchać w związku z morderstwem popełnionym w domu przy 233 D Street NE, Waszyngton, D.C.

Poszukiwany to profesor David Shepherd, biały męż-

czyzna, wiek 32 lata, wzrost 186, waga około 90 kilogramów, włosy brązowe, oczy orzechowe, znaków szczególnych brak. Urodzony 15 sierpnia 1973. Adres: 233 D Street NE, Waszyngton, D.C.".

Conrad wyciągnął się na fotelu, łyknął peppera i wytarł usta papierową serwetką. Sprawdził, czy nie ma błędów, po czym pisał dalej.

„Poszukiwany podobno przebywa w Nowym Jorku. Może podróżować samolotem, pociągiem lub wynajętym samochodem. Proszę go zatrzymać i natychmiast zawiadomić Komendę Policji, Waszyngton, D.C.".

Conrad nacisnął polecenie WYŚLIJ. Komunikat trafi do wszystkich komisariatów w Nowym Jorku oraz do Służby Bezpieczeństwa Ruchu na lotniskach w Nowym Jorku i New Jersey.

Conrad nie miał wątpliwości, że teraz zatrzymanie Shepherda jest już tylko kwestią czasu.

ROZDZIAŁ 27

- David! - wykrzyknęła z niepokojem Jael, widząc ma lujący się na jego twarzy szok. - Co się stało? Czego się do wiedziałeś?

David pokręcił z niedowierzaniem głową. Co chwila otwierał i zamykał usta, zaciskając szczękę.

- Mów, co się stało - naciskała, podrywając się z krzesła. Oglądała wiadomości CNN, które donosiły o kolejnych katastrofach i klęskach żywiołowych. Teraz stała przed nim i zastanawiała się, dlaczego jego twarz jest szara jak popiół.
- Eva nie żyje.
- Jaka Eva?
- Moja sprzątaczka. Ktoś ją zamordował. W moim domu.

Zamknął oczy. W wyobraźni widział drobną kobietę z ciężkimi powiekami, która od siedmiu lat raz na tydzień starannie sprzątała jego dom. Otworzył oczy i spojrzał na Jael.

- Policja mnie szuka.
- Och, Boże! - jej twarz skamieniała. - Kiedy ją znaleźli?
- Nie mam pojęcia. Zadzwonił Tom Mclntyre. Mój kolega z Georgetown. Mamy wspólny gabinet. Przyszli z nakazem rewizji i wywrócili do góry nogami wszystko w moim biurku. Wiedzą, że jestem w Nowym Jorku. - Davida mdliło.

- To znaczy, że nie możemy czekać do rana. Musimy od razu pojechać na lotnisko i przejść przez kontrolę, nim twoje zdjęcie znajdzie się na wszystkich posterunkach po licji w Nowym Jorku.

David patrzył na nią tępym wzrokiem. Był zbyt poruszony, żeby jasno myśleć.

- Najpierw muszę zgłosić się na policję...

- Nie! - Jael popchnęła go na krzesło. - Zastanów się. Morderca Evy mógł szukać ciebie. Jeśli zgłosisz się na policję, nie pozwolą ci wyjechać, póki nie znajdą sprawcy.

David wiedział, że Jael ma rację, ale jeszcze się wahał. Jael już zbierała kosmetyki. Jej ruchy były szybkie i sprawne.

- Spędzimy noc na lotnisku. Wezmę prysznic, a ty w tym czasie się spakuj.

Gdy Jael zamknęła za sobą drzwi łazienki, David nerwowo krążył po pokoju i gorączkowo myślał.

To moja wina, że poprosiłem Evę, aby wpuściła do domu Dillona. Ale Dillon powiedział, że gdy przyjechał, już jej nie było. I że nie odstawiła odkurzacza na miejsce...

Dlatego, że już nie żyła, uzmysłowił sobie. Zatrzymał się przed oknem i wbił wzrok w chmury.

Dlaczego więc Dillon nie znalazł jej ciała?

David czuł, że poci się obficie. Dillon i morderca minęli się zapewne o parę sekund. Dillon to jedyny człowiek, który prawdopodobnie mógłby pomóc policji...

Ale Dillon wyjechał za granicę, przypomniał sobie.

Poczuł skurcz w brzuchu. Dillon był jego najlepszym przyjacielem. Mógł zginąć razem z Evą. Wszystko to dlatego, że chcą mnie dopaść, pomyślał.

Podszedł do torby podróżnej, rzucił ją na łóżko. Złożył koszulę, którą nosił poprzedniego dnia, i schował ją do torby. Kątem oka zobaczył ekran telewizora. Szybko chwycił pilota i włączył głos.

„Wiatr w Arizonie zmienił kierunek - relacjonowała długowłosa korespondentka. - Spłonęły już tysiące hekta-

rów lasu. Pożar rozszerza się teraz w nowym kierunku i zbliża do Flagstaff, oddalając się od pożarów wznieconych celowo, żeby wypalić teren i uniemożliwić rozprzestrzenianie się pożaru. Jest to potężny cios dla strażaków, którzy od trzydziestu sześciu godzin bez przerwy walczą z ogniem. Szeryf zaleca mieszkańcom okolicy, żeby przygotowali się do ewakuacji, gdyby okazała się ona konieczna. Z Flagstaff mówiła Lisa Wilson".

David z przerażeniem przypomniał sobie, że Meredith mówiła coś o pożarach lasu, ale on jej nie słuchał.

Hutch będzie musiał się ewakuować, a David wiedział, co to oznacza. Już wiele lat temu Hutch wyjaśnił mu, że podczas podróży ryzyko znacząco wzrasta.

Nagle zapragnął znowu usłyszeć głos Stacy. Jeszcze raz, nim jutro rano jego samolot wzbije się w powietrze.

David myślał, że przecież czegoś jej nie powiedział. Nie zdążył, bo Meredith wyrwała córce słuchawkę.

Jeszcze raz, nim wyjedzie z kraju, nim nastąpi koniec świata, chciał się upewnić, że Stacy wie, jak bardzo ją kocha.

Jael odkręciła kurek do końca i zastanawiała się, co zrobić. Davida szuka policja. Jego nowiutki paszport jest już bezwartościowy.

Czekając, aż ustabilizuje się temperatura, oparła się o kabinę i rozważała, jakie mają możliwości. Znała Awie-go od piętnastu lat i od piętnastu lat wysłuchiwała jego przechwałek, że potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji.

Czas go sprawdzić.

ROZDZIAŁ 28

David stał przed oknem pokoju hotelowego i gapił się na frachtowce na rzece Hudson. Znowu był cały spięty. Po raz kolejny przeżywał to samo. Hutch, Meredith i Stacy nie odbierali telefonów.

Ponownie przyciszył telewizor, ale w dalszym ciągu widział na ekranie zdjęcia płonącego lasu i wzbijający się w niebo czarny dym.

Wypalanie lasu przed linią pożaru nie pomogło. Nic nie pomagało. Mógł tylko liczyć, że Hutch zdąży przed ogniem.

David usłyszał, jak Jael zakręciła wodę w łazience, ale równocześnie w innej części mózgu słyszał, jak woła go przerażona Stacy.

Nie. Wyłączył tę taśmę z nagranym koszmarem i powtórzył sobie, że Karl Hutchinson jest najlepszym specjalistą w swoim fachu - nikt nie zdoła go pokonać i zrobić krzywdy Stacy lub Meredith, nawet Anioł Ciemności.

- Żadne z nich nie odbiera - zawołał do Jael. - Mam złe przeczucia. - Odwrócił się od okna i skamieniał.

Jael stała przy rozgrzebanym łóżku. Miała na sobie hotelowy płaszcz kąpielowy, a jej zielone oczy wydawały się zupełnie przezroczyste z przerażenia. Za nią stał jasnowłosy olbrzym i przyciskał jej do gardła długi myśliwski nóż.

Niczego nie słyszałem, pomyślał David.

David przyjrzał się Aniołowi Ciemności. Z bliska łatwo mógł dostrzec, że to jeszcze szczeniak - potężny szczeniak. Miał bary gracza w rugby i pełną entuzjazmu twarz kadeta z korpusu oficerów rezerwy. Tylko w jego oczach kryło się coś dziwnego. Były bladoniebieskie, niemal bezbarwne i tak pozbawione wszelkich uczuć jak dwie piłeczki pingpongowe. Wygląda jak skrzyżowanie członka uniwersyteckiej drużyny futbolowej z mordercą na zlecenie.

- Puść ją - powiedział David. Zwilżył wargi językiem. Dwa kamienie w kieszeni spodni nagle zaczęły palić go jak gorące węgle. Popatrzył na pulsującą tętnicę na szyi Jael, oddaloną od klingi zaledwie o kilka milimetrów.

Jak trafić do Anioła Ciemności?

- Jestem pewny, że uda się nam dojść do porozumienia, jeśli jej nie zranisz - zaczął. Zrobił krok naprzód. -Najpierw musisz ją puścić.

- Zastanowię się nad tym, jak dasz mi swoją czerwoną książeczkę.

Wie o moim notatniku. David był zaskoczony. A my sądziliśmy, że chodzi im o kamienie z pektorału lub o zawartość torby rabina.

David zaczerpnął powietrza i ocenił przeciwnika. Nie śpiesz się. Stań na pewniejszym gruncie. On jest w wieku twoich studentów. A sądząc po tym, jak się poci, czuje się równie niepewnie.

- Może powiesz mi, kim jesteś i o co w tym wszystkim chodzi? - Ze zdziwieniem zauważył, że mówi głosem o oktawę niższym niż zwykle.

- Jestem tylko gońcem, profesorze - odpowiedział blondyn. - Niech pan odłoży telefon na biurko i powie mi, gdzie jest notatnik. Wezmę też wszystko, co dał wam rabin.

David spojrzał w oczy Jael. Czuł pulsowanie krwi w skroniach. Miał ochotę powiedzieć temu gnojkowi, żeby się odpieprzył, ale w porę ugryzł się w język. Zmusił się, żeby na niego popatrzyć.

Coś przecież musi kryć się w tych bezbarwnych oczach. Jak do tego dotrzeć? Może zostawi Jael w spokoju, jeśli dam mu jeden kamień.

- Nie rób tego, Davidzie! - zawołała Jael, jakby czyta ła w jego myślach. Przerażenie w jej głosie było równie przejmujące jak chaos w jego głowie. - On mnie zabije bez względu na to, co zrobisz. Uciekaj stąd. Już!

Olbrzym uśmiechnął się ironicznie i mocniej przycisnął nóż do jej gardła. Wskazał brodą na łóżko.

- Pan puknął ją ostatniej nocy. Wygląda na to, że dzi siaj moja kolej.

Jael jęknęła, gdy skaleczył jej szyję. Z niewielkiej rany pociekła krew.

- Widzicie, jak niewygodnie mieć ciało - powiedział z pogardą blondyn. - Ciało jest takie nieporządne. Kłopotliwe. To bariera na drodze duchowego rozwoju. - Pociągnął nożem kilka milimetrów. Jael skrzywiła się, gdy krew zaczęła obficiej spływać na kołnierz płaszcza kąpielowego. - Niech pan ruszy tyłek, profesorze. A może chce pan zobaczyć więcej krwi?

- Skurwysyn - syknęła Jael przez zęby i nagle kopnęła go w goleń. David rzucił się na przeciwnika, usiłując wyrwać mu nóż. Jael, wijąc się i szamocąc, zdołała się jakoś wywinąć, ale napastnik zdzielił ją pięścią w brzuch, tak że przeleciała przez cały pokój i uderzyła o szafę. Blondyn odwrócił się do Davida. Precyzyjnie, jak karateka, wymierzył mu kopa w brzuch. David padł na kolana.

Nie mógł złapać oddechu, jakby zapomniał, jak się wciąga powietrze do płuc. Czuł w nich jednocześnie pustkę i żar. Mdliło go, ale zdołał chwycić się zagłówka i wstać.

Wszyscy troje w tym samym czasie zauważyli na podłodze bursztyn, który wypadł z kieszeni Davida i leżał teraz koło sandałów Jael. Błyszczał jak małe słońce. Nawet z daleka widać było wyryte na jego powierzchni tajemnicze hebrajskie litery.

Jael rzuciła się, żeby go podnieść, ale w tejże chwili blondyn pochylił się i wyciągnął potężne ramię. David wykorzystał okazję. Złapał metalowy wieszak na bagaże i z całej siły zdzielił blondyna w głowę. Rozległ się nieprzyjemny trzask. Anioł Ciemności zwalił się na wykładzinę jak ubity słoń.

- Jael, nic ci nie jest? - spytał David. Z trudem łapał powietrze, ale stopniowo tlen znowu zaczął docierać do jego mózgu.

- Poczuję się lepiej, gdy stąd znikniemy - odpowiedziała, zawiązując pasek płaszcza kąpielowego. Przycisnęła drżącą rękę do szyi. Skrzywiła się, gdy pod palcami poczuła krew. - A co z tobą? Jesteś cały?

- Chyba tak - mruknął. - A jeśli nie, to samo się zgoi.

Jael uśmiechnęła się słabo. Podniosła bursztyn i podała go Davidowi, a on włożył go do kieszeni. Usłyszał ciche kliknięcie, bursztyn stuknął o agat.

- Przed wyjściem sprawdźmy, czy on ma coś, co mog łoby się nam przydać - powiedział, klękając przy nieprzy tomnym przeciwniku.

Według prawa jazdy, wydanego w New Jersey, był to James Gillis.

- Prawo może być fałszywe - zauważyła Jael, przeszukując jego kieszenie. - Jeśli przekażemy je Awiemu, może uda mu się dowiedzieć, kto nasłał tego bałwana.

- Masz chyba do niego wielkie zaufanie?

- Znamy się od dawna - odparła, sprawdzając portfel Gillisa. - Awi został zwerbowany przez Mosad w tym samym roku co mój mąż.

- Mąż? - spytał. Pochylił się, żeby sprawdzić podejrzane wybrzuszenie na nodze Anioła Ciemności.

- Trzy miesiące po ślubie zginął podczas wykonywania zadania. Odkładaliśmy nasz miesiąc miodowy...

David bardzo jej współczuł, ale nim zdążył dać temu wyraz, Jael zmieniła temat. Popatrzyła na małokalibrowy pistolet, który wyciągnął ze skarpetki Gillisa.

- Lepiej nie próbuj przejść z tym przez kontrolę na lot nisku. Daj mi go...

David otarł pot z czoła. Przyglądał się, jak Jael rozładowuje pistolet i chowa naboje pod materacem. W drugiej skarpetce znalazł kartę tarota.

- Zobacz, co znalazłem. Identyczna karta. Jael zbliżyła się do niego, żeby lepiej zobaczyć.
- Różni się numerem - zauważyła.

Miała rację. Na karcie widniał numer 1098. Rozszyfrujemy to później, pomyślał David. Teraz musiał związać Gil-lisa, nim ten oprzytomnieje. Chciał zadać mu kilka pytań.

Szybkim ruchem zerwał z łóżka prześcieradło.

- Jael, przynieś szklankę zimnej wody.

Jael spojrzała na niego pytającym wzrokiem, po czym poszła do łazienki. Jednym końcem prześcieradła David związał Gillisowi ręce na plecach, a drugim nogi.

- Gotowy? - spytała Jael, trzymając szklankę nad głową Anioła Ciemności.
- Dalej.

Gillis nie zareagował, nawet gdy David klepnął go w twarz.

- Zbudź się, blondasie - powiedział, ale Gillis nawet nie mrugnął.

Jael pochyliła się i przyłożyła palce do jego szyi.

- Puls jest bardzo słaby. Może być nieprzytomny jeszcze przez pewien czas, a my nie możemy sobie pozwo lić na czekanie.

David włożył do torby prawo jazdy i kartę tarota. Jael ubrała się szybko, po czym zarzuciła torbę na ramię. Przed wyjściem rozejrzeli się jeszcze po pokoju. Na ekranie telewizora widać było, jak ekipy ratownicze w Turcji wydobywają ciała z ruin domów zniszczonych przez trzęsienie ziemi.

Gillis jęknął, ale się nie poruszył. David podszedł do niego, ale Jael chwyciła go za rękę.

- Nie mamy czasu. Proszę.

Wiedział, że ma rację. Nakłonienie Giłlisa do mówienia mogło im zająć kilka godzin. W tym czasie policja zawiadomi służbę graniczną i ochronę lotniska, że chce z nim rozmawiać.

Otworzył ostrożnie drzwi i rozejrzał się po korytarzu. Nikogo nie zauważył.

Nie mógł jednak wiedzieć, że na dole, w holu stoi oparty o ścianę potężny Portorykańczyk i nie spuszcza wzroku z windy, na wypadek gdyby profesorowi Davidowi She-pherdowi i Jael HarPaz udało się wymknąć Gillisowi.

- Oto jaki pożytek z nowoczesnej techniki - skrzywił się Hutch. Niezadowolony, przesunął okulary przeciwsłoneczne nad czoło i popatrzył na barczystego sprzedawcę. Stacy przyglądała się słodyczom na drewnianych półkach.

- Słusznie - mruknął tamten, dalej pracowicie żując tytoń. - Te pożary nas wykończą. Matka Natura zawsze wygrywa w starciu z techniką.

- To jakiś absurd - protestowała głośno Meredith. -Twierdzi pan, że w całym Flagstaff nie ma jednego działającego telefonu komórkowego?

Sprzedawca odburknął niechętnie w odpowiedzi na ten wybuch. Stacy wzniosła oczy do góry, na sosnowe belki stropu.

- To właśnie powiedziałem, proszę pani. Jeśli ma pani AT&T, Verizone, Cingular i im podobne, to są do niczego. Nie działają żadne telefony, które odbierają sygnał z głównej wieży w Flagstaff.

- A telefony kablowe są zablokowane, bo wszyscy usiłują dzwonić równocześnie - wtrącił opalony mężczyzna, który wyciągał z lodówki sześciopak piwa. Stacy popatrzyła na jego czarne skórzane buty, ozdobione wymyślnymi szwami i klamerkami - to było prawdziwe dzieło sztuki.

Hutch nie zwracał na niego uwagi. Patrzył na Stacy, drzwi wejściowe oraz kępy drzew i skały przy parkingu. Od kiedy opuścili jego chatę w Walnut Creek, nikt ich nie śledził. Nie widać było nawet agentów z Izraela, którzy powinni już dotrzeć na miejsce. Hutch nie wiedział, jak się z nimi skontaktuje, ale nie miał wyjścia - musieli uciekać przed ogniem.

- A co będzie, jeśli ktoś znajdzie się w kryzysowej sytuacji? - podniosła głos Meredith. W niewielkim sklepie, pachnącym starą kawą, jej słowa zabrzmiały ostro i nieprzyjemnie.

- Cały świat jest w kryzysowej sytuacji, mamo - wtrąciła Stacy. Jej policzki były czerwone jak litery na szarym dresie. - Nie oglądałaś wiadomości?

Sprzedawca uśmiechnął się i odwrócił, żeby podać chipsy i wodę sodową dwóm chłopcom czekającym przy ladzie.

Hutch zastanawiał się, co zrobić. Nie miał wyboru. Musieli jechać dalej, znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, a potem spróbować nawiązać kontakt z Davidem i ekipą śpieszącą im z pomocą.

- Chodźmy, moje panie. Znajdziemy jakieś inne miejsce, żeby zadzwonić do babci i złożyć jej życzenia urodzinowe.

Stacy spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale zaraz zrozumiała. Biedne dziecko. Od czasu do czasu pewnie zapominała, co było przyczyną tej wyprawy. Jak na trzynastoletnią dziewczynkę świetnie nad sobą panowała, ale to wszystko wiele ją kosztowało. Rano Hutch przyglądał się, jak gorączkowo pisała w swoim pamiętniku, skulona na fotelu, na którym zwykł siadać jego dziadek, żeby przeczytać pismo poświęcone hodowli bydła. Hutch szybko się zorientował, że Stacy jest wrażliwym, miłym i przestraszonym dzieckiem, z sercem otwartym dla wszystkich.

Meredith rzuciła na ladę paczkę marlboro light 100

i dziesięć dolarów. Hutch zsunął okulary na nos i ruszył pierwszy do drzwi.

- Idźcie. Zaraz was dogonię - zawołała Meredith.

Gdy Hutch eskortował Stacy do explorera, uważnie przyglądał się drodze i zboczu góry nad sklepem. Nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego, ale mimo to lekko dotykał ramienia dziewczynki.

Raoul LaDouceur uśmiechnął się. Właściwie ma już tego ochroniarza na muszce. Jeszcze trzy minuty, a ta mała będzie śnić chloroformowe sny w bagażniku samochodu. Prywatny samolot już na nich czeka.

- Chwileczkę, proszę pani. - Gdy Meredith chciała nacisnąć na klamkę, opalony mężczyzna chwycił ją za rękę i szarpnął do tyłu.

- Łapy przy sobie! - warknęła, ale zaraz dostrzegła w jego ręku rewolwer i zbladła jak ściana.

- Stacy! Uciekaj! - zdążyła krzyknąć.

W tej chwili tamten wyskoczył na zewnątrz. Strzelał szybko jak z automatu. Dopiero po chwili Meredith zorientowała się, że strzały padają także z innego kierunku.

- Padnij! - wrzasnął sprzedawca, który już leżał na podłodze. Meredith patrzyła, jak Hutch przewraca się na ziemię z rewolwerem w ręku. Stacy z płaczem wygrzebała się spod niego.

- Uciekaj! - krzyknęła Meredith, wyskakując na zewnątrz. - Stacy, uciekaj!

Kula wytrąciła jej z dłoni paczkę papierosów. Kobieta potknęła się, ale zaraz pobiegła do samochodu. Opalony mężczyzna posuwał się zygzakiem przez parking, równocześnie strzelając w kierunku skał przy drodze.

- Mamo, pomóż mu. Strasznie krwawi. Pomóż Hu-tchowi. - Blada z przerażenia, Stacy uklękła obok Hutcha. Nagle podbiegł do nich jakiś uzbrojony mężczyzna.

- Niech nas pan nie zabija - błagała Stacy. - Proszę, niech nas pan nie zabija.

Tamten przyklęknął i sprawdził puls Hutcha. Położył rewolwer na ziemi obok Meredith.

- Spokojnie, jestem po waszej stronie. Garrick Rix, po mocnik Hutcha.

Uderzył Hutcha w twarz, ale ten nie zareagował.

- Przebudź się, kurwa, nie zdychaj mi tu teraz.

Rix wyszarpnął pasek ze szlufek dżinsów i rzucił go Meredith.

- Zaciśnijcie mu pas na udzie, możliwie najmocniej, i trzymajcie, dopóki nie wrócę. Inaczej umrze. Bez względu na to, co się będzie działo, nie ruszajcie się stąd. Mam nadzieję, że raniłem tego skurwysyna, ale nie jestem pewny. Sprawdzę, czy nie czyha tam, żeby wystrzelać nas jak kaczki, a potem spieprzamy stąd. Wy w tym czasie macie dopilnować, żeby Hutch nie wykrwawił się na śmierć.

ROZDZIAŁ 29

Stacy chwyciła skórzany pas, okręciła go wokół uda Hutcha i mocno zacisnęła, nie zważając na krew na jego dżinsach. Kątem oka dostrzegła, że Garrick Rix odchodzi. Strzelanina ustała, ale w uszach wciąż dźwięczał jej huk wystrzałów. Dostała mdłości, ale wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na słabość, Hutch może umrzeć. I tak dość już przez nią wycierpiał.

- Proszę, nie umieraj - wykrztusiła, patrząc na jego twarz w kolorze szarej plasteliny, której używała w szkole.

- Stacy, pozwól, ja to zrobię. - Meredith trzęsła się tak, że słychać było jej szczękające zęby. Delikatnie spróbowała wyciągnąć pas z zaciśniętych palców córki. - Wejdź pod samochód, i to już.

- Zostanę tu z tobą i Hutchem. Mogę pomóc - odpowiedziała Stacy i nie puściła pasa.

- Stacy, im chodzi o ciebie. Wejdź pod samochód.

Między skałami przy drodze rozległ się strzał. Stacy jęknęła.

- Jak myślisz, czy tamten zastrzelił przyjaciela Hutcha? - po policzkach Stacy spływały łzy.

Wygląda na to, że ktoś to zrobił, pomyślała Meredith. Serce jej waliło. Nim odpowiedziała, usłyszały głos sprzedawcy.

- Hej, wy tam! Chodźcie do sklepu. Mam karabin, tu taj nie dadzą rady podejść. Biegiem!

- Za bardzo krwawi, nie mogę go zostawić! - odkrzyknęła Meredith. - Stacy, ty idź, ale to już! - naciskała na córkę. Włosy opadły jej na oczy. Na kolanach czuła ciepłą krew Hutcha. - Przeczołgaj się do sklepu, proszę cię. Obiecuję, że zajmę się Hutchem.

Stacy nie wiedziała, czy ma posłuchać, czy zostać. Płakała i nie mogła się opanować ani poruszyć. Po chwili było już za późno.

Garrett Rix leżał na brzuchu, celując w śniadego mężczyznę, stojącego w odległości niecałych dwudziestu metrów. Oberwał, ale pod wpływem nagłego przypływu adrenaliny nie czuł bólu. Liczył na jeden strzał, jeden celny strzał.

Tamten zbliżył się kilka kroków. Skurwysyn uśmiechał się, jakby właśnie wygrał w pokera. Rix mrugnął, bo pot zalewał mu oczy. Spróbował nieco unieść rękę z rewolwerem. Wypluł krew, żeby się nie zakrztusić i nie zdradzić kryjówki. Sądzi, że zagonił mnie do kąta jak szczura, pomyślał. Stać mnie na jeszcze jeden strzał. Jeden strzał.

Gdy naciskał spust, oślepił go błysk ognia. Świat zalała czerwień. A potem czerń.

Raoul kopnięciem wytrącił rewolwer z bezwładnej ręki Garretta i dla pewności jeszcze raz strzelił mu w głowę. Wolał nie ryzykować.

Nie tracąc ani chwili, pobiegł do firebirda. Po raz pierwszy od kilku dni poczuł się rześki. Zawsze gdy kogoś zabił, nabierał energii.

Powietrze rozdarł zgrzyt żwiru pod kołami samochodu. Żółty kabriolet Firebird wyłonił się zza skał i ostro zahamował, prostopadle do explorera, skutecznie blokując drogę ucieczki.

Sklepikarz strzelił, ale nie trafił w koło firebirda. Kula odbiła się od drzwi po stronie pasażera.

Stacy poznała mężczyznę, który wysiadł z kabrioletu.

- Mamo, to on! - załkała i dała nura pod SUW-a.

Meredith złapała rewolwer Hutcha i spróbowała wycelować, ale ręce tak się jej trzęsły, że nie mogła utrzymać broni. Przygryzła dolną wargę, aż poczuła w ustach smak krwi. Tamten nie zwracał na nią uwagi, tylko odpinał coś od pasa.

Meredith biernie patrzyła, jak mężczyzna rzuca to coś w kierunku sklepu.

Strzelaj, teraz! Strzelaj - krzyczał jej wewnętrzny głos. Zmrużyła oczy i nacisnęła na cyngiel. Pod wpływem odrzutu przewróciła się na Hutcha. W tym samym momencie rozległ się huk eksplozji i z okien sklepu buchnęły płomienie.

Meredith zamarła. Po chwili zerwała się i znowu spróbowała wycelować.

- Daj mi broń - usłyszała szept Hutcha. - Upuść rewol wer, tak jakbyś chciała się poddać.

Meredith padła na kolana i puściła rewolwer tak, że spadł prosto na jego otwartą dłoń. Spojrzała na Stacy, która leżała, dygocząc, pod samochodem. Zostań tam, kochanie, modliła się w myślach. Zostań tam.

Ciemnowłosy mężczyzna oderwał wzrok od płonącego sklepu i ruszył w stronę Meredith. Szedł długimi, pewnymi krokami. Gdy zatrzymał się dwa metry od niej, owładnęło ją uczucie strachu. Mimo to dostrzegła, że miał dziwne oczy -jedno brązowe, drugie niebieskie.

Wpatrywała się w niego z takim skupieniem, że nie zauważyła, jak Hutch uniósł rękę. Usłyszała strzał i zobaczyła, że kula szarpnęła ciałem mężczyzny o dziwnych oczach. Poczuła przypływ nadziei. Jeszcze raz, Hutch. Strzel jeszcze raz. W serce.

Nieznajomy zareagował jednak błyskawicznie, choć na jego prawym ramieniu pojawiła się plama krwi.

- Nie! - krzyknęła Meredith, gdy cztery razy strzelił do Hutcha. - Boże! Nie!

- Stacy! - warknął mężczyzna o dziwnych oczach.

Dźwięk imienia córki w jego ustach przeraził Meredith.
Nigdy w życiu nie zetknęła się z takim złem.

- Daj jej spokój!
- Zamknij się! Już! - krzyknął, celując w głowę kobiety. - Stacy, jeśli natychmiast nie wyjdziesz jak grzeczna dziewczynka, twoja matka zginie, tak samo jak ochroniarz.
- Stacy, nie słuchaj go! - wrzasnęła Meredith.

Wiatr przywiał w ich stronę dym i popiół z płonącego sklepu. Mężczyzna zakasłał. Opuścił trochę rewolwer, celując w jej serce. W ostatniej chwili zmienił cel i kula wbiła się w ziemię, rozrzucając pył i odłamki skał.

- Mamo! - jęknęła Stacy i wypełzła spod samochodu. Podbiegła do matki.
- Zostaw nas! - załkała Meredith. - Czego od nas chcesz?
- Chcę jej! - wskazał rewolwerem Stacy. Chwycił broń za lufę i rzucił się na Meredith jak pantera.

Uderzył ją kolbą w głowę. Zobaczyła tylko jeszcze jego dziwne, niejednakowe oczy i straciła przytomność.

Stacy przytuliła się do matki. Płakała. W ciągu pięciu sekund Raoul odkorkował fiolkę z chloroformem i nasączył nim chusteczkę, którą wyciągnął z kieszeni. Tym razem mysz z ostrymi zębami nawet nie pisnęła.

ROZDZIAŁ 30

1... 6... 5... winda szybko mijała kolejne piętra. Przed czwartym piętrem zwolniła. David przyciągnął do siebie Jael, na wypadek gdyby musieli razem uciekać. W napięciu patrzyli, jak rozsuwają się drzwi, ale elegancko ubrana bizneswomen, która wsiadła do windy, ciągnąc za sobą walizkę, nawet na nich nie spojrzała.

Gdy winda ruszyła znowu, Jael wyraźnie się odprężyła. Nagle David wyciągnął rękę i nacisnął guzik pierwszego piętra.

- Zupełnie zapomniałem, skarbie. Powiedziałem rodzicom, że po drodze wstąpimy do nich.
- Och, wydawało mi się, że mieliśmy się spotkać w holu - odpowiedziała Jael, patrząc na niego ze zdziwieniem. Mimo to bez wahania wysiadła za nim z windy i odezwała się dopiero wtedy, gdy byli sami na korytarzu.
- O co ci chodzi, „skarbie"?
- Przyszło mi do głowy, że przecież Gillis nie działa sam. Jego wspólnik może czekać w holu.
- Bardzo słusznie - przyznała, mrużąc oczy. - Proponuję schody.

David rozejrzał się dookoła. Popatrzył na tabliczki „Wyjście" zawieszone po obu stronach korytarza.

- Pamiętasz, czy wczoraj wieczorem, gdy szukaliśmy naszego pokoju, wychodząc z klatki schodowej, skręciliśmy w prawo, czy w lewo?

- W prawo... tak mi się wydaje.
- Chodźmy więc w lewo. Ta klatka schodowa jest dalej od drzwi wejściowych.
- Miejmy nadzieję, że jest też tylne wyjście - odpowiedziała Jael, poprawiając torbę na ramieniu. Ruszyli w kierunku schodów.

Ukradkiem zeszli na parter. David wstrzymał oddech i powoli uchylił drzwi do holu.

Na razie wszystko w porządku. Hol był pusty. Po lewej stronie znajdował się jakiś korytarz. Szybko poszli w tym kierunku.

To była tylko wnęka, po sufit zastawiona krzesłami. W głębi znajdowały się drzwi z napisem „Tylko dla personelu".

- Tędy. - David otworzył drzwi, ale Jael nagle się odwróciła, bo usłyszała za plecami szybkie kroki. W ich stronę biegł jakiś smagły mężczyzna, jak wilk goniący królika. To był wspólnik Gillisa, Latynos, który strzelał do nich poprzedniego dnia.
- Dalej! Szybko! - Jael popchnęła Davida i zatrzasnęła za sobą drzwi.

David ruszył naprzód, ale uderzył golenią o wystającą nogę leżącego na boku stołu.

- Cholera! - zaklął.

Byli w magazynie, zawalonym stołami, krzesłami, rzutnikami. Z boku stał fortepian. David skręcił w tym kierunku.

- Pomóż mi! - zawołał.

Popchnął fortepian, ale na próżno usiłował go poruszyć. Jael zaczęła pchać z drugiej strony. Razem zdołali przesunąć go kilka metrów do drzwi.

- Jeszcze raz! Mocno!

David czuł, że po karku spływa mu pot. Był czerwony z wysiłku. Jael pchała z wyrazem determinacji na twarzy. Tym razem przesunęli instrument prawie do samych drzwi.

- Jeszcze kawałeczek! - zachęcał David, zbierając siły.

W tym momencie drzwi się otworzyły do środka i uderzyły o fortepian. W szparze pojawiła się owłosiona, mocna ręka. Mężczyzna naparł ramieniem na drzwi.

- Teraz! - wrzasnęła Jael.

David wytężył wszystkie siły. Fortepian nagle ustąpił i huknął w drzwi, które zatrzasnęły się na grubych paluchach. Po drugiej stronie rozległo się nieludzkie wycie, a potem desperackie walenie w drzwi.

- Chodźmy! - David chwycił Jael za rękę. Pobiegli, klucząc między sprzętami i kredensami z zastawą stołową. Po chwili znaleźli się w następnym pomieszczeniu -ogromnej kuchni. Wszędzie błyszczała nierdzewna stal. Boy hotelowy w czerwonej liberii zajadał właśnie kanapkę. Na ich widok upuścił ją na podłogę.

- Przepraszam, proszę państwa - zastąpił im drogę. Zdziwieni kucharze podnieśli głowy. - Przepraszam, ale tu mają wstęp tylko pracownicy.

- Gdzie jest tylne wyjście? - krzyknął David.

Boy był zbyt zdziwiony, żeby odpowiedzieć, ale stojący obok kucharz, Azjata, który właśnie siekał cebulę, wskazał im nożem drogę. Ruszyli w tym kierunku. Boy usłyszał wreszcie krzyki Latynosa.

- Co się tu dzieje, u diabła.

- Nie otwieraj tych drzwi! On ma broń! - krzyknęła przez ramię Jael. - Wezwijcie ochronę!

- Co to ma być? - spytał szef kuchni. - Jakiś reality show? Robicie sobie jaja, człowieku?

David i Jael wybiegli przez jaskrawo oświetlone wejście służbowe. Okrążyli budynek i wypadli na boczną ulicę. Zatrzymali się, gdy zauważyli wolną taksówkę. Kierowca podjechał do krawężnika.

W tym momencie zadzwonił telefon Jael.

- JFK - wyrzucił z siebie David, ciężko dysząc. Wsiadł i zostawił otwarte drzwi. - Niech pan poczeka na tę panią.

Powoli łapał oddech. Jael wsiadła, nie odrywając telefonu od ucha.

- Ucieczka z hotelu to jeszcze nic - sapnęła, gdy jechali przez zatłoczone ulice. Pochyliła się i szepnęła Davidowi do ucha. - Teraz musimy jakoś przeszmuglować cię przez granicę. Ten telefon to pierwszy krok.

ROZDZIAŁ 31

Wąż pracował przez całą noc, wpatrując się jak zahipnotyzowany w ekran monitora. Mimo to o świcie nadal nie znał dwóch nazwisk.

Po raz kolejny zaatakował wzory. Miał tłuste włosy i śmierdział potem. Jego palce nadal błyskawicznie poruszały się po klawiaturze, a mózg działał szybciej niż wszystkie procesory, jakimi dysponował.

Od wielu dni nie pamiętał o myciu, jedzeniu, a nawet zapomniał, że chodzi o lasce - wstał bez niej i zwalił się na podłogę.

Przeklinając, z trudem podniósł się, złapał przeklętą laskę i z całej siły uderzył nią w jedną z cennych rzeźb, rozbijając ją na kawałki.

Zaczynał nienawidzić liczb, wykresów, transkrypcji. Teraz nie demonstrowały jego błyskotliwej inteligencji, lecz szydziły z niego, skrywały przed nim tajemnicę, nie pozwalały zajrzeć za zasłonę. Od dawna nie dokonał żadnego przełomowego odkrycia, ale też nie otrzymał nowych materiałów. Ostatni fragment papirusu został znaleziony w lecie 2001 roku.

Wszystko, czego potrzebuję, już tu jest, powtarzał sobie. Musi być. Jestem tak blisko. Jesteśmy tak blisko.

Wszystko zależy ode mnie. Klęska Boga. Koniec świata. Zwycięstwo gnozytów.

Tak bardzo starali się, tyle razy próbowali. Historia jego sekty zawsze go wzruszała.

Przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy byli bliscy zabicia wszystkich Ukrytych. Zachwianie równowagi świata spowodowało wybuch Wezuwiusza i zniszczenie Pompei. Później, w piątym wieku, ich bohater Attyla wyrżnął tylu lamed wowników, że nazwano go „biczem bożym".

Gnozyci ucieszyli się z zarazy, czarnej śmierci, która w czternastym wieku zabiła niemal połowę ludności Europy Zachodniej. Modlili się, żeby mór rozprzestrzenił się na cały świat.

Hiszpańska inkwizycja pod przewodem Torąuemady, masakra Ormian. Wtedy też zginęło wielu Ukrytych, ale nigdy nie udało się zlikwidować wszystkich trzydziestu sześciu z danego pokolenia.

Przeżyli jedną chwilę nadziei. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym roku wylała Żółta Rzeka i w jej nurtach straciło życie ponad milion ludzi. Zatonął Titanic. Komunizm. Czerwoni Khmerzy wymordowali ponad milion ludzi w Kambodży.

W wielu krajach i wielu epokach narzędziem gnozy-tów było niewolnictwo - instytucja tłumiąca nadzieje, tłamsząca i niszcząca ludzi o czystych duszach jak przestępców.

Naziści również zrobili swoje. Przez pewien czas pradziadek Węża kierował dynamiczną kampanią Kręgu, mającą doprowadzić do zniszczenia świata. Niewiele brakowało.

Teraz jesteśmy jeszcze bliżej sukcesu, powiedział sobie. Bliżej niż kiedykolwiek. Pomyślał o arce, o zapasach przygotowanych w podziemnej twierdzy, o dwóch tysiącach wiernych czekających na sygnał, żeby przenieść się do nowego świata. Wszystko to będzie jednak możliwe tylko wtedy, gdy on wykona swoje zadanie.

Jeszcze dwa nazwiska. Dlaczego nie może ich znaleźć? Jaki błąd popełnia?

Spróbował kolejnego algorytmu, zmienił ciąg, sprawdził jeszcze jeden kod liter równoodległych.

Śmieci. Na ekranie pojawiły się tylko śmieci.

Ugryzł się w język, tak że zaczął krwawić. Głupie krwawienie. Bez znaczenia. Liczy się tylko cierpliwość.

Młodość, spędzona w ciemnościach, była dla niego szkołą cierpliwości. Zawsze wierzył, że jeszcze przyjdzie światło. I teraz też przyjdzie, pomyślał. Iluminacja i odpowiedzi. Cierpliwości.

Trudno było jednak ćwiczyć cierpliwość pod presją Kręgu. W miarę upływu dni nawet jego ojciec stawał się coraz bardziej odległy, rozczarowany. O ileż bardziej by nim pogardzał, gdyby znał prawdę - całą prawdę.

Nie mogę zawieść. Nie zawiodę.

Musiał oczyścić umysł. Wrócić do tego cichego, ciemnego miejsca, usłyszeć głos nicości.

Odpowiedź tkwiła w nim. Miał dostateczną moc, żeby się wznieść i nawiązać kontakt ze Źródłem. Był obdarzony intuicją - uczył się nią posługiwać, od kiedy otrzymał swój amulet.

Dotknął czubkami palców złotego medalionu, który nosił na szyi. Pogładził krąg wokół podwójnego Uroborosa wyrytego w środku i wyobraził sobie, jak świat pęka na dwoje. Z pochyloną głową recytował w kółko starożytne słowa medytacji, aż wreszcie osunął się w transie na podłogę.

Brudna ziemia, sfera złudy,
Przeklinam twoje kajdany,
Gardzę złym ciałem, więzieniem umysłu.
Jak strzelisty płomień świecy szukam Źródła,
Dążę do niebios,
Do połączenia się z moim Bogiem.

Gdy znów otworzył oczy, był późny ranek. Po raz pierwszy od tygodni jego umysł się wyciszył, a z barków znikło napięcie.

Nagle zrozumiał, co przeoczył. Nieznaczna poprawka kodu liter równoodległych mogła zmienić wszystko.

I zmieniła.

Tym razem wystarczyła godzina przeczesywania zgromadzonych danych, żeby na ekranie pojawiło się coś nowego.

Zapisał litery i powtórzył operację. Za każdym razem otrzymywał ten sam wynik.

To było nazwisko. Nazwisko, które nie pokazało się jeszcze nigdy.

Jack Cherle.

Dwie minuty później zaczął szukać nazwiska w sieci. Już niedługo Aniołowie Ciemności otrzymają wszystkie konieczne informacje.

Jeśli Jack Cherle żyje, to już wkrótce zginie.

Wąż nie tracił czasu na prysznic i jedzenie, tylko od razu przystąpił do pracy.

ROZDZIAŁ 32

QUEEN MARY 2

Jack Cherle otworzył drzwi na balkon i popatrzył na oświetlone księżycowym światłem fale Atlantyku. Płynęli do Southampton w Anglii. Do końca rejsu pozostały jeszcze dwa pełne dni i zamierzał się nimi nacieszyć.

To była podróż ich życia. Żona zawsze marzyła o wycieczce transatlantykiem Queen Elizabeth 2, ale jego następca, liniowiec Queen Mary 2, przebijał wszystko, co mogli sobie wyobrazić.

Jack lubił patrzyć, jak Yasmin zachwyca się uroczystą popołudniową herbatką, podczas której gra zespół kameralny. Lubił słyszeć podniecenie w jej głosie, gdy mówiła, że czas pędzić na wykład jednego z zaproszonych profesorów z Oksfordu. Lubił przytulać ją do siebie wieczorem, na balkonie, po obfitej kolacji.

Jack postanowił wydać fortunę na tę podróż z okazji trzydziestej rocznicy ich ślubu. Zaprosili wszystkich trzech synów z żonami i dziećmi na sześciodniowy rejs przez Atlantyk i tygodniowe wakacje w Londynie. Yasmin nie posiadała się z radości. To były pierwsze rodzinne wakacje od kiedy najstarszy syn wyjechał na studia na Cornell Uni-versity.

Żyli wygodnie w St. Louis, ale gdy odrywali się od praktyki lekarskiej w kraju, spędzali czas z obcymi dziećmi.

Każdego roku Jack i Yasmin pakowali krem z filtrem przeciwsłonecznym, sandały, szorty, szczepili się, całowali wnuki na pożegnanie i jechali w ramach akcji „Lekarze bez Granic" do kolejnego kraju doświadczonego przez klęski żywiołowe lub wojnę.

Jack myślał o wygłodzonych dzieciach, którymi zajmowali się w zeszłym roku w Darfurze, a także o pięciu kolegach, którzy dwa lata przedtem zostali zamordowani w Afganistanie. Oni byli zaledwie kilometr od miejsca zbrodni. Teraz, patrząc na nieskończony atramentowy ocean i niebo, Jack niemal zapomniał o chaosie, jaki ogarniał świat. Niemal.

To go męczyło. Niewiele brakowało, a odwołaliby tę podróż po ostatnim tsunami w Japonii. Zarezerwowali bilety już przed rokiem, ale gdyby nie myśl o rozczarowaniu dzieci i wnuków, pojechaliby do Azji. Ostatecznie zdecydowali się na kompromis - postanowili lecieć do Tokio prosto z Londynu, nie wracając British Airways do domu.

Czasami Jack fantazjował, że oboje zrezygnują z praktyki i poświęcą cały czas na leczenie najbardziej potrzebujących dzieci na świecie.

Może kiedyś...

Ktoś zapukał do drzwi kabiny. Yasmin myła zęby, więc Jack poszedł otworzyć. Na progu stała ich jedenastoletnia wnuczka Emily, ubrana w piżamę i owinięta plażowym ręcznikiem. Uśmiechnęła się do dziadka.

- Chcę, żebyś mnie jeszcze raz pocałował na dobranoc, dziadku. Timmy doprowadza mamę do szału, bo żąda jedzenia do kajuty. Twierdzi, że umiera z głodu.

- Dzięki Bogu twój brat nigdy się nie dowie, co to naprawdę znaczy - odpowiedział Jack i pogłaskał ją po długich brązowych włosach. Odgarnął je z jej czoła. - Tak lepiej. Widzę twoje piękne oczy. - Pochylił się i pocałował wnuczkę w świeżo umyte policzki.

- Do końca rejsu zostały nam tylko dwa dni - wes-

tchnęła Emily, nie odchodząc od drzwi. - Nie chciałbyś zostać na statku na zawsze?

- Naprawdę wcale tak nie myślisz, Em - zaśmiał się Jack. - Czeka cię w życiu jeszcze wiele przygód.
- Pewnie tak - wzruszyła ramionami, ale zaraz się uśmiechnęła. - Ciebie też, dziadku.
- Oczywiście - zgodził się Jack. Nagle poczuł na plecach mroźny podmuch. Co to było?

Jack zadygotał. Spojrzał przez otwarte drzwi balkonowe na pieniące się bałwany. Już nie czuł zimna.

Yasmin wyszła z łazienki i Emily rzuciła się jej na szyję. Gdy Jack odprowadził wnuczkę do kajuty, już nie pamiętał o tym dziwnym wrażeniu. Zapomniał o wszystkim poza łagodnym kołysaniem się statku na falach i dniach, jakie miał jeszcze spędzić z rodziną.

PHENIAN, KOREA PÓŁNOCNA

Po drugiej stronie świata komputer ukryty w budynku Banku Centralnego Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej ustalił miejsce pobytu Jacka Cherle'a. Kilka minut później zespół trzech Aniołów Ciemności z Walii wyjechał do Southampton powitać Queen Mary 2 w porcie.

ROZDZIAŁ 33

Lotnisko JFK było pełne ludzi, którzy nie odlecieli z powodu opóźnień. Wysłuchując uwag zirytowanych klientów, agenci linii lotniczych gorączkowo szukali wolnych miejsc, żonglując ludźmi i lotami. David utknął w kolejce wijącej się między linami, grubej na pięć osób. Chciał kupić bilet do Izraela i z powrotem. Z wielkim napięciem myślał, czy agenci już zostali uprzedzeni i rozglądają się za nim.

Jael stanęła w drugiej kolejce. Wydawała się zupełnie spokojna i rozluźniona. Czekała między matką z dwojgiem rozbrykanych dzieci i grupą nastolatków w koszulkach piłkarskich. Stali osobno, na wypadek gdyby David został zatrzymany.

Spojrzał znowu na paszport. Był zdumiony, że Awi w krótkim czasie zdołał załatwić tak znakomitą podróbkę. Przesuwając się w żółwim tempie do kasy, modlił się, żeby zaharowani pracownicy lotniska nie mieli jeszcze jego zdjęcia przyklejonego obok komputerów.

- Następny, proszę.

Jasnowłosa agentka była tak podobna do Kate Wallace, że niewiele brakowało, a David spóźniłby się z reakcją. Odgarnęła pasmo włosów za ucho i spojrzała na niego zaczerwienionymi z niewyspania oczami.

- Czym mogę panu służyć?

Jak na razie, idzie dobrze. David poprosił o bilet na lot

do Tel Awiwu i z powrotem, przez Londyn. Wiedział, że Jael ma zarezerwowane miejsce na najbliższy samolot, odlatujący rano.

- Hm, najbliższy samolot jest jutro o dziewiątej rano. Lądowanie w Tel Awiwie o siedemnastej trzydzieści pięć. Przerwa na Heathrow tylko dwie godziny. No - patrzyła nadal na ekran monitora - ma pan szczęście. Jest jeszcze pięć wolnych miejsc. Dzisiaj mało komu udaje się polecieć tak, jak sobie tego życzy. Pana nazwisko?

David czuł przez chwilę zupełną pustkę w głowie. Niemal zesztywniał z przerażenia. Jak na człowieka mającego obsesję na punkcie nazwisk z wielkim trudem przypomniał sobie, jak się teraz nazywa.

- Alan Shiffman - wykrztusił wreszcie i powoli odetchnął. Miał nadzieję, że agentka nie słyszy gwałtownego bicia jego serca. Wstukała nazwisko do komputera.

- Czy mogłabym zobaczyć jakiś dowód tożsamości, panie Shiffman?

David położył przed nią paszport. Ze złością stwierdził, że trzęsą mu się ręce. „Kate Wallace" przyjrzała się zdjęciu i oddała dokument.

- Płaci pan kartą?

- Nie, zapłacę gotówką.

Ten cwaniak Awi Raz załatwił „Alanowi Shiffmanowi" paszport, ale zapomniał o odpowiedniej karcie kredytowej.

David był bardzo zaskoczony, gdy po drodze na lotnisko Jael powiedziała, że mają spotkać się w barze z kimś, kto przyniesie mu nowy paszport. Ostrzegła go, żeby zachowywał się naturalnie - tak jakby byli znajomymi i wstąpili na koktajl przed lotem.

Mimo to David chciał zaprotestować, gdy ich „znajoma", kobieta w średnim wieku z rudymi włosami do szyi, co chwila pokazująca zęby w uśmiechu, nagle wykrzyknęła: „Och, Alan, wypadł ci paszport!". Jael zdążyła kopnąć go pod stołem i David się zreflektował. Znajoma wstała z krzesła i podniosła dokument z podłogi.

- Na pewno wolałbyś tego nie zgubić - zachichotała i podała mu otwarty paszport.

Wyglądał tak samo jak ten, który przyniósł Awi, ale teraz obok jego zdjęcia widniało inne nazwisko.

Alan Shiffman.

Teraz tak się nazywał. Alan Shiffman, któremu paszport wydano w Chicago siedem lat temu.

David zmusił się do uśmiechu i dopił koktajl.

- Bardzo ci dziękuję. Bez paszportu nie zajechałbym daleko.

Nie mógł sobie wyobrazić, jakim cudem Awi załatwił tak szybko drugi paszport, ale był mu wdzięczny. Jednak posługiwanie się fałszywym dokumentem, zwłaszcza gdy wyjeżdża się za granicę, w celu uniknięcia zatrzymania przez policję, zapewne jest poważnym przestępstwem.

David wolał nie myśleć o możliwych konsekwencjach. Teraz musiał zapamiętać nazwisko Alan Shiffman - tak jakby nie dość nazwisk kołatało się w jego głowie.

Odszedł od kasy zdumiony łatwym sukcesem. Jael siedziała niedaleko i udawała, że porządkuje torebkę. Wymienili spojrzenia. Kobieta wstała i ruszyła w kierunku bramki ochrony. David szedł w niewielkiej odległości za nią.

Alan Shiffman, powtarzał w myślach. Trzymał w ręku paszport. Gdy mijał toaletę, wyszedł z niej mocno opalony mężczyzna w koszulce z reklamą piwa Coors Light, bejsbolówce i w skórzanych sandałach. Rozmawiał głośno przez telefon komórkowy i był tym tak pochłonięty, że omal nie wpadł na dziecko pochylone nad fontanną z wodą do picia.

- Daj jej kopa w dupę, człowieku - mówił donośnie. -Weź prawnika i wypieprz ją, nim ona wypieprzy ciebie.

- Uważaj... - ostro rzucił David, gdy pan Mahoniowa Twarz szedł dalej, nie zważając na otoczenie. Tamten nagle skręcił, żeby nie przewrócić jakiegoś drepczącego staruszka, ale przez to wpadł na stewardesę, która szła obok,

ciągnąc za sobą walizkę. Kobieta straciła równowagę i przewróciłaby się na posadzkę, gdyby David nie chwycił jej za ramię. Przy okazji upuścił paszport. - Uważaj pan, jak pan chodzi! - krzyknął pod adresem zachowującego się po chamsku mężczyzny.

- Proszę, upuścił pan paszport - uśmiechnęła się stewardesa i podała mu go. - Ma pan dobry refleks.

David wziął od niej dokument. Do diabła, stracił Jael z oczu. Przyśpieszył kroku. Szła powoli siedem metrów przed nim. Gdy ją mijał, wymienili spojrzenia. Ona chce, żebym szedł pierwszy, domyślił się David. Żebym pierwszy przeszedł przez kontrolę.

Spojrzał na kolejkę pasażerów przed bramką i stanął przed Jael.

Miał przed sobą jeszcze dwie kontrole. Dwie okazje do wpadki.

Jeff Fortelli wysiorbał ostatni kubek kawy i przypiął identyfikator. Za półtorej minuty rozpocznie dwunastogo-dzinny dyżur. Chociaż jego przełożony był idiotą i każdego dnia zmieniał procedury, Jeff zgadzał się z nim, że punktualność jest ważna. Niemal tak ważna jak spostrzegawczość i przytomność umysłu. No i jeszcze dyscyplina-to najważniejsze cechy dobrego ochroniarza.

Zwłaszcza pracującego w Służbie Bezpieczeństwa Lotów na dużym międzynarodowym lotnisku, pomyślał, zaciągając pasek od spodni. JFK to jeden z największych węzłów komunikacyjnych świata, ale ochroniarze często o tym zapominali. Nieraz zachowywali się tak, jakby ważniejsze było szybkie przepuszczenie tłumu niż dokładne sprawdzenie każdego pasażera.

Koledzy z działu bagażowego mówili mu, że linie lotnicze ciągle się skarżą, bo zbyt wiele sztuk bagażu nie trafia do samolotów na czas. Linie utyskują na koszty dostarczania zawieruszonych walizek i domagają się, żeby ochrona

szybciej przepuszczała bagaże, nawet gdyby miała nie sprawdzać wszystkich.

Jak można w dzisiejszych czasach w ten sposób traktować pracę w ochronie?

Jeff wyrzucił plastikowy kubek do śmieci i podszedł do tablicy ogłoszeń, jak zawsze przed dyżurem. Pilnie śledził wszystkie komunikaty i starał się zapamiętać każde nowe nazwisko na liście.

Nic nowego.

Już miał odejść, gdy wpadł mu w oko komunikat policji z Waszyngtonu. Pochylił się i napinając mięśnie ramion, przesunął palcem pod nazwiskiem poszukiwanej osoby.

David Shepherd. Poszukiwany w celu złożenia zeznań w związku z morderstwem popełnionym w jego domu.

Szkoda, że jeszcze nie przysłali zdjęcia.

Jeff przeczytał cały komunikat i zapamiętał dane poszukiwanego. Na szczęście miał łatwe nazwisko - David Shepherd.

Gdybym go zidentyfikował, miałbym szansę na awans. Żeby się wyróżnić, trzeba złapać kogoś ważnego lub coś znaleźć. Kiedyś mi się uda. Wywiady, artykuły. Dziennikarze będą pisać o obdarzonym sokolim wzrokiem, najważniejszym ochroniarzu na JFK.

Marząc o tym, Jeff Fortelli czuł, jak rośnie mu ciśnienie. Boże, jak bardzo pragnąłby pomachać staremu przed nosem gazetą ze swoim zdjęciem na pierwszej stronie. Pokazać mu, że jego młodszy syn nie jest mięczakiem - nawet w porównaniu z *numero uno,* pupilem Tonym, który wszedł na minę w Afganistanie, stracił stopę i w ten sposób zasłużył na Purpurowe Serce.

No, tato, ja też jestem na froncie. Służę na pierwszej linii obrony kraju. Sprawdzam wszystkich, nim jeszcze podejdą do bramki lub zdejmą swoje śmierdzące buty.

Fortelli podbił kartę i podszedł do punktu kontroli, gotowy do sprawdzania ciągnącej się bez końca kolejki pasażerów.

No, dobra, Davidzie Shepherdzie. Przyjdź tu, zrób mi przyjemność.

David zbliżał się już do punktu kontroli. Służbę pełniła młoda blondynka z krótkim kucykiem i lokami wymykającymi się spod spinek na skroniach. Pewnie ma kolczyk w języku, pomyślał David, ale wyjęła go, nim objęła służbę.

Nie wydaje się zbyt groźna, pomyślał, patrząc, jak z uśmiechem oddaje pasażerom paszporty. Przynajmniej nie dla kogoś takiego jak Alan Shiffman.

Ludzie przed nim przesunęli się o dwa kroki, jednocześnie przestawiając podręczne bagaże. David obejrzał się za siebie. Jael była siedem osób za nim, stała tuż przed Mahoniową Twarzą, który wciąż stukał palcem w telefon komórkowy.

David znowu przesunął się nieco do przodu. Patrzył, jak pasażerowie wkładają laptopy i buty do ustawionych na taśmie plastikowych koszy. Czuł w brzuchu dziwne kurcze, ale starał się przybrać swobodny wyraz twarzy.

Powinienem był grać w pokera, a nie marnować czas na sąuasha.

W tym momencie dostrzegł dwudziestoparoletniego ochroniarza o byczym karku, który zbliżał się do bramki. Dyżurna funkcjonariuszka ochrony spojrzała na niego z wyraźną ulgą. To mogło znaczyć tylko jedno - ma ją zastąpić.

Wspaniale.

W tym ochroniarzu było coś, co przypominało mu zachowanie najbardziej ambitnych studentów. Coś w sposobie poruszania się i mimice. Zdecydowanie zajął miejsce swej poprzedniczki. Jego postawa zdradzała agresję. Przejrzał dokumenty pierwszego pasażera i oddał je bez słowa, tylko skinął głową. On nie z tych, którzy życzą „miłego dnia".

Po chwili stało się coś, co przeraziło Davida. Mężczyzna stojący pięć osób przed nim podał funkcjonariuszowi paszport. Ten przyglądał mu się nieco dłużej niż innym, ale nie to zaalarmowało Davida. Zamiast oddać paszport, ochroniarz zażądał drugiego dowodu tożsamości.

Alan Shiffman miał tylko jeden.

David czuł, jak pocą mu się ręce. Zmuszał się, by oddychać głęboko. Mężczyzna przed nim grzebał w portfelu.

Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach funkcjonariusz niechętnie oddał pasażerowi dokumenty i skinął ręką, żeby przeszedł.

Kolejni podróżni pośpiesznie przechodzili przez kontrolę. Tamten był mojego wzrostu i podobnej budowy, pomyślał zdenerwowany David. Miał taki sam kolor włosów.

On poluje na mnie.

David z ochotą wyszedłby z kolejki, ale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób tylko zwróci na siebie uwagę. Nie było już możliwości odwrotu. Mógł tylko iść naprzód. Musiało się udać.

Gdy funkcjonariusz wziął jego paszport, David słyszał własny przyśpieszony puls. Tamten zmierzył go zimnym, podejrzliwym spojrzeniem.

Ochroniarz długo sprawdzał paszport i kartę pokładową. Gdy skończył, zamiast oddać dokumenty, raz jeszcze przyjrzał mu się uważnie. Chciał coś powiedzieć, ale Da-vid go uprzedził.

- Chciałbym coś zgłosić - szepnął. - Jakieś osiem osób za mną stoi facet w koszulce z reklamą coorsa. W bejsbo-lówce. Spotkałem go w toalecie. To pewnie nic groźnego ale on się dziwnie zachowywał.

- Co to znaczy, „dziwnie"?

Funkcjonariusz przeszywał go wzrokiem jak promieniami rentgenowskimi.

- Nie mogę przysiąc, mogłem się pomylić - pośpiesz nie wyjaśnił David. -Wydaje mi się jednak, że schował coś pod czapką. Coś błyszczącego. To pewnie nic poważnego

- dodał - ale pomyślałem, że powinienem o tym komuś powiedzieć. W tych czasach nigdy nie wiadomo.

Funkcjonariusz zerknął na Mahoniową Twarz i mocniej zacisnął szczęki.

- Bardzo dobrze pan zrobił, proszę pana.

Nie patrząc już na niego, ochroniarz oddał paszport i sięgnął po dokumenty następnego pasażera. Co chwila zerkał na faceta w bejsbolówce.

David zmusił się, żeby spokojnym krokiem przejść przez bramkę obok taśmy. Po plecach spływał mu pot. Poczuł ulgę, dopiero gdy zawiązał buty i skierował się do poczekalni. Przepłynęła przez niego fala gorąca jak po kieliszku sake.

Kilka minut później Jael spacerowym krokiem przeszła przez korytarz i usiadła obok niego. Roześmiała się perliście.

- Jeśli mogę spytać, co powiedziałeś ochroniarzowi, że tak bardzo zainteresował się tym pacanem za mną?

ROZDZIAŁ 34

MARYLEBONE, LONDYN

To było zupełnie bez sensu. Co za głupota. Miał wszystko rzucić i pędzić na lotnisko, żeby podwieźć ojca? Czy on nie mógł wynająć samochodu? Albo zażądać, żeby Gilbert po niego przyjechał. Nie, musiał wezwać jego. Ton e-maila, który mu przysłał, był dobitny.

„Muszę z tobą porozmawiać osobiście. Dowiedziałem się o czymś i tylko ty możesz mi to wyjaśnić. Przylatuję na Heathrow o 21.47. Oczekuję, że będziesz na mnie czekał za kontrolą celną. Nie spraw mi zawodu".

Ojciec pisał do niego tak, jakby on wciąż miał dziesięć lat. Niewątpliwie zazdrości mi wpływu na Krąg, pomyślał. To, co osiągnąłem w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ma bez porównania większe znaczenie niż wszystko, co on zrobił w ciągu całej wspaniałej kariery. Stoję na progu wielkości, a on wzywa mnie jak dyrektor szkoły byle uczniaka.

Wąż zamknął list z niesmakiem i sięgnął po laskę. Jak sobie życzysz, ojcze.

Szkoda. Teraz będzie musiał wziąć prysznic i zmyć zapach, jaki zostawiła na jego skórze Chloe. Miał za sobą długą i bogatą w przeżycia noc. Uwolnił się od emocji związanych z gorączkowym polowaniem na nazwiska. Gdy się mydlił, zapiekły go zadrapania na torsie. Ból sprawił mu

przyjemność. Wąż znowu przypomniał sobie, jak Chloe wykrzywiała usta, gdy powtarzała jego imię.

Droga Chloe była chyba najbardziej dziką kobietą, jaką znał. Szkoda, że już nigdy jej nie zobaczy. To ostatnia przerwa, na jaką sobie pozwolił, ostatnia cielesna przygoda, nim wraz z innymi wejdzie na pokład arki i zostawi za sobą Chloe i cały zły świat. Gdy już dowiezie ojca do klubu, wróci do pracy i nie przerwie jej ani na chwilę, póki nie skończy. Ostatnie nazwisko, ostatnia przeszkoda na drodze do arki.

Wąż mocno naciskał pedał gazu swego ferrari. W miarę jak zbliżał się do Heathrow, czuł coraz większą złość na ojca i jechał z coraz większą prędkością.

Tylko ty możesz mi to wyjaśnić, pomyślał. Po raz pierwszy poczuł niepokój. Z roztargnieniem masował mięśnie w kalekiej nodze.

Zostawił samochód na parkingu. Spóźnił się dziesięć minut.

Nie najgorzej.

ROZDZIAŁ 35

Gdy samolot wreszcie zatrzymał się przy rękawie na Heathrow, David z trudem poruszał zdrętwiałymi nogami. Miał wrażenie, że zmieniły się w skamieniałe drewno. Wraz ze wszystkimi pasażerami wyszli z samolotu do terminalu 4. Spacer do terminalu 3, gdzie mieli przesiąść się do samolotu El-Al-u, będzie przyjemną okazją do rozprostowania kości.

Po lunchu w samolocie David przespał się, a mimo to czuł dziwne zmęczenie. Cały czas myślał tylko o tym, jak daleko jest Stacy.

- Może napijemy się coli? To nas obudzi - zaproponowała Jael.
- Najpierw muszę wymienić pieniądze. Nie mam euro, a nie chcę korzystać z karty Visa. Lepiej nie ryzykować.
- Na dole, na poziomie przylotów międzynarodowych, można wymienić gotówkę.

David musiał poczekać w kolejce. Przed nim było kilku pasażerów, którzy wpadli na ten sam pomysł. Gdy wkładał pieniądze do kieszeni, przypadkiem dotknął dwóch kamieni. W tej chwili poczuł coś dziwnego - tak jakby miał za koszulą węża, który pełzł po gołych plecach. Ktoś mnie obserwuje, pomyślał. Nie wiedział, skąd ma tę pewność. Wyprostował się i rozejrzał dookoła.

W odległości jakichś dziesięciu metrów w tłumie śpieszących w różne strony pasażerów stał nieruchomo męż-

czyzna i wbijał wzrok w Davida, jakby poza nim na lotnisku nie było nikogo.

To niemożliwe. Wykluczone.

David czuł, jak krew napływa mu do głowy. Zachwiał się. Cofnął się myślą w przeszłość. Znowu był niepewnym siebie chłopcem. Patrzył na kogoś starszego, silniejszego, dominującego. Kogoś, kto rzucił mu wyzwanie, żeby zaryzykował życie...

Nie, to niemożliwe. Ten elegancki mężczyzna z lwią grzywą włosów nie może być...

Pod wpływem surrealistycznego doznania David zrobił parę kroków w jego kierunku, ale głos Jael przebił się przez otaczającą go mgłę.

- Nie w tę stronę, Davidzie. Tam jest poczekalnia międzynarodowych przylotów. Bar znajduje się po drugiej stronie.

- Jael, to on - wychrypiał David. - Boże, to on!

ROZDZIAŁ 36

Jael spojrzała na mężczyznę.

- Ten człowiek z laską? Kto to?

Nim David odpowiedział, między nimi przepłynęła kolejna fala tłumu i stracił go z oczu. Gdy ten znów się pokazał, nie był już sam. Starszy mężczyzna podszedł do niego od tyłu i dotknął jego ramienia. Młodszy odwrócił się, żeby powitać ojca. David od razu rozpoznał Erika Muellera. Wydawał się wściekły i chociaż syn gwałtownie gestykulował, najwyraźniej go nie słuchał.

- Albo to sobowtór, albo Crispin Mueller z ojcem - powiedział David, potrząsając głową. - Ale to niemożliwe. On był przecież w śpiączce.

- Ten chłopak, który zgubił agat? - Jael otworzyła szeroko oczy.

- Mogę przysiąc. Czy to nie dziwne? Nikt nie przypuszczał, że się obudzi. Ojciec pytał o niego ostatni raz cztery lata po wypadku. Crispin nie opuszczał prywatnej kliniki w Zurychu, dokąd przewieźli go rodzice, gdy jego stan poprawił się na tyle, żeby podróż była możliwa.

- Nauczyłam się nie wierzyć w zbiegi okoliczności -odparła zaniepokojona Jael. Odciągnęła Davida od kantoru. Wmieszali się w tłum pasażerów idących do terminalu 1. - Zwłaszcza teraz.

- Musimy się dowiedzieć, jaki ma związek z agatem. I z gnozytami - mruknął David, oglądając się za siebie.

Crispin i jego ojciec zginęli już w falującym morzu pasażerów.

- Niewątpliwie. Najpierw jednak musimy stąd znik nąć - odrzekła - nim on znajdzie sposób na odnowienie znajomości.

Nie zdążyli jeszcze wyjechać z parkingu, a Erik Mueł-ler już naciskał klawisze telefonu komórkowego.

- Czy jesteś pewny, że to był David Shepherd? - spytał syna.

- Oczywiście. Gdybyś mnie słuchał na lotnisku, mógłbyś sam się przekonać. Ta sama twarz, którą widziałem obok Blaira w „Daily Mail" kilka miesięcy temu. To ten sam pieprzony dureń, który zepchnął mnie z dachu, żeby uratować swoją małą przyjaciółkę. Ukradł mi cztery lata życia.

- Eduardo - powiedział Erik Mueller do telefonu. -David Shepherd i ta kobieta byli widziani przed chwilą na Heathrow.

Crispin gwałtownie odwrócił głowę do ojca.

- Dlaczego zawiadomiłeś o tym DiStefano?

- Milcz! - warknął Erik.

Crispin zazgrzytał zębami. Dlaczego miejsce pobytu Shepherda ma jakieś znaczenie dla DiStefano?

Głos ojca wpływał na niego tak jak dźwięk metalu szorującego po szkle. Chciał natychmiast wrócić i wytropić Shepherda.

Owładnęły nim gniew i pogarda, miał poczucie, że nie dokończył tamtej sprawy. Gdyby nie ta cholerna noga...

Myślał gorączkowo.

Kim była piękność towarzysząca Shepherdowi? Może to ta dawna przyjaciółka, tylko trochę doroślejsza?

- Crispin, najwyższa pora, żebyś był ze mną szczery - zwrócił się do syna Erik, wyłączając telefon. Crispin na cisnął pedał gazu. - Gra toczy się o wszystko, o co walczy-

liśmy. Muszę znać prawdę. Ten agat, który przed laty zniknął z naszego domu - czy to ty go wziąłeś?
Crispin nie odrywał wzroku od ulicy.

- Inteligencja podpowiada mi, że zadałeś dokładnie to samo pytanie dwa tygodnie po tym, jak odzyskałem przytomność.
- Chcesz powiedzieć, że twoja odpowiedź jest taka sama?
- Oczywiście. Ale ja czekam na wyjaśnienie. Dlaczego DiStefano interesuje się Davidem Shepherdem?
- Wygląda na to, że agat się odnalazł - odrzekł Erik, uważnie przyglądając się synowi.

Crispin przez chwilę mocniej zaciskał palce na kierownicy. Liczył, że ojciec tego nie zauważył.

- Tak? Wiesz więc, że nie miałem z tym nic wspólnego.
- Wiem, że w tej chwili kamień ma syn zmarłego senatora Shepherda.

Crispinowi zakręciło się w głowie. David Shepherd ma klejnot?

- Wracamy - oznajmił, rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby zawrócić. - Muszę znaleźć tego skurwysyna.
- Nikogo nie będziesz szukał - przyhamował go Erik. -To zadanie dla Aniołów Ciemności. Trzymajmy się tematu. To dziwne, zgodzisz się chyba, że właśnie Shepherd ma agat? Zwłaszcza że jego zaginięcie zbiega się z naszą wizytą u jego ojca i twoim wypadkiem.

Shepherd ukradł mi nie tylko cztery lata życia, ale również kamień, który należał do naszej rodziny od XII wieku. I ten złodziej tu jest. Teraz.

W tej chwili Crispin wiedział już, że to los ponownie skrzyżował ich drogi.

To nic strasznego, pomyślał, usiłując odzyskać równowagę wewnętrzną. Przeciwnie, dobrze się stało. Shepherd był ze mną, gdy zgubiłem kamień. Teraz - w chwili kulminacji mojej pracy - zwróci mi agat. Tylko jeszcze o tym nie wie.

- Dziwne? Dlaczego? - udał, że nie rozumie.

- Ponieważ Shepherd współpracuje z naszymi przeciwnikami - odrzekł gniewnie Erik. - Właśnie dlatego zażądałem, żebyśmy się dzisiaj spotkali. Shepherd był z agatem u naszego najgroźniejszego wroga, rabina ben Moshego, kiedy Aniołowie Ciemności go zabili. Shepher-dowi udało się jakimś cudem uciec, i to z całą zawartością sejfu rabina. Nie na długo. Aniołowie Ciemności go znajdą. Zwłaszcza teraz.

- Co jeszcze powiedział DiStefano?

- Przekazał mi informacje, jakie uzyskaliśmy z podsłuchu założonego w gabinecie ben Moshego. Są bardzo niepokojące. Pojawiło się nowe zagrożenie, które może nam uniemożliwić zakończenie pracy. Shepherd współpracuje teraz z izraelską specjalistką od starożytnych tekstów, niejaką Jael HarPaz. Jakimś sposobem zdobył listę nazwisk Ukrytych.

Gdy ojciec rzucił mu tę bombę, Crispin właśnie zmieniał pas ruchu. Na myśl o możliwych konsekwencjach ogarnęła go taka wściekłość, że nie zauważył, jak zwalnia jadący przed nim samochód. Niewiele brakowało, a wpakowałby mu się w bagażnik. Nadepnął na hamulec i skręcił w lewo, na pobocze. Ojciec oparł się o deskę rozdzielczą i głośno zaklął.

Ja harowałem przez ponad dziesięć lat, dziesięć lat otępiających operacji liczbowych, żeby poznać nazwiska, a on je zna nie wiadomo skąd? - pomyślał Crispin.

- Jak to zrobił? Jak się dowiedział? Ile nazwisk zna?

- Uspokój się, bo zabijesz nas obu. Nie mamy jeszcze jego notatnika, ale niedługo go zdobędziemy. Według DiStefano, Shepherd zna wszystkie nazwiska.

Crispin walnął pięścią w kierownicę.

- I kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować?

- Dopiero niedawno dowiedziałem się o notatniku Shepherda. W tej chwili chodzi o agat. Czy w tej sprawie dalej nie masz nic do powiedzenia?

Mógłbym ci tylko powiedzieć, że Shepherdowi nie uda się po raz drugi zrujnować mi życia.

Crispin zachował tę myśl dla siebie. Mimo że ojciec patrzył na niego wyczekująco, milczał.

- Rozumiem. - Erik zacisnął zęby i wyciągnął się wygodnie na fotelu. - Jest jeszcze jedna sprawa. DiStefano poinformował mnie, że istnienie dziennika zmusza nas do zmiany planu. Odwołano rozkaz, żeby Aniołowie Ciemności zdobyli notatnik i zabili Shepherda.

- Dlaczego? - rzucił Crispin.

- Krąg chce, żeby sprowadzono go do arki żywego. To ma związek z dziewczyną. Stacy Lachman. Na pewno pamiętasz to nazwisko.

- Oczywiście. Przekazałem je Kręgowi niecały tydzień temu.

- Shepherd zna je równie dobrze. Są sobie bliscy -Stacy jest jego pasierbicą. Raoul właśnie wiezie ją tu, do Londynu.

- A Shepherd niewątpliwie będzie próbował ją ocalić. - Crispin pomyślał o Abby Lewis, dziewczynie z policzkami jak jabłuszka. David zaryzykował życie, żeby ratować ją przed upadkiem z dachu.

- Krąg jest pewien, że tak będzie. A wtedy wpadnie w nasze ręce. Jak również notatnik z nazwiskami. Zarazem uwolnimy go od bursztynu rabina i odzyskamy nasz agat. - Erik obrzucił syna krytycznym spojrzeniem. - Gdy umieścimy je w arce obok szmaragdu i ametystu, nasza przewaga jeszcze wzrośnie.

Crispin miał wrażenie, że zmaga się z jakąś potężną siłą. Był już tak blisko ostatecznego sukcesu, a teraz Shepherd - ten sam pieprzony David Shepherd, który strącił go z dachu - nagle odwraca uwagę wszystkich od jego osiągnięć, pozbawia go władzy w Kręgu.

Przez lata ciężko pracowałem na nasz sukces, pomyślał. To ja wskazywałem Kręgowi drogę do zwycięstwa. A teraz przychodzi Shepherd i podstawia mi nogę. Jeszcze raz.

Przepełniła go nienawiść. W głowie miał czerwoną mgłę.

- Muszę wrócić do komputera - powiedział zduszonym głosem. - Chcę dzisiaj skończyć pracę.

- Nie skończysz jej w Marylebone. DiStefano chce, żebyś wziął wszystko i przeniósł bazę do arki. Wybiła ostatnia godzina. Krąg schodzi do podziemia.

Crispin wreszcie usłyszał coś, co sprawiło mu przyjemność. Shepherd też trafi do podziemia.

- Może będę więc miał okazję odnowić znajomość z moim dawnym kompanem od wspinaczki.

- Z pewnością. Jeśli nawet Aniołom Ciemności nie uda się go sprowadzić, na pewno skuteczne okażą się prośby pasierbicy.

Krąg się zamyka, pomyślał Crispin i zrobiło mu się lżej na duszy. Spotkanie po latach.

ROZDZIAŁ 37

O świcie opalizujące promienie światła rozjaśniły ołowiane niebo nad Londynem, ale Stacy Lachman nie mogła tego widzieć.

Spała skulona na łóżku polowym w słabo oświetlonym pokoju, głęboko pod kipiącym życiem miastem. Pokój był niewiele większy od spiżarni. Nie miał okien, a wyposażenie ograniczało się do krzesła z czarnym skórzanym oparciem, niewielkiego drewnianego biurka i łóżka, na którym leżała, uśpiona chloroformem.

Raoul LaDouceur przywiózł ją do Londynu prywatnym samolotem, a potem zamknął w tym pokoju. Mimo podziemnego systemu ogrzewania było w nim zimno i wilgotno.

Stacy dygotała pod wełnianym kocem, którym nakrył ją porywacz, nim wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Środki usypiające przestaną działać dopiero po kilku godzinach. Dopiero wtedy przypomni sobie, co się stało, i znów ogarnie ją przerażenie.

Widocznie jakieś niepokojące obrazy pojawiały się na peryferiach jej świadomości, bo Stacy zajęczała przez sen.

Wewnętrzny głos podpowiadał jej, żeby zachowała spokój. Słuchała go, bo choćby najbardziej chciała, nie mogłaby unieść powiek.

ROZDZIAŁ 38

SZKOCJA, NA PÓŁNOC OD GLASGOW

Dillon szedł szybko po schodach starego kamiennego klasztoru. Kółka walizki stukały na kolejnych stopniach. Cornelius McDougall otworzył rzeźbione drewniane drzwi i stał w progu, aby go powitać. Wciąż trzymał się prosto jak trzcina, ale w ciągu wielu lat, jakie minęły od ich poprzedniego spotkania, jego rude włosy utraciły ognistą barwę i zapuścił krótką brodę.

- Czeka na ciebie kufel belhavena - powiedział i zajął się walizką. - Napijemy się, żebyś ugasił pragnienie, a potem odświeżysz się przed kolacją. Mamy przed sobą długą noc.

Dillon odetchnął głęboko powietrzem nasyconym klasztornymi zapachami - woskowych świec, kadzidła, wilgotnych, starych murów. Przypomniały mu się pierwsze lata spędzone w seminarium i podjęta wtedy decyzja, żeby odsunąć się od świata i szukać Boga.

Chciał spytać o wiadomości od biskupa, ale uznał, że lepiej będzie poczekać z tym, aż opróżnią kufle. To była delikatna sprawa, nawet dla nich. Poza tym musiał przecież przywitać się z innymi mnichami i opatem, który zaprosił go do swego stołu. Próbował opanować niecierpliwość i nie myśleć o kamieniu, ale podczas lotu przez Atlantyk nie mógł skupić się na niczym innym. Nawet gdy obaj z Corneliusem podnieśli oszronione kufle, Dillon wciąż myślał o kamieniu, po który tu przyjechał.

ROZDZIAŁ 39

JEROZOLIMA, IZRAEL

David był zafascynowany pierwszym widokiem Jerozolimy. Światło słońca wznoszącego się nad starożytnymi kamieniami wydawało się eteryczne, jakby z innego świata.

- Teraz wiesz, dlaczego mówimy Złota Jerozolima - powiedziała cicho Jael. Wydawało się, że jest upojona pro mieniowaniem starożytnego miasta. Mimo widocznego w oczach znużenia jej twarz była pełna blasku. - Mówi się, że gdy Bóg zesłał na ziemię dziesięć miarek piękna, dziewięć trafiło do Jerozolimy.

Patrząc z pobocza na skąpane w świetle święte miasto, David bez trudu w to uwierzył.

Jechali samochodem z Tel Awiwu. Jael poprosiła kierowcę, żeby zatrzymał się kilka metrów przed granicą miasta.

- Chodź ze mną, to zajmie tylko chwilę - zwróciła się do Davida. Otworzyła drzwi, gestem zapraszając go, by wysiadł.

- Mogę spytać, co robimy?

- Przestrzegamy tradycji. Nowi przybysze muszą wkroczyć do Jerozolimy piechotą. - Wzięła go za rękę i poprowadziła po chodniku. Po chwili minęli znak graniczny.

Choć David był zmęczony, gdy wspiął się betonowym chodnikiem i po raz pierwszy przekroczył granicę rozrzu-

conego na wzgórzach miasta, poczuł wyraźny przypływ energii.

- Teraz musimy pojechać po ojca - powiedziała Jael do kierowcy, gdy znowu wsiedli do samochodu.

Wylądowali w Tel Awiwie na krótko przed świtem, ale David nie zdążył obejrzeć nowoczesnego miasta nad morzem. Szybko pojawił się kierowca i zabrał ich do Jerozolimy. David zwrócił jednak uwagę, że choć dopiero świtało, w mieście było gorąco i sucho. Ucieszył się, gdy kierowca zaproponował im butelkę zimnej wody.

Pojechali do Jerozolimy szosą numer 1. Po drodze mijali skaliste wzgórza, wieże kościołów, cyprysy i wraki spalonych samochodów, głównie ciężarówek. Jael wyjaśniła mu, że to pamiątki z wojny o niepodległość w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. David nie miał żadnych wyobrażeń o Jerozolimie, ale mimo ciężkich przeżyć ostatnich dni i gnębiącego go niepokoju o Stacy był zachwycony wspaniałymi widokami.

Ten niewielki kraj, dzięki jakiejś magii, stanowił hipnotyczną kombinację odległej przeszłości i teraźniejszości. David podziwiał harmonijne połączenie starożytnej, kamiennej architektury i nowoczesnych wieżowców. Miejsca znane z Biblii sąsiadowały z koszernymi restauracjami Burger Kinga, nastrojowymi kawiarniami i modnymi sklepami.

Po drodze David starał się jak najwięcej zobaczyć. Wjechali do starego miasta przez Bramę Jafską, mijając starożytną wieżę króla Dawida. Ojciec Jael, Josef Olinski, profesor archeologii, przyjechał z Safedu i zatrzymał się u swego kuzyna. Ostatnie dwa dni spędził w Sanktuarium Księgi - sąsiadującej z Knesetem budowli z białą kopułą, gdzie przechowywano zwoje znad Morza Martwego oraz wiele innych dokumentów i artefaktów. Tu również trafiły niedawno znalezione fragmenty księgi Adama, które Josef chciał osobiście zbadać.

- Czy twój ojciec znalazł coś ciekawego w tych frag-

mentach? - spytał David, chwytając się oparcia przedniego fotela. Kierowca lawirował między pieszymi na ulicy Dawida.

- Niestety, nie. Jest jednak pewny, że jak dotychczas nie popełniliśmy żadnego błędu. To jak praca nad wielką układanką - wyjaśniła. Kierowca skręcił w dużą kolorową ulicę handlową. - W naszej dziedzinie rzadko się zdarza, żeby różne fragmenty odnaleziono równocześnie i choćby w tej samej okolicy. Urząd Starożytności określa wiek per gaminu lub papirusu. Następnie badamy skład atramen tu, charakter pisma, żeby w ten sposób połączyć fragmen ty pochodzące z tego samego zwoju.

Jael skrzywiła się, bo kierowca gwałtownie zahamował, żeby nie przejechać kota, który przebiegł w poprzek brukowanej ulicy. Odetchnęła głęboko.

- Ojciec chciał dokładnie zbadać atrament na nowych papirusach. Czasami na slajdach, które mamy w Safedzie, nie widać drobnych różnic w odcieniu.

Jechali wąskimi uliczkami. David poczuł unoszący się w powietrzu zapach przypraw i pieczonego mięsa. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest bardzo głodny.

- Ojciec nie ma wątpliwości, że potrzebne nam nazwi ska są zakodowane w tych fragmentach tekstu. - Jael od kręciła butelkę z wodą i przyłożyła ją do ust. - To może się przydać, jeśli nie zanotowałeś w dzienniku nazwisk wszystkich lamed wowników.

Pochyliła się do kierowcy.

- Proszę skręcić w pierwszą przecznicę. W prawo... tu taj. Przy czerwonych drzwiach. - Zwróciła się do Davida z przepraszającym uśmiechem. - Przygotuj się na spotka nie z moim ojcem.

Jael poszła przodem. David szedł za nią po ciemnych, drewnianych schodach. Myślał o swoim notesie i długiej liście nazwisk. Nagle zapragnął, żeby Josef Olinski i jego koledzy zbadali notatnik. Jeśli znajdą w nim te same nazwiska, które odczytali ze zwojów...

Czy to oznaczałoby, że rzeczywiście dysponuje nazwiskami lamed wowników? I że gnozyci faktycznie dążą do zniszczenia świata?

Z mieszkania wyskoczyła jakaś nastolatka i głośno tupiąc, zbiegła po schodach. Uśmiechnęła się do nich. Da-vidowi mocniej zabiło serce, bo przez chwilę miał wrażenie, że to Stacy.

Czy ona żyje? Jego serce już się uspokoiło, ale ciążyło mu w piersi. Przypomniał sobie jej bat micwę. Rabin wezwał ją, żeby jako dorosła Żydówka po raz pierwszy odczytała Torę. Użył wtedy jej hebrajskiego imienia, Szoszana.

W judaizmie jest tak wiele imion, pomyślał. Tyle mam ich w głowie. Szkoda, że nie mogę wyciągać na życzenie, wtedy kiedy są potrzebne.

Jael już weszła od małego salonu, którego ściany były obwieszone obrazami. Na mosiężnej tacy leżącej na niskim stoliku stał dzbanek z herbatą i filiżanki. Davidowi zabłysły oczy na widok herbatników, oliwek i pokrojonych melonów. Jael zarzuciła ręce na szyję wysokiemu opalonemu mężczyźnie o ostrych rysach twarzy i dużych uszach, otoczonych szpakowatymi lokami. Miał przenikliwe spojrzenie i wyprostowaną postawę oficera. David łatwo mógł go sobie wyobrazić zarówno na polu walki, jak i kierującego wykopaliskami.

- *Boruch ha-ba,* David Shepherd. Witam. - Josef Olin-ski podszedł do niego z wyciągniętą ręką, ale na jego twarzy widać było gniewny grymas.

- Proszę, niech pan siada - zaprosił go, wskazując sofę z kolorowymi poduszkami. - Nim wyjdziemy, zjemy śniadanie. To będzie długi i ciężki dzień.

Gdy David nakładał sobie jedzenie na talerz, Jael rozmawiała z ojcem po hebrajsku. Nie rozumiał ani słowa, ale wyczuwał między nimi jakieś napięcie.

Po kilku minutach przyłączył się do nich mężczyzna, który wyglądał jak młodszy sobowtór Josefa. Miał na sobie spodnie koloru khaki, luźną lnianą koszulę i sandały.

- Davidzie, to Eli, kuzyn ojca. - Jael pocałowała mężczyznę na powitanie i usiadła obok Davida.
- Nie jesz oliwek? - spytał go Eli, unosząc brwi.
- Przywykłem wyławiać oliwki z kieliszków martini -odpowiedział.

Jael, Eli i Josef roześmiali się.

- Jeśli chcesz przeżyć w naszym pustynnym upale, naucz się jeść je na śniadanie - powiedział Eli.
- W Izraelu jemy na śniadanie słone potrawy, żeby czuć pragnienie - pouczył go Josef. - Dzięki temu nie musimy specjalnie pamiętać o piciu wody w ciągu dnia. I tak chce się pić - dodał, wkładając do ust dwie zielone oliwki.
- W upale łatwo o niebezpieczne odwodnienie organizmu - wyjaśniła Jael.
- Tak więc powinien pan jeść dużo oliwek - podsumował Josef. - Jest pan bardziej potrzebny w Safedzie niż w szpitalu.

Nic dziwnego, że Jael ma silną osobowość; przy takim ojcu! David nałożył sobie na talerz garść oliwek.

Szybko zjedli śniadanie i byli gotowi do wyjścia. Gdy David dziękował Eliemu za gościnę, ojciec Jael wyciągnął z plecaka małe plastikowe pudełko i podał Davidowi.

- Proszę je otworzyć.

Jael podeszła bliżej, żeby zobaczyć prezent.

David wyjął z pudełka złoty łańcuszek i od razu rozpoznał wisiorek. Dostał podobny z okazji bar micwy, ale nie miał pojęcia, co się z nim stało.

- *Chaj*. - Spojrzał pytająco na Josefa. Do łańcuszka były przymocowane dwie złote litery, *chet* i *jud,* składające się na wyraz *chaj,* co oznacza życie.
- W judaizmie życie jest najważniejsze - powiedział ojciec Jael. - Wszystko związane jest z życiem. Tu i teraz. Mędrcy uczą, że kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat. Jeśli więc ktoś niszczy jedno życie, niszczy cały świat.

Josef spojrzał na Davida głęboko osadzonymi oczami.

Podobnie jak oczy Jael, były zielone, ale znacznie ciemniejsze i w świetle poranka jakieś smutne.

- Dziś to przekonanie sprawdza się jak nigdy dotąd. Jeśli bowiem gnozytom uda się zniweczyć życie pozosta łych lamed wowników, spowodują koniec świata. Sądząc z tego, co powiedzieli mi rabin ben Moshe i moja córka, ty, Davidzie, możesz ich uratować. Ale trzeba się bardzo śpieszyć - zakończył i energicznie ruszył w kierunku scho dów.

To tylko „lekka presja". David miał kurcze żołądka, a w gardle czuł palący posmak oliwek.

Jael westchnęła, odprowadzając ojca wzrokiem.

- On już taki jest, nie bierz tego do siebie - powiedzia ła i wziąwszy łańcuszek z rąk Davida, zręcznym ruchem włożyła mu go na szyję. Poczuł lekkie muśnięcie jej pal ców na skórze, i to nie była presja. Starał się myśleć o cię żarze metalu, który dotknął jego piersi.

Nagle przypomniał mu się obrazek z dzieciństwa. Miał wtedy pewnie siedem czy osiem lat, gdy ojciec matki dał mu do obejrzenia swój *chaj*.

Zycie. Śmierć. David czuł ciężar życia i śmierci, gdy w milczeniu wraz z Jael pośpiesznie schodził po drewnianych stopniach za Josefem.

Jechali na północ prawie trzy godziny. Oliwki sprawdziły się aż za dobrze. Zwłaszcza David czuł stale pragnienie i na tylnym siedzeniu szybko urosła góra pustych butelek po wodzie. Podczas jazdy wielokrotnie próbował dodzwonić się do Stacy, Meredith i Hutcha - na próżno. Denerwował się coraz bardziej.

Nim dojechali do Safedu, z nerwów rozbolał go brzuch. Wlekli się zatłoczoną ulicą za autobusem tury-stycznym. Ulica biegła wokół największego z trzech wzgórz, na których leżał Safed. Wiedział o tym mieście tylko to, co Jael i Josef powiedzieli mu po drodze. Zdziwiło go, że Safed jest jednym z czterech świętych miast izraelskich. Pozostałe to Jerozolima, Tyberiada i Hebron.

Przyglądając się łagodnym wzgórzom na południe od miasta, w kierunku jeziora Genezaret, David myślał o długiej historii Safedu. Miasto zostało założone w siedemdziesiątym roku, tuż przedtem, nim Rzymianie rozpoczęli budowę Koloseum. Dziewięć lat później Wezuwiusz zniszczył Pompeje. Dopiero sto lat później Majowie zbudowali swoje pierwsze świątynie. Safed powstał więc czterysta lat przed upadkiem cesarstwa rzymskiego.

Jael mówiła, że żydowscy mistycy osiedlili się tu jednak dopiero w XVI wieku. Wśród nich było wielu uchodźców wygnanych przez inkwizycję z Hiszpanii.

Tak więc w czasach, gdy Szekspir pisał *Makbeta,* Michał Anioł malował Kaplicę Sykstyńską, a Henryk VIII ścinał głowę Annie Boleyn, mistycy żydowscy uczynili z Safedu światowy ośrodek badania kabały.

- Możesz uznać Safed za izraelski odpowiednik Sedony - powiedziała Jael. - Mamy tu podobne zjawiska: aktywną kolonię artystów, fale pielgrzymek religijnych i działanie niewidocznych, mistycznych sił.

Kiedyś David pojechał z Hutchem zobaczyć czerwone skały Sedony, dlatego wydawało mu się, że wie, czego oczekiwać. Skały Arizony słynęły z piękności i mistycznych prądów. Gdy jednak krążył po mieście z białych skał, podobnym do kolejnych pięter dekoracji na weselnym torcie, doświadczał zupełnie nowych wrażeń.

W odróżnieniu od Sedony, utrzymanej w tonacji ziemskiej, zakorzenionej, gdzie mistyczne prądy wytryski wały z głębi ziemi, Safed czerpał swą aurę z nieba. Nawet z powietrza emanowało tu czyste światło, błyszczało jak serce diamentu. David wychylił się przez okno. Wjeżdżali już na szczyt wzgórza, skąd Jael pokazała mu Cytadelę.

- To miejsce, gdzie stała pierwsza twierdza krzyżowców. Po zdobyciu miasta wygnali Żydów. Później rządzili tu różni, między innymi templariusze. W tysiąc pięćset siedemnastym roku dawne Królestwo Jerozolimskie zajęli Turcy osmańscy.

W centrum miasta po ulicach wybrukowanych kocimi łbami kręciło się wielu chasydów ubranych jak ich przodkowie w dziewiętnastowiecznej Polsce w tradycyjne chałaty i szerokie kapelusze obramowane futrem. Turyści w szortach, T-shirtach, bejsbolówkach i sandałach chodzili od jednej galerii do drugiej. Tylko nieliczni zaglądali do średniowiecznych synagog stojących między modnymi sklepami i kawiarniami.

- Ośrodek Kabalistyczny „Gabrieli" jest w pobliżu po lewej stronie - Jael wskazała podjazd. Na grani wzgórza stał długi, kamienny budynek kryty czerwoną dachówką, otoczony ozdobnym płotem z kutego żelaza. Z daleka wi dać było łukowe okna. Między błyszczącymi w słońcu sztachetami rosły kwitnące kaktusy i inne kwiaty. Całość sprawiała wrażenie luksusowej restauracji w Toskanii, nie zaś międzynarodowego ośrodka myśli mistycznej.

David wszedł przez furtkę za Jael i Josefem. W tym momencie zaskoczył go sygnał komórki. Spojrzał na ekran.

- Dzięki Bogu! To Stacy!

Jael natychmiast obróciła się w jego stronę. David odebrał telefon.

- Stace! Nic ci nie jest? Czy wszystko w porządku?

Serce zamarło mu w piersiach.

ROZDZIAŁ 40

Elizabeth Wakefield wstała z łóżka zasłanego najdroższą pościelą i z radosnym uśmiechem rozejrzała się po wynajętym mieszkaniu w Bloomsbury.

Od dzieciństwa marzyła o ogromnym łożu z wiśniowego drewna. To łóżko wyglądało jak ozdobiony truskawkami tort czekoladowo-rumowy na wystawie w cukierni. Niczym nie przypominało jej własnej, nudnej i ascetycznej sypialni.

Jej kochanek podziwiał każdą ozdobną poduszkę, którą sama wybrała, egipskie prześcieradła i powłoki, a nawet kremowozłoty koc. Zapewniał ją, że łóżko, na którym leżą, jest niemal tak piękne jak ona.

Elizabeth wiedziała, że nie jest piękną kobietą. Miała zbyt spiczastą brodę, jej brązowe włosy były matowe; wyróżniała się tylko długimi, delikatnymi palcami i ciemnymi, orzechowymi oczami. On uważał ją jednak za piękność, a tu, w tym pokoju, Elizabeth mu wierzyła.

Rzecz jasna był żonaty. I bogaty. I wpływowy. Tak samo jak ona. Spotkali się przypadkiem w Pit Bar, w podziemiach Old Vic, gdy ona czekała na męża, a on na żonę.

Od pierwszej chwili coś między nimi zaiskrzyło. Do tej pory Elizabeth nigdy nie myślała o romansie. Była poważną kobietą, starszą partnerką w kancelarii adwokackiej, którą założył dziadek. Jej małżeństwo było solidne i udane, a mąż - chirurg - był przyjemnym kompanem.

Elizabeth sama się zdziwiła, że przyjęła zaproszenie obcego mężczyzny na drinka. Nim skończyli, ten wytworny światowiec zaprosił ją na kolację. Umówili się na następny tydzień.

Cóż jej szkodziło zjeść kolację z tak fascynującym mężczyzną? Zresztą tego wieczoru mąż prowadził wykład na uniwersytecie.

To miała być tylko jedna kolacja, ale przerodziła się w cztery lata ukradkowych spotkań, błyskotliwych rozmów i elektryzujących sesji erotycznych w tym mieszkanku, gdzie oboje przeżywali taką rozkosz, jaką mogą dać tylko potajemne związki.

Kiedyś między dwoma długimi weekendami wymknęli się do Lyonu i na Riwierę. Spacerując w nocy po plaży w Saint-Tropez, gdzie rzekomo przebywała na konferencji poświęconej własności intelektualnej, Elizabeth zakochała się w nim.

To było nieuchronne. Jest taki otwarty, delikatny i inteligentny, myślała, zapalając świece na nocnych stolikach po obu stronach łóżka i skrapiając pościel lawendą.

Kilka minut później rozległ się dźwięk dzwonka. Elizabeth poczuła, jak jej serce przyśpieszyło. Szybko zerknęła do lustra, poprawiła wisiorek z rubinem i wygładziła krótką czarną spódnicę. Z uśmiechem otworzyła drzwi, ale natychmiast zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało? Wydajesz się smutny.
- Nic się nie stało - odpowiedział. - Niestety, zostałem wezwany do Genewy. Nie mogę zostać. Bardzo mi przykro.

Elizabeth przeżyła gorzkie rozczarowanie.

- Wejdź, opowiedz, o co chodzi. - Chwyciła go za rękę i wciągnęła do środka. Oparła się o zamknięte drzwi.
- Elizabeth, bardzo cię proszę. Na dole czeka samochód. Zatrzymałem się w drodze na lotnisko, żeby ci to powiedzieć osobiście. - Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi z wyraźnym żalem. - Nie będzie mnie przez kilka tygodni.

- Kilka tygodni? - Elizabeth po raz pierwszy okazała niezadowolenie i niepokój. - Aż tak długo?
- Niestety, to nie zależy ode mnie.
- Rozumiem. -1 rozumiała. Wiedziała, że on coś ukrywa. Znała go już dostatecznie dobrze. Wzruszyła lekko ramionami. - No cóż, będę więc miała więcej czasu, żeby się przygotować do sprawy Penobscota.

Wziął ją w ramiona i obsypał pocałunkami.

- Będę za tobą tęsknił, Elizabeth. Stale.
- Ja też - zapewniła. Pocałowała go raz jeszcze i spojrzała mu w oczy. - Życzę bezpiecznej podróży, kochanie.
- Zadzwonię do ciebie - powiedział po chwili wahania.

Elizabeth wiedziała, że to nieprawda.

- Nie zmuszaj kierowcy do czekania - zakończyła pożegnanie. Zebrała siły, żeby znieść ból, i odsunęła się od drzwi.

Gdy zatrzasnął je za sobą, Elizabeth stała chwilę w milczeniu, po czym wyprostowała się i poszła do domu.

ROZDZIAŁ 41

Głęboko w podziemiach Londynu, poniżej poziomu metra zbudowanego w XIX wieku, znajduje się skomplikowany labirynt wykutych w skale korytarzy. Niektóre szyby stanowiły kiedyś część metra, ale zostały porzucone w latach trzydziestych i niemal wszyscy o nich zapomnieli. Nieliczne korytarze są dziś wykorzystywane jako magazyny. W czasie wojny w wielu tunelach urządzono schrony, ale później znowu stały się bezużyteczne.

Mało kto pamiętał, gdzie znajdują się spiralne schody prowadzące do podziemi. Prawie nikt nie wiedział, że głęboko pod londyńską Tower, pod Tamizą, znowu zaczęły działać ogromne wentylatory.

Jedną z tych krętych klatek schodowych Eduardo Di-Stefano prowadził żonę pod rękę. Wiedział, że to jego obowiązek, ale mimo to się niecierpliwił. Musiał znaleźć Węża, i to szybko.

Krąg poświęcił wiele energii i środków, żeby zbudować podziemną salę komputerową, gdzie Wąż mógłby kontynuować poszukiwania, ale on gdzieś zniknął. Cholerny komputer powinien szumieć jak symfonia, żeby odszyfrować ostatnie nazwiska, a tymczasem nikt go nawet nie włączył. Nikt w arce nie widział Węża, a Erik też jeszcze nie przyjechał.

- Zaaklimatyzujesz się tutaj, w podziemiu, *bella.* Musimy się pośpieszyć. Krąg zbiera się za godzinę.

- Wystarczy, jeśli mi pokażesz drzwi, *caro*. Sama się rozpakuję. Do aklimatyzacji niepotrzebna mi twoja po moc.

Flora ruszyła przed siebie pewnym krokiem, stukając obcasami o metalową podłogę. Przyglądała się zafascynowana majestatycznemu, choć prymitywnemu otoczeniu. Eduardo był tu już wielokrotnie i opowiadał jej o arce, ale ona znalazła się tutaj po raz pierwszy.

Dzieci i wnuki miały przylecieć z Mediolanu i schronić się w arce tego dnia wieczorem. Gdy były małe, Flora uczyła je odpowiednich piosenek z myślą o przyszłej podróży do Źródła. Świetnie to pamiętała. Teraz nadszedł czas niezwykłej przygody.

Uśmiechnęła się. Stanęła się na podeście, żeby złapać oddech. W arce będą śpiewać co wieczór, aż wreszcie zginą wszyscy lamed wownicy i dusze gnozytów zostaną uwolnione. Uwolnione od więzów ciała, wzniosą się do Źródła.

Flora nie mogła się doczekać, kiedy usłyszy chór głosów. Tu, pod grubą osłoną skał i ziemi, będą mogli swobodnie śpiewać, nie bojąc się, że zdradzą tajemnicę.

Eduardo sądził, że ona denerwuje się z powodu konieczności opuszczenia willi na wzgórzu, ale bardzo się mylił. Nie miała się czego obawiać. To była wspaniała chwila. Już wkrótce będą tu rodziny wszystkich członków Kręgu.

- Pomyśl tylko, Eduardo - powiedziała z entuzjaz mem. - Ile wieków dążyliśmy do tego celu. - W podzie miach rozległo się echo jej radosnego głosu. - Nareszcie. Niemal wszyscy Ukryci zostali już zlikwidowani. Niedłu go dostąpimy wyzwolenia.

Mąż pogłaskał ją ciepłą ręką po plecach. Szli ostrożnie po schodach.

- Bez ciebie nie udałoby mi się tego osiągnąć, *bella*. Twój zapał dorównywał mojemu. Byłaś dla mnie źródłem radości.

- Czeka nas jeszcze wiele przeżyć - uśmiechnęła się do niego. Z każdym krokiem czuła coraz większe podniecenie, że dzień triumfu nastanie za jej życia.

Nie czuła najmniejszego żalu z powodu rozstania ze wszystkimi, którzy nie znajdą się w arce. W ostatniej chwili rozmawiała z bratem. Zadzwoniła do tego nędznego głupca z willi na Sycylii. Alfonso oczywiście nie wiedział, że to ich ostatnia rozmowa. Nie był gnozytą i do niczego nie mógł się przydać - Flora nigdy nawet nie rozważała możliwości wtajemniczenia brata i jego żony, pobożnej protestantki, w tajemnice zakonu. Nikt z jej rozległej mediolańskiej rodziny nie wiedział o konwersji i o tajnych praktykach, jakie uprawiała od ślubu z Eduardem.

Wszyscy uważali, że stała się ateistką. Nic bardziej mylnego. Wiedziała, że Bóg istnieje, ale nie kochała go i nie czciła. Teraz znała prawdę - Bóg stworzył świat iluzji i zła. Prawdziwy jest tylko świat ducha. Mąż i Krąg otworzyli jej drzwi do tego świata.

Eduardo stopniowo wtajemniczał żonę w sekrety rytuałów, które poruszały coś w jej duszy, uwalniały ją i pozwalały się rozwijać.

Raz na tydzień ona i Eduardo pili likier wzmocniony narkotykiem, który pogłębiał ich przeżycia duchowe podczas medytacji. Dzięki tym sesjom Flora czuła się coraz mocniej związana ze Źródłem jej duszy.

Równocześnie coraz bardziej chciała rzucić wyzwanie temu podrzędnemu bóstwu, demiurgowi, który zdaniem ludzi stworzył ciała i materię, pętając dusze pragnące swobodnego lotu. Eduardo uwolnił ją od służalczości konwencjonalnej religii. Teraz, wraz z elitą współwyznawców, czekała na uwolnienie duszy z więzów złego świata. Do tej wielkiej chwili pozostało już tylko kilka godzin.

Jak na ironię. Wniebowstąpienie rozpocznie się głęboko pod ziemią, pomyślała, gdy zeszła na dół.

Flora rozejrzała się po olbrzymiej sali recepcyjnej. Dobrze wiedziała, że gdy świat się rozpadnie, kamienie, skały i stal nie staną na przeszkodzie jej duszy.

Po raz pierwszy to Bóg zniszczył świat, zsyłając potop. Teraz przyszła kolej na gnozytów.

ROZDZIAŁ 42

SAFED

- Przykro mi - powiedział jakiś mężczyzna drwiącym tonem - ale twoja mała nie może teraz podejść do telefonu.

- Kto mówi? - David czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. - Gdzie jest moja córka?

- Dobrze wiesz, kto mówi - zakpił tamten. - Masz coś, co należy do mnie. A ja mam coś, co należy do ciebie.

David wiedział. Nie potrafił określić skąd, ale to nazwisko pojawiło się w jego głowie tak samo jak inne. *Crispin Mueller.*

- Czego chcesz, Mueller?

Tamten roześmiał się i przerwał połączenie.

- Co się stało? - Jael chwyciła go za rękę. David gapił się z otwartymi ustami na telefon.

- Mueller ma Stacy - wykrztusił. - Nie wiem, gdzie ją trzyma. Ten drań przerwał rozmowę.

David gorączkowo wybrał numer Stacy. Zajęte. Czuł, jakby jego ciało zmieniło się w bryłę lodu.

Nie miał wątpliwości, że Crispin jest gnozytą.

A Stacy... Stacy jest lamed wownikiem. Jak inni z notatnika.

Był oszołomiony. Oszołomiony i zaszokowany, że Jael i jej ojciec mieli rację. Gnozyci chcieli zniszczyć świat.

A może już zabili Stacy? Serce rozsadzała mu trwoga.

Nie. Crispin jej nie zabije, dopóki nie odzyska agatu. Dopóki mu go nie oddam, pocieszał się. Jael czytała w jego myślach.

- To jego gra. Nic jej nie zrobi, dopóki nie dostanie tego, czego chce. Nie możesz jednak...

- Nie mogę oddać mu kamienia? Dlaczego? - Davida ogarnęła wściekłość. Chwycił złoty wisiorek i zacisnął na nim palce, aż metalowe litery przebiły skórę.

- Podobno najważniejsze jest życie. Czyż nie tak mówił niedawno twój ojciec? No więc chyba nie ma niczego ważniejszego niż życie dziecka.

- A co z całym światem, Davidzie? - spytał Josef, rozkładając ręce, jakby chciał objąć świat. Jego twarz była szara jak popiół, ale mówił ostrym tonem. - Czy życie dziecka jest ważniejsze niż losy świata?

- Ona jest lamed wownikiem - David odwrócił się do niego. - Jeśli ocalę jej życie - tylko jej życie - to ocalę świat. Wszak tak twierdziłeś.

Drżącymi rękami podniósł klapkę telefonu.

- Widzieliśmy Muellera w Londynie. Lecę tam dzisiaj pierwszym samolotem, jaki uda mi się złapać. Możecie za trzymać mój dziennik - zwrócił się do Jael. Wyciągnął no tatnik z torby i podał jej, nie zwracając uwagi na wyraz cierpienia na twarzy kobiety. - Proszę, możecie go badać, rwać na strzępy. Róbcie z nim, co tylko chcecie. Ja nie je stem do tego potrzebny.

David machnął telefonem w powietrzu.

- Jak mogę się dodzwonić do El-Al-u? Dajcie mi numer.

- Davidzie, wejdź do środka - powiedział spokojnie Josef. - Zarezerwujemy ci miejsce w samolocie, ale jeszcze przemyśl to. Zbliża się decydująca chwila. Jest tuż-tuż.

Przenosząc spojrzenie z ojca na córkę, David nie mógł uwierzyć, że oni rzeczywiście nie rozumieją uczucia, jakim się kierował.

W głowie wirowały mu najstraszniejsze wizje.

Co z Hutchem? I z Meredith? Czy żadne nie żyje?

David nie mógł poradzić sobie z dręczącymi go koszmarami. Wszedł do ośrodka, przepychając się między Jael i jej ojcem.

Po chwili znalazł się w słonecznym, przestronnym foyer, którego podłoga pokryta była migdałową wykładziną, i poczuł na twarzy podmuch chłodnego powietrza. Nagle w uszach zabrzmiało mu cichutkie echo znajomych słów.

Góra tylko wydaje się nie do pokonania.

David zamarł.

To był głos Hutcha. Takim spokojnym tonem dodawał mu odwagi w obozie pod Granitową Górą. *Musisz się wspinać tak, jak jesz kotlet z kością. Kawałek po kawałku i nigdy więcej, niż możesz przełknąć za jednym razem.*

Ogarnął go dziwny spokój, taki sam, jaki udawał podczas pierwszych wspinaczek z Hutchem. Udawał, aż wreszcie strach ustąpił miejsca pewności siebie. Zgodnie z radami Hutcha odetchnął głęboko parę razy, żeby odzyskać jasność myśli. Zapanować nad złością.

Mimochodem zarejestrował głos Jael. Dzwoniła do El-Al-u.

To Crispin Mueller rządzi.

David wyciągnął z kieszeni dwa kamienie i przyglądał się im przez chwilę, nie zwracając uwagi na Josefa. Ojciec Jael minął go i zaczął rozmawiać z mężczyznami, którzy wyszli z przyległych pokoi.

Agat i bursztyn wydawały mu się cięższe niż wcześniej. Oślepiło go światło odbite od kaboszonów. Zacisnął palce i schował klejnoty do kieszeni.

Kiedyś już posłuchałem wyzwania Crispina. Zareagowałem spontanicznie. Nie mogę teraz postąpić tak, jak on sobie życzy, pomyślał.

Tym razem, będę polegał na sobie. Będę uważał na każdy kolejny krok.

*

- Co to znaczy, że wszystkie loty są zawieszone? -David musiał się powstrzymać, żeby nie wyrwać Jael telefonu.

- Nie wierzysz mi? Możesz spróbować przekonać El-Al, żeby polecieli, mimo że ogłoszono stan zagrożenia. Bardzo wątpię, czy ci się uda.

David nakazał sobie spokój.

- Co to za zagrożenie? - spytał.

- Podobno Iran przygotowuje atak atomowy - wyjaśniła. W jej głosie słychać było lęk. - Chodźmy posłuchać wiadomości telewizyjnych.

Pośpiesznie udali się do jadalni dla personelu ośrodka. Sala, z długimi, nakrytymi papierowymi obrusami stołami, wokół których stały czerwone krzesła, wyglądałaby zupełnie jak szkolna stołówka, gdyby nie wielki ekran telewizyjny na tylnej ścianie. Przyłączyli się do Josefa i kilkunastu ponurych, milczących Izraelczyków, którzy słuchali najnowszych wiadomości.

- To kłamstwo, że Stany Zjednoczone i Izrael są odpo wiedzialne za eksplozję tankowca w Deyyer w zeszłym ty godniu - powiedziała do Jael jakaś drobna kobieta z oku larami zawieszonymi na szyi.

David zesztywniał. Prezenter zakomunikował, że liczba ofiar wybuchu wzrosła do trzystu. Czy rzeczywiście minęło tylko kilka dni, od kiedy w drodze do Nowego Jorku oglądał na lotnisku relację z tego właśnie zamachu? Wydawało mu się, że od jego wyjazdu z Waszyngtonu upłynął wiek.

- I z powodu tego wypadku - mruknął korpulentny Izraelczyk przy sąsiednim stole - mają zginąć miliony niewinnych ludzi? Niech się stanie cud i odmieni ten świat -dodał ciszej.

- Rabbi, oto człowiek, który może sprawić ten cud. -Wszyscy oderwali wzrok od ekranu i spojrzeli na Josefa Olinskiego. Kilkanaście par oczu patrzyło, jak ojciec Jael położył rękę na ramieniu Davida. - Rabbi Cardoza, to Da-

vid Shepherd. Przywiózł do Safedu swój dziennik i dwa klejnoty z pektorału naszego Kohen Gadol*.

W pokoju rozległo się zbiorowe westchnienie pełne zdziwienia. Jael widziała, jak David mocno zaciska szczęki. Wiedziała, że czuje się jak w pułapce, bezradny, nie mogąc uratować swego dziecka.

- Współpracuj z nami, Davidzie - poprosiła cicho. Rabin Cardoza już zbliżał się do niego z wyciągniętą ręką. -To je dyny sposób, żeby pomóc Stacy. Obiecuję ci, że gdy wzno wią loty, będziesz mógł wyjechać. Teraz jednak potrzebuje my nie tylko twojego dziennika, ale też ciebie. W twoim umyśle mogą być ukryte jeszcze inne informacje. Safed to dziś jedyne właściwe miejsce dla ciebie. Dla dobra Stacy i żyjących lamed wowników. Dla dobra świata.

Czy mam jakiś wybór? - pomyślał David. Poczuciu bezradności towarzyszyła rozpacz, ale wiedział, że Jael ma rację.

Spojrzał na rabina. Cardoza był zaledwie o kilka lat starszy niż on. Uścisnął mu dłoń.

- Od czego zaczynamy? - spytał rzeczowo.

Gdy przechodzili przez ogromne laboratorium komputerowe na najwyższym piętrze, rabin Cardoza pokrótce opowiedział Davidowi o Ośrodku Kabalistycznym „Gabrieli".

- Zajmujemy się tu badaniem papirusów, których au tentyczność potwierdził Urząd Starożytności - powie dział. Dyszał ciężko, zmęczony wchodzeniem po scho dach. - Gdy archeolodzy znajdą jakiś dokument, a urząd sprawdzi, czy jest autentyczny, i określi datę powstania, wprowadzamy go do komputera i szukamy ukrytych wia domości od Ha-Szem**.

* Kohen Gadol (hebr.) - arcykapłan. ** Ha-Szem (hebr.) - imię. Określeniem tym zastępuje się imię Boga.

w sposobie uszeregowania nazwisk może się kryć jakaś wiadomość, której jeszcze nie odczytał.

Wszyscy spojrzeli na Davida, a on poczuł, jak rośnie ciężar spoczywający na jego barkach.

- Jak mogę ją odczytać, rabbi? Skoro mamy tak mało czasu, może mógłbyś udzielić mi jakiejś wskazówki, wprowadzić w trans, czy coś takiego.

- Niestety, to nie takie proste - westchnął Cardoza. -Podobnie jak ja, nie jesteś matematykiem, a to właśnie matematyka pozwalała odczytywać tajemnice świętej Tory, czyli pięciu ksiąg Mojżeszowych: Rodzaju, Wyjścia, Kapłańskiej, Liczb i Powtórzonego Prawa. Tutaj, w Ośrodku Kabalistycznym „Gabrieli", stosujemy podobne programy komputerowe jak te, którymi posługują się izraelscy uczeni do analizy Tory. Tyle że nam służą one do wyłuskania nazwisk lamed wowników zakodowanych w Księdze imion Adama.

David kiwnął głową. Przypomniał sobie, jak rabin ben Moshe opowiadał o księdze Adama, którą przekazywały sobie niezliczone pokolenia jego potomków, aż w końcu zginęła...

- Adam zapisał imiona wszystkich stworzeń - kontynuował rabin Cardoza - a nazwiska lamed wowników zostały ukryte wśród nich, tak aby pozostały w tajemnicy.

- Ja jednak zapisywałem tylko imiona i nazwiska lamed wowników. - David ściskał rękami oparcie fotela, aż mu palce zbielały. - Twierdzisz, że jest w nich zaszyfrowana jakaś wiadomość?

- To właśnie musimy sprawdzić. - Rabin wziął notatnik i poszedł w kierunku drzwi. - Benjamin - zawołał cicho jednego z mężczyzn w jarmułkach. Ten wstał od razu. Jego łysa czaszka ostro kontrastowała z czarną czapeczką.

- Benjaminie, zeskanuj dziennik profesora Shepherda i zacznij go przeszukiwać. Jak łatwo zauważysz, nazwiska są zapisane w innym układzie niż na papirusach. Spróbuj

wyjaśnić dlaczego. Nie muszę ci chyba przypominać, jak pilna to sprawa.

Benjamin złapał dziennik krótkimi pulchnymi palcami i oddalił się.

- Jak on szuka ukrytej wiadomości? - zainteresował się David. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak może działać program deszyfrujący.

- To skomplikowany proces, ale spróbuję ci go objaśnić najkrócej i najprościej, jak potrafię. - Cardoza wrócił do stołu i poprawił jarmułkę, przesuwając ją bliżej czoła. Odkaszlnął i spojrzał Davidowi w oczy.

- Przede wszystkim musisz widzieć, że alfabet hebrajski, *alef-bet,* ma pewne cechy szczególne. W każdej literze tkwi jakaś moc mistyczna.

- Podobnie jak w kamieniach z pektorału - wtrącił David.

Nagle gorąco zapragnął, żeby te wszystkie mistyczne siły okazały się skuteczne, a w jego dzienniku znalazł się dodatkowy rozdział, który uda mu się odczytać przy pomocy mistyków z Safedu.

- Właśnie tak jak w kamieniach - potwierdził rabin, przeszywając go wzrokiem. - Skoro już o tym mowa, chciałbym je od ciebie wziąć.

ROZDZIAŁ 43

WIEJSKA OKOLICA W SZKOCJI

- Jeszcze herbaty, synu?

Biskup Ellsworth nalał Dillonowi kolejną filiżankę cej-lońskiej herbaty. Z trudem panował nad drżeniem rąk. Pod skórą widać było niebieskie żyły. Dillon McGrath mimochodem odnotował jak słaby i kruchy jest już stary duchowny, będący od lat na emeryturze.

- Bardzo żałuję, że nie mogę zaprosić cię na kolację, zwłaszcza że odbyłeś tak długą podróż, by zobaczyć się ze mną. Niestety, za niecałe trzy godziny lecę do Londynu... -Biskup wzruszył ramionami przepraszająco, przypatrując się gościowi dobrotliwymi starczymi oczami. - Doprawdy żałuję, że mamy tak mało czasu. A byłoby o czym porozmawiać.

- Przeprosiny są zbyteczne, wasza ekscelencjo. To ja żałuję, że przyjechałem bez zapowiedzi w tak nieodpowiedniej chwili.

Dillon upił herbaty z mlekiem. Szczerze mówiąc, niczego nie żałował. Sięgnął do talerza z ciastem cytrynowym, który postawiła na stoliku gospodyni biskupa, po czym, życząc mu udanych wakacji, poszła do domu.

Teraz byli w dziwnym domku sami. Dom, położony w cieniu zrujnowanego królewskiego pałacu myśliwskiego, wydawał się niewielki i skromny, ale tylko na ze-

wnątrz. Dillon zauważył, że piją herbatę z porcelany firmy Spode, na stole leży obrus z najpiękniejszego irlandzkiego lnu, a biskup jest ubrany tak, jakby siedział na galowym przedstawieniu w operze, nie zaś w wiejskim domku na szkockiej prowincji. W oknach wiszą firanki z ręcznie robionych koronek, ośmiokątny zegar na ścianie ma złotą oprawę, a wskazówki i cyfry z obsydianu.

Ze wszystkich drogocennych przedmiotów zgromadzonych w skromnym domku biskupa interesował Dillona jednak tylko jeden: pierścień z rubinem na wskazującym palcu prawej ręki Ellswortha. Nie chciał, żeby stary duchowny to zauważył.

Rubinowe oczko złotego pierścienia lśniło jak kropla krwi. Kamień wyglądał tak, jak zapamiętał go Dillon podczas konferencji w Rzymie, gdy jeszcze nie rozumiał znaczenia inskrypcji wyrytej na jego gładkiej powierzchni. To był kaboszon, taki sam jak agat, który pokazał mu David. Jak dziesięć pozostałych, których opisy znalazł w literaturze.

Dillon przełknął ostatni kawałek ciasta i oblizał wargi. Starał się nie gapić na pierścień, gdy stary biskup zaczął sprzątać po herbacie.

- Chwileczkę, ja to zrobię. - Dillon poderwał się z fotela i wziął ze stołu ciężką srebrną tacę. Poszedł za gospodarzem do kuchni i postawił tacę z porcelanowymi naczyniami na ladzie kredensu. Biskup podziękował mu za pomoc. I wtedy Dillon, zamiast pójść do pokoju po resztę ciasta, złapał ciężki imbryk i z całej siły zdzielił nim biskupa w głowę. Wychudzony stary duchowny pochylił się do przodu, uderzył twarzą o kran i upadł na posadzkę.

Dillon pełen pogardy ukląkł obok biskupa, chwycił jego prawą rękę i z wysiłkiem próbował zdjąć klejnot z cienkiego palca. Pierścień nie chciał przejść przez zniekształcony artretyzmem staw. Dillon płynem do mycia naczyń zwilżył palec biskupa. Pociągnął i pierścień bez trudu zsunął się z palca.

Poświęcił kilka cennych sekund, żeby przyjrzeć się rubinowi, po czym włożył pierścień na swój palec. Teraz z łatwością odczytał hebrajską inskrypcję. *Reuwen*.

- Wygląda na to, że nie zdąży ekscelencja na samolot - powiedział.

Przekroczył bezwładne ciało i wrócił do salonu. Wziął do ręki kopertę ze znakiem firmowym Lufthansy, którą biskup zostawił na spakowanej walizce. Przejrzał jej zawartość i schował kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Mam nadzieję, że ekscelencja nie zapomniał o ubezpieczeniu podróżnym - uśmiechnął się.

Po chwili pędził pożyczonym motorowerem do klasztoru. Jechał wiejską drogą, w szpalerze drzew. Walizkę miał już spakowaną.

Jego samolot miał odlecieć za trzy godziny.

ROZDZIAŁ 44

Rabin Cardoza czekał, ale David bez pośpiechu wyciągnął kamienie z kieszeni spodni.

Teraz, gdy przyszła pora, żeby je oddać, nie miał na to ochoty. Wiedział, że mają wrócić do prawowitych właścicieli, jednak agat należał do niego przez niemal dwadzieścia lat. Czuł się dziwnie, oddając go.

Z westchnieniem położył kamienie na pulchnej dłoni Cardozy.

Rabin patrzył na klejnoty, jakby otrzymał najcenniejszy dar świata.

- Gdzie je pan schowa? - spytał David.

- W bezpiecznym miejscu - zapewnił go rabin. W jego oczach widać było wdzięczność i nadzieję. - Dołączą do pozostałych kamieni z pektorału arcykapłana, które zdołaliśmy odzyskać. Musimy się razem modlić, żeby ich siła zadecydowała o wyniku tej walki.

Cardoza wyciągnął z kieszeni koszuli małą sakiewkę i włożył do niej kamienie. Schował sakiewkę i znowu poprawił jarmułkę. W tym momencie zadzwonił telefon Da-vida. Rabin się skrzywił.

David szybko wyjął telefon komórkowy z kieszeni. Serce biło mu gwałtownie.

- Davidzie, och, Davidzie...

To była Meredith. Mówiła tak słabym głosem, że z tru-

dem ją rozumiał. W miarę jak słuchał, czuł coraz silniejszy ucisk w piersi. Zakręciło mu się w głowie.

- Gdzie jesteś, w którym szpitalu? - spytał, gdy skoń czyła. - Dobrze, postaraj się uspokoić. Zadzwonię natych miast, gdy się tylko czegoś dowiem. Odzyskam ją, Mere- dith. Przysięgam, że ją odzyskam.

Skończył rozmowę. Przed oczami miał mgłę. Hutch nie żyje. Meredith jest ciężko ranna. A Stacy...

Powoli dotarło do niego, że wszyscy mu się przypatrują.

- David? - Jael wyraźnie zbladła.
- Ma jedno oko niebieskie, a drugie brązowe - powiedział ochrypłym głosem.
- Kto, Davidzie? - Jael wstała i podeszła do niego. -O kim mówisz?

Zamknął oczy. Widział coś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć - Stacy w rękach tego potwora.

- Morderca, który porwał Stacy.

Minęła godzina. Rabin Cardoza patrzył na Davida wzrokiem wyrażającym współczucie i ponaglenie.

- Wiem, że myślisz o czymś innym, ale musimy dzia łać, póki jeszcze mamy szansę. Czy jesteś gotowy poznać moc liter i liczb?

Wydaje się, że w tej chwili nie pozostaje mi nic, pomyślał David. Wciąż był oszołomiony. Wszystkie loty nad Bliskim Wschodem są zawieszone, nie mogę więc wrócić do Londynu, nie mogę wytropić Crispina Muellera i rozszarpać go na kawałki gołymi rękami.

- Słucham.
- Dobrze. - Rabin pochylił się nad stołem i wskazał Davidowi stojące obok krzesło. - Tutaj wykorzystujemy litery i liczby, żeby stale wyjaśniać jakieś tajemnice. Czy pamiętasz jeszcze hebrajski alfabet? Dwadzieścia dwie litery, z których pięć ma inną formę graficzną, kiedy występuje na końcu słowa.

- Tak, pamiętam, uczyłem się tego przed bar micwą -kiwnął głową David. - Ale obawiam się, że to wszystko.

- Zapewne nie dowiedziałeś się wtedy - ciągnął rabin - że każda hebrajska litera ma mistyczną moc, pewną szczególną energię, wibrację. Każdej literze odpowiada też pewna wartość liczbowa.

Cardoza podał mu tablicę z alfabetem hebrajskim i zaczął wypisywać kolejne litery na arkuszu papieru z drukarki. *Alef, bet, gimel, daled, he* -jednocześnie przypisując im liczby.

- Hebrajska numerologia to tak zwana gematria. Pierwszym dziesięciu literom odpowiadają liczby od jednego do dziesięciu. Tak więc *alef to* jeden, *bet* dwa i tak dalej.

- A po dziesiątej literze? - David przyjrzał się kartce.

- Dalej używasz dziesiątek, a później setek - wyjaśniła Jael. - Juliusz Cezar podczas wojen galijskich wysyłał tajne wiadomości, posługując się metodą szyfrowania przez podstawienie.

- Mam nadzieję, że ten wykład nie zakończy się egzaminem - powiedział David, drapiąc się po głowie.

- Nie będzie żadnego egzaminu. W tak krótkim czasie możemy przekazać ci tylko elementarne wiadomości -uspokoił go Cardoza.

David wziął tablicę z alfabetem i przyjrzał się jej uważnie.

- Literze *lamed* odpowiada liczba trzydzieści - powiedział powoli. - A *waw* to sześć. - Spojrzał na nich i nagle zrozumiał. - *Lamed waw.* Trzydzieści sześć. To dlatego trzydziestu sześciu sprawiedliwych nazywa się lamed wownikami.

- Tak jest. - Jael spojrzała mu przez ramię. - Właśnie w ten sposób myślą mistycy, którzy uprawiają gematrię. Kabaliści wierzą również, że istnieją mistyczne związki między słowami Tory mającymi taką samą wartość liczbową. Badając związki między takimi słowami, usiłują odczytać utajone znaczenie tekstu.

- Utajone znaczenie?

- Głębsze znaczenie - wyjaśniła, odgarniając za uszy pasma włosów. - Tora ma wiele poziomów. Niektóre są dostępne dla wszystkich, a inne tak głęboko ukryte, że mimo wielowiekowych wysiłków mistyków wciąż nie udało się ich poznać.

- Nie tylko Żydzi uprawiają gematrię - wtrącił Josef. -Również Arabowie. Sufici chcą w ten sposób odsłonić głębsze znaczenie Koranu.

- Niektórzy twierdzą, że nawet wasi ojcowie założyciele, wybierając narodowe motto *e pluńbus unum* - jedno uczynione z wielu - kierowali się zasadami gematrii - powiedział rabin Cardoza. - Hebrajskie słowo *echad,* co znaczy „jeden", ma wartość liczbową trzynaście. Stany Zjednoczone to jeden kraj, będący połączeniem trzynastu istniejących wówczas kolonii.

- Zdumiewające - pokręcił głową David. - Mój ojciec był senatorem. Byłby zachwycony, gdyby się o tym dowiedział.

Rozmowę przerwało ciche pukanie do drzwi.

- Tak, Rafi, wejdź - zawołał rabin do wysokiego, szczupłego mężczyzny, który zatrzymał się w progu.

- Dostaliśmy e-mail od Awiego Raza. Jedyny Percy Ga-spard, jakiego udało się zidentyfikować, zginął w podejrzanym pożarze sześć miesięcy temu.

David i Jael wymienili znaczące spojrzenia. Jeszcze jeden lamed wownik został zamordowany. Rabin Cardoza zakasłał. Był bardzo poważny.

- Dziękuję ci, Rafi.

Rafi wrócił do pracy. Cardoza zerknął na zegarek.

- Idziemy dalej - powiedział. - Pora na przekazy za szyfrowane w Torze.

David skupił się na jego słowach.

- Teoria zaszyfrowanych przekazów nie jest niczym nowym. Takie koncepcje krążą już od tysięcy lat. W tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym pierwszym roku Rabejnu Bechaje pisał o nich w swych komentarzach do Księgi Ro-

dzaju. W XVI wieku mistyk Mosze Kordowero rozwinął tę teorię, twierdząc, że każda litera w tekście Tory ma boskie znaczenie.

- Nawet Isaac Newton wierzył, że w Biblii są zakodowane pewne wiadomości - wtrąciła Jael. - Jednakże, choć był taki inteligentny, nie zdołał tego udowodnić.

- Tylko dlatego, że zbyt wcześnie się urodził - zauważył Josef. - By to udowodnić, musiałby mieć komputer.

Cardoza odkręcił butelkę i wypił łyk wody.

- To prawda. Właśnie dlatego informacje udało się odczytać dopiero w XX wieku. Szyfry są zbyt finezyjne, żeby je złamać bez pomocy komputera.

- Chodzi o CLR - dodał Josef.

- CLR? - David zmarszczył czoło. - Co to takiego?

- Ciąg liter równoodległych. - Rabin usiadł wygodniej na krześle. - W ten sposób komputer wyszukuje słowa i zwroty ukryte w Torze lub innym tekście. Można je wyłowić, ponieważ w tekście jawnym litery składające się na słowa utajone występują w pewnych równych odstępach.

- Możesz powtórzyć to trochę wolniej - poprosił Da-vid, marszcząc brwi.

- Załóżmy, że wybierzesz za punkt startu jakąś literę w tekście Tory. - David musiał przyznać, że rabin Cardoza był cierpliwym nauczycielem. - Następnie programujesz komputer, żeby wyszukiwał, powiedzmy, co dziesiątą literę, zaczynając od tej wybranej, do przodu i do tyłu. Komputer wyławia więc dziesiątą, dwudziestą, trzydziestą literę, tworząc ciąg złożony z liter oddalonych od siebie o tę samą liczbę znaków.

David zaczynał rozumieć.

- Następnie drukuje się ciąg i szuka ukrytych w śmieciach sensownych słów i zwrotów, tak?

- Tak. - Josef popatrzył na niego z uznaniem. - Z pomocą komputera można wyszukiwać takie regularności według najrozmaitszych kluczy - do przodu, do tyłu, na skos, w pionie i w poziomie. Można zmieniać długość sko-

ku i punkt startu. Z pewnością zauważyłeś, że prowadzenie takich poszukiwań przy użyciu papieru i ołówka jest praktycznie niemożliwe, nawet gdyby ktoś był gotów poświęcić na to wiele lat.

- Natomiast komputer może to zrobić błyskawicznie - pokiwał głową David. - Gdy przeszukiwaliście fragmenty Księgi imion Adama, jaki skok doprowadził was do na zwisk lamed wowników?

Oczy rabina zalśniły. Josef uśmiechnął się, ale na pytanie odpowiedziała Jael. W ciszy biblioteki jej głos zabrzmiał wyjątkowo dźwięcznie.

- Trzydzieści sześć. Znaleźliśmy nazwiska lamed wow ników, wybierając co trzydziestą szóstą literę.

David milczał chwilę, napawając się genialną prostotą tego rozwiązania. Nagle poczuł się bardzo mały. Koncepcja nieskończonej boskiej wiedzy, obejmującej plan całego świata stworzonego, poraziła go jak grom. Wprawdzie Adam nazwał wszystkie stworzenia i spisał ich imiona w swej księdze, ale Bóg potrafił ukryć w tym tekście ważny przekaz. Imiona i nazwiska wszystkich naprawdę sprawiedliwych dusz.

Tak bardzo starał się to zrozumieć, że rozbolała go głowa.

- Bóg wie wszystko - powiedział cicho rabin. - Wobec tego zawsze wiedział, od samego początku, gdy jeszcze Adam pisał swą księgę, kim będą lamed wownicy w na stępnych pokoleniach.

David wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Czuł na sobie wzrok obecnych.

- Mamy wolną wolę - dodał Cardoza. - Podobnie jak Adam. Gdy pisał, Bóg nie sterował jego ręką, a mimo to w Księdze imion są nazwiska wszystkich lamed wowników.

- Nazwiska wszystkich sprawiedliwych od początku świata... - westchnął David. - Ukryte w nazwach stworzeń. - Stał twarzą do szklanych drzwi, patrzył na ludzi pracujących przy stołach, ale po chwili się odwrócił. -

Jeśli Bóg znał nazwiska lamed wowników, to niewątpliwie znał również nazwiska gnozytów i innych wrogów.

- Amalekitów - powiedziała Jael, otwierając szeroko oczy. - W każdym pokoleniu to oni występują przeciw Żydom i przeciw Bogu.

- Amalekici? - David pokręcił głową. Nigdy nie słyszał tego słowa.

- Plemię, które ścigało Izraelitów wędrujących przez pustynię po wyjściu z Egiptu - wyjaśnił rabin Cardoza. -Atakowali ich od tyłu. Zabijali tysiące ludzi. W Księdze Wyjścia jest opisana bitwa z nimi. Gdy Mojżesz trzymał ręce wyciągnięte do Boga, Izraelici wygrywali, a gdy je opuszczał, przewagę zdobywali Amalekici. Aaron i Chur podparli ręce Mojżesza i Jozue odniósł zwycięstwo.

- Wprawdzie Izraelici ostatecznie zdziesiątkowali Amalekitów, ale rabini ostrzegają, byśmy nigdy o nich nie zapominali. - Josef westchnął ciężko. - Bo Amalekici odradzają się w każdym pokoleniu, żeby zniszczyć Żydów. Tak się działo wielokrotnie. Haman, Herod, Hitler i teraz...

W każdym pokoleniu. Te słowa uderzyły Davida.

- Jaką wartość liczbową ma słowo Amalekici według zasad gematrii? - wyrzucił z siebie.

- Dwieście czterdzieści - odpowiedział rabin. - Dlaczego pytasz?

David podszedł do drzwi i rozejrzał się po bibliotece.

- Gdzie jest Benjamin? - spytał. - Potrzebny mi mój dziennik.

Rabbi popatrzył na niego ze zdziwieniem i wyszedł, żeby poszukać kabalisty.

- Po co ci dziennik? O czym myślisz? - spytała Jael.

- Czy przeszukaliście fragmenty księgi Adama w sekwencji dwustu czterdziestu liter? Może w ten sposób poznamy nazwiska gnozytów.

- Nie wiem - przyznała Jael. - Spróbujmy. Może masz rację.

Gdy Cardoza i Benjamin wrócili z dziennikiem, David szybko wyjaśnił im swoją teorię.

- Powinniśmy chyba sprawdzić fragmenty papirusów i mój dziennik systemem CLR co dwieście czterdzieści znaków. Może poznamy nazwiska gnozytów i zaatakujemy ich od tyłu, nim oni zrealizują swój plan.

W oczach rabina pojawił się błysk nadziei.

- Benjamin, szybko. Rozdaj wszystkim kopie dziennika Davida. Każ im przeszukać dziennik i fragmenty Księgi systemem CLR co dwieście czterdzieści znaków.

Cardoza usiadł i przetarł oczy.

- Musimy poczekać. W tym czasie opowiecie mi, czego dowiedzieliście się od błogosławionej pamięci rabina ben Moshego.

David wyciągnął torbę rabina i położył ją na stole.

- Mój dziennik to tylko część tajemnicy - powiedział. - Próbowaliśmy wyjaśnić, co mają z sobą wspólnego rabin ben Moshe, ta karta tarota - położył kartę na stole - i żydowski drukarz z Krakowa, który niedawno został zamordowany, bo nie chciał oddać matryc, z których wydrukował dwa tysiące takich kart.

David znowu sięgnął do torby.

- Tę kartę znaleźliśmy przy Aniele Ciemności, który próbował nas zabić w Nowym Jorku. Jest prawie taka sama jak karta rabina. Różni się tylko numerem.

David rozłożył wszystko na stole. Starał się nie myśleć, gdzie jest teraz Stacy i co może z nią zrobić Crispin Mueller.

ROZDZIAŁ 45

SOUTHAMPTON, ANGLIA

Geoffrey Bales i dwaj inni Aniołowie Ciemności nie mieli najmniejszych trudności z otrzymaniem certyfikatu bezpieczeństwa. Ich dokumenty były czyste jak łza. Poręczył za nich lord Hallister, który również załatwił wszystkie papiery. Dlaczego miałby tego nie zrobić? Udzielenie pomocy Aniołom Ciemności w wyeliminowaniu jednego z ostatnich Ukrytych było zaszczytem i ważną zasługą. To z pewnością może mu się przydać, gdy gnozyci opuszczą arkę. Będzie wtedy jednym z bohaterów, tak jak my -myślał Bales, wkładając zielony kombinezon tragarza.

Spodnie były trochę za długie, ale cóż zrobić. Nie wystarczyło czasu na poprawki. Wieczorem Lionell miał ukryć broń w ścianie w męskiej toalecie na nabrzeżu. Nikt nie będzie podejrzewał, że za metalową skrzynką na papierowe ręczniki kryje się prawdziwy arsenał. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że trzej tragarze, mający dyżur w chwili, gdy Cjueen Mary 2 przybije do brzegu, skupią uwagę na pewnym szczególnym pasażerze.

Bales był zadowolony z tego zadania. Podszedł do lustra, gdzie przykleił taśmą zdjęcie Jacka Cherle'a. Po raz kolejny wbijał sobie do głowy szczegóły wyglądu, starał się zapamiętać każdą zmarszczkę na jego pogodnej twarzy.

Uśmiechnął się. Wierzył, że to on wsadzi mu kulę w gardło, nim starszy pan znowu przywyknie do chodzenia po stałym lądzie.

ARKA

Crispin wciągnął nosem powietrze. Siedział naprzeciwko łóżka i czekał, aż Stacy się obudzi. Zaczęła się już poruszać. W niewielkim pokoju pachniało wilgocią, starzyzną i lekarstwami. Nie podobał mu się ten zapach, za bardzo przypominał czas spędzony w ciemnościach -w szpitalu, gdzie przeleżał cztery lata swej młodości. Dobrze się złożyło, że to dziecko, które było tak drogie Davi-dowi Shepherdowi, teraz leżało nieprzytomne, tak jak on kiedyś.

Jak ty komu, tak on tobie. Teraz tobie, Shepherd, tobie.

Co za ironia, pomyślał Crispin. Ta cenna „córka" Davi-da Shepherda była mniej więcej w tym samym wieku co Abby. Miała inną karnację i włosy, ale obie przedstawiały sobą obraz pączkującej dojrzałości dziewcząt u progu kobiecości. Takie same falujące włosy do ramion, pełne, niewinne usta i niedojrzałe, lecz obiecujące kształty.

Pod wpływem nagłego pomysłu jego puls wyraźnie przyśpieszył. A może większą karą dla Davida Shepherda byłaby nie jej śmierć, lecz przeniesienie do nowego świata, gdzie stałaby się jeszcze jednym narzędziem, jak wiele innych kobiet...

Crispin wzruszył ramionami. Co też przyszło mu do głowy?! Przecież to nie Abby. To Stacy, lamed wownik. Jej śmierć jest koniecznym warunkiem triumfu gnozytów. Bez tego nie mogą wznieść się do Źródła.

Niech więc się stanie. Dostateczną męką dla szlachetnego Shepherda będzie świadomość, że nie zdoła jej uratować - ani jej, ani świata.

Crispin usłyszał jakieś krzyki dochodzące zza ściany.

Znowu te kobiety. Niechętne narzędzia. Najwyraźniej sądziły, że ktoś zwróci uwagę na ich wrzaski. To go rozbawiło. Już niedługo zostaną wypuszczone ze swych zagród. On, Wąż, będzie miał pierwszeństwo wyboru narzędzia koniecznego do ponownego zaludnienia świata. Zaśmiał się głośno. Ochrypły śmiech wydobywał się gdzieś z głębi jego piersi.

Dziewczynka otworzyła oczy.

Stacy się skrzywiła. Bolała ją głowa. Czuła się tak, jakby jej mózgiem wstrząsały impulsy prądu, zsynchronizowane z jej sercem. Przez chwilę wszystko tonęło w sza-rzyźnie. Zamrugała kilka razy i zogniskowała wzrok na suficie.

Rusz się. Spróbuj.

Zdołała podnieść głowę, ale poczuła mdłości i znowu opadła na łóżko polowe.

Śmiech. Usłyszała śmiech. Ten sam śmiech słyszała przedtem we śnie. Z trudem, usiłując opanować zawroty głowy, odwróciła się do źródła tego dźwięku.

Mężczyzna, który patrzył na nią, przypominał jej lwa w ogrodzie zoologicznym w San Diego. Długie płowe włosy spadały mu na oczy, a usta wykrzywiał złośliwy uśmiech. Przysunęła się do ściany. Chciała być jak najdalej od niego. Znów się roześmiał.

Wstał z krzesła i zbliżył się do niej.

- Czym się tak wyróżniasz? Czytałem, że Ukryci nie mają skorupy wokół duszy. Nic nie utrudnia im kontaktu z Bogiem.

Stacy przywarła plecami do ściany. Chciała uciec przed przeszywającym wzrokiem tego człowieka.

- Nie wiem... o czym pan mówi.

- No, tak. - Crispin wyprostował się i zacisnął usta. -Nic nie wiesz, prawda? Żaden z was nie wie. Po co tracę czas?

Odwrócił się i poszedł w stronę drzwi. Już niedługo to wszystko będzie bez znaczenia.

- Twój ojczym przyjedzie po ciebie - powiedział, zatrzymując się w drzwiach. - Dobra nowina, czyż nie? Dobra dla mnie, ale nie dla ciebie. Zamierzam go zabić, jak tylko odzyskam to, co mi ukradł. - Crispin uniósł dłoń, pokazując gestem, żeby mu nie przerywała. - Nie martw się. Nie zabiję go od razu. Najpierw pozwolę mu popatrzyć, jak zabijam ciebie.

ROZDZIAŁ 46

Davida wyrwał ze snu dzwonek telefonu komórkowego. Kiedy zasnął? Gdy oprzytomniał, zdał sobie sprawę, że obudziła go drukarka wypluwająca wyniki kolejnych przeszukiwań jego dziennika systemem CLR. Telefon podłączony do ładowarki leżał na stole i milczał jak grób.

Dlaczego Crispin więcej nie zadzwonił?

To wyczekiwanie było nieznośne. Doprowadzało go do szaleństwa. David czuł się niepotrzebny. Nie miał nic do przekazania, bez względu na to, czego po nim oczekiwano. Nie objawiały mu się żadne nowe nazwiska. Źródło się wyczerpało. Cardoza i inni pracowali przez całą noc, usiłując rozszyfrować jego dziennik, ale on nie znał się na takim zastosowaniu komputerów, nie miał też predyspozycji do medytacji czy modlitwy. Nie widział tu już miejsca dla siebie. A Stacy go potrzebowała.

Natknął się na Crispina Muellera w Londynie. To było miejsce, w którym należało rozpocząć poszukiwania.

Iran w końcu wycofał się ze swoich gróźb i o czwartej nad ranem wznowiono loty. David miał bilet na samolot wylatujący o drugiej po południu.

Przeciągnął się, podszedł do okna i spojrzał na ludzi pracujących w sąsiednim pokoju. Jael patrzyła przez ramię Josefa na jakieś wydruki. Długie włosy spięła klamrą z tyłu głowy. Na jej twarzy widać było skutki całonocnej pracy, ale mimo to nadal emanowały z niej siła, spokój

i wdzięk, cechy, które zauważył od razu, gdy ją poznał u rabina ben Moshego.

Jael podniosła głowę, jakby wyczuła jego spojrzenie, i uśmiechnęła się.

- Przydałby ci się łyk świeżego powietrza - stwierdziła.

- Weź Davida, niech zobaczy swój jedyny może wschód słońca w Safedzie - zaproponował Josef. - Widok jest naprawdę wspaniały. To może już nasz ostatni wschód słońca -dodał ze smutkiem.

Zeszli w milczeniu po schodach. W stołówce urządzono mały bufet - kawa, owoce, ser, oliwki i sok. David nalał dwa kubki kawy. Jael wzięła pomarańczę i nóż do obierania. Gdy wychodzili w brzask, w uszach brzmiały im złowieszcze słowa Josefa.

- Czy możesz iść, niosąc oba kubki? - spytała Jael. - Chciałabym pokazać ci pewne miejsce.

Szli ulicą wybrukowaną kocimi łbami. Szarość stopniowo ustępowała, pojawiło się blade, opałowe światło. Wydawało się, że Safed wibruje energią nowego dnia.

- Kto wie, ile czasu zostało - mruknęła Jael, gdy skręcili w wąską alejkę. - Dni, godziny. A jednak...

- Wiem. Nie możemy się poddać, prawda?

- Mój mąż się nie poddał. - Włożyła mu do ust kawałek pomarańczy. - Przed wyjazdem do Libanu Joni miał sen. Śnił mu się pokój. Pokój, który nastanie długo po jego śmierci.

Zatrzymali się przed bramą cmentarza. Między szpalerami drzew figowych widać było równe szeregi grobów. Każdą kwaterę otaczał krawężnik z cegieł. Wszędzie rosły kwiaty.

- Jest pochowany tutaj, na wojskowym cmentarzu. Gdy zginął, miał zaledwie dwadzieścia osiem lat - powiedziała Jael. W jej oczach widać było znużenie i żal.

- Przykro mi - szepnął David.

Jael schowała nóż do kieszeni i pochyliła się, żeby podnieść kilka kamyków. Wrzuciła je do kubka po kawie.

Nie zastanawiając się, David wziął ją za rękę. Jej palce były ciepłe i silne, pełne życia, jak ona cała.

- Przykro mi z powodu twojego męża. Przepraszam też za wczorajszy wybuch. Nie zasłużyłaś na to.

- *Ein dawar,* zapomnijmy o tym. Wiesz przecież, że jestem sabrą. Izraelczycy urodzeni tutaj są jak kaktus -twardzi i kłujący na zewnątrz, czuli i miękcy w środku. Nie mów o tym nikomu.

- Czuli i miękcy. Naprawdę? - spytał David z uśmiechem, zaskoczony, że tak łatwo potrafiła wybaczać. W innym miejscu i w innej chwili pocałowałby ją. Ale teraz puścił rękę Jael i poszedł za nią wąską ścieżką.

Po chwili zatrzymali się przy płycie grobowej, na której wykuto nazwisko: *Jonatan HarPaz.*

- Jego dusza wciąż tu przebywa - powiedziała Jael. Przyglądała się trawie rosnącej na grobie. - Kabaliści wierzą, że gdy człowiek umrze, *nefesz,* najniższa z trzech sfer, które składają się na duszę, unosi się nad jego grobem. Rabin Cardoza uważa, że *nefesz* zostaje, żeby chronić ludzi w trudnych czasach, natomiast dwie wyższe sfery, *mach i neszama,* wędrują do wyższego królestwa.

- Bez wątpienia mamy teraz trudny czas - zauważył David. - Jak one mogą nam pomóc?

- Rabin mówił, że jeśli ktoś przyjdzie na cmentarz i poprosi zmarłego o pomoc, *nefesz* wzlatuje do królestwa *mach* i informuje ją o kłopotach na ziemi. *Ruach* z kolei wzlatuje do królestwa *neszamy* - najbliższej Bogu - która interweniuje i prosi Boga o zmiłowanie nad światem.

- Czy po to tu przyszliśmy? Poprosić *nefesz* Joniego, żeby przypomniała Bogu o naszych kłopotach? Poprosić o pomoc? - David popatrzył na paprocie rosnące na grobie Joniego. Starał się zrozumieć koncepcję hierarchicznego podziału i jedności duszy. Uczono go, że każdy może nawiązać kontakt z Bogiem, bez żadnych pośredników. Każdy może pójść do synagogi i wypowiadać słowa daw-

nych modlitw lub pomodlić się gdziekolwiek i własnymi słowami, płynącymi prosto z serca. Bóg akceptuje wszystkie formy modlitwy.

Tak uczył tradycyjny judaizm. Mistyczna wiara kabali-stów nie przemawiała do niego, niemniej pamiętał, co przeżył w stanie bliskim śmierci i czego dowiedział się w ciągu kilku ostatnich, pełnych napięcia dni. Koncepcja, że Jael może poprosić duszę męża o wstawiennictwo w niebiańskim królestwie wydała mu się równie uprawniona jak prośba duchów lamed wowników, aby on zrobił coś dla nich w ziemskim królestwie.

David przypatrywał się, jak Jael kładzie kamyki na grobie męża obok wielu innych. Wiedział, dlaczego to robi. On też to robił, gdy odwiedzał groby rodziców. Jael zostawiła znak, że tu była.

Dotknął ramienia Jael i oddalił się, by jej nie krępować. Kręcił się po cmentarzu, aż doszedł do betonowych schodów, prowadzących w dół wzgórza. Postanowił zejść. Po chwili znalazł się na innym cmentarzu, starszym, mniej uporządkowanym, ale równie cichym i spokojnym. Ludzie odwiedzający zmarłych modlili się przy grobach pomalowanych na niebiesko i przykrytych kamieniami.

Gdy zaczął czytać nazwiska na grobach, zorientował się, że to stary cmentarz słynnych kabalistów.

Spacerując po nasłonecznionym cmentarzu, David miał głębokie poczucie historyczności miejsca i zdarzeń. Poszedł dróżką prowadzącą pod górę. Sam nie wiedział, kiedy niebieskie drogowskazy z białymi literami zaprowadziły go do synagogi Abuhaw.

Przeciął niewielki dziedziniec wyłożony kamieniami koloru umbry, gdzie drzewa zapewniały przyjemny cień. Po chwili znalazł się w starej *szul*.

Rozległe wnętrze synagogi wydawało się niemal puste. David odchylił głowę, żeby spojrzeć cztery piętra w górę, na kopułę, przez której prostokątne okna wpadały do środka promienie słońca, oświetlając mozaiki na posadz-

ce. Ostre światło niemal go oślepiło. Znowu poczuł bolesne pulsowanie w głowie.

Przeniósł wzrok na błękitne ściany. Kolor nieba działał uspokajająco. Wyżej wisiały niezliczone kandelabry, a ponad nimi ciągnęły się arkady udekorowane malunkami paproci. Jeszcze wyżej kopułę zdobiły freski.

- Wspaniała, prawda?

- Tak. Imponująca. - Głos Jael wcale go nie zaskoczył.

- Niewiele jeszcze widziałeś. - Jael stała obok niego; widać było, jak raduje ją spokojne piękno synagogi. - Ta świątynia jest pełna kabalistycznych symboli. Kopuła ma nie tylko walory architektoniczne, ale symbolizuje również wiarę w jedynego Boga. A te cztery filary - wskazała gestem potężne kolumny - reprezentują cztery żywioły świata stworzonego: ziemię, powietrze, ogień i wodę, a także cztery światy kabały - fizyczny, emocjonalny, intelektualny i duchowy.

David krążył po wnętrzu. Dotknął jednej z kolumn i pomalowanej na niebiesko balustrady otaczającej bimę - podwyższenie, z którego odczytuje się Torę po wyjęciu z arki.

- Czy zwróciłeś uwagę na sześć stopni schodów prowadzących do bimy? - spytała Jael, patrząc, jak zmierza do niebieskiego podium. - Stopnie symbolizują sześć dni tygodnia, a bima, położona nad nimi, to siódmy, czyli święty dzień szabatu.

Ból głowy doskwierał mu coraz bardziej. Podszedł w milczeniu do malowidła przedstawiającego Ścianę Płaczu w Jerozolimie, umieszczonego między trzema arkami -wysokimi, drewnianymi szafkami, w których przechowywano zwoje Tory. Ku jego zaskoczeniu gdziekolwiek stanął, ulica na malowidle wiodła wprost do niego.

- To jeszcze nie wszystkie niespodzianki. - Jael uśmiechnęła się i wskazała ręką arki. - Arki są poświęcone trzem patriarchom: Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi. A arkady - z wdziękiem uniosła rękę - jest ich dziewięć jak dziewięć miesięcy ciąży.

David czuł się otoczony przedmiotami pełnymi znaczenia, a starożytne symbole budziły w nim zachwyt i zdumienie. Wszystko w tej majestatycznej świątyni miało mistyczny sens. Zawsze uważał się za człowieka wykształconego, ale jego wiedza dotyczyła ustroju państw, polityki, instytucji i ludzkiego zachowania. Mógł swobodnie dyskutować o teoriach politycznych, systemach rządzenia i stosunkach międzynarodowych, a rabin ben Moshe, Jael i kabaliści z Safedu otworzyli przed nim świat, którego istnienia nawet nie podejrzewał.

Jego pradziadek, jak twierdziła matka, miał związki z tym światem, ale dla Davida była to ziemia nieznana. Może, pomyślał, poddając się duchowej symbolice, odziedziczyłem po pradziadku więcej, niż mi się wydawało.

Stojąc w synagodze i myśląc o Stacy, Aniołach Ciemności, Crispinie Muellerze i ginących lamed wownikach, Da-vid modlił się, żeby tak było naprawdę.

Czuł w głowie jakby uderzenia młota. Zamknął oczy, żeby zapanować nad bólem, i próbował przypomnieć sobie nazwiska z dziennika. Z tysięcy nazwisk w jego notatniku kabaliści wyłowili trzydziestu czterech lamed wow-ników obecnego pokolenia. Brakowało jeszcze dwóch. Czy zapisał już ich nazwiska w swoim notatniku? Czy może wciąż miał je w głowie, ukryte?

Czy gnozyci je znają? Dlaczego on nie może...

Ból, gorący jak uderzenie pioruna, zupełnie go oślepił. David jęknął, padł na kolana i zaczął przecierać oczy.

- David! Co ci jest?

Głos Jael dobiegł z oddali, tak jakby stała gdzieś na zewnątrz, na ulicy. Był sam pod sklepieniem kopuły, ozdobionej freskami scen biblijnych, harfy i palmy. Samotnie zmagał się z bólem, który przeszywał mu czaszkę.

Spróbował wstać. Chciał wrócić do ośrodka, znaleźć jakieś pigułki przeciwbólowe. Niedługo powinien jechać na lotnisko. Kolejny atak bólu sprawił, że nogi się pod nim ugięły

Upadł na posadzkę synagogi. Wił się z bólu. Zapomniał o wszystkim poza cierpieniem.

Twarze... Głosy... Znowu je widział. Słyszał krzyki, prośby, żądania.

Starał się skupić na ich wołaniach, ale pulsujący ból rozsadzał mu czaszkę. Oni starali się mu coś powiedzieć, musiał ich usłyszeć...

- David! Słyszysz mnie?

Jael pochyliła się nad nim, ale jej nie widział. Utkwił wzrok w sklepieniu, a jego twarz wykrzywiało cierpienie.

Ze skroni i karku spływał mu pot, wsiąkając w kołnierz koszuli.

Przestraszona Jael położyła chłodną rękę na czole Da-vida. Nie wiedziała, czy zostać przy nim, czy biec po pomoc. Czoło miał ciepłe i wilgotne. Nagle dostrzegła, że wyraz jego oczu zupełnie się zmienił. Cierpienie ustąpiło, rozluźniły się mięśnie twarzy. David się uspokoił. Jael rozpięła mu koszulę. Teraz jego ciało było odprężone i bezwładne.

- Jack Cherle - wymamrotał ochrypłym głosem. Był zupełnie wyczerpany. - Guillermo Torres.

Jael wstrzymała oddech.

- Stacy Lachman... - David z trudem wymówił ostatnie nazwisko.

Z ogromnym wysiłkiem usiadł. Był oszołomiony i czuł się zupełnie pusty. Ból głowy nagle minął. David odzyskał pełną jasność umysłu.

- Musimy... wracać. Muszę im przekazać nazwiska.

Jael pomogła mu wstać. Podtrzymywała go, bo chwiał się na nogach. Objęła go w pasie.

- Może lepiej poczekaj chwilę. Jesteś okropnie blady.

- Musimy się pośpieszyć. - Oddychając ciężko, ruszył do drzwi.

Znał nazwiska. Ostatnie trzy nazwiska. Nie mógł jednak pozbyć się myśli, że to nie wszystko, że jeszcze coś uszło jego uwadze.

Może to zrozumiem, gdy porozmawiam z mistykami, pomyślał. Z trudem poruszał nogami. Może oni pobudzą...

Gdy wyszli na skąpany w słońcu dziedziniec, Jael rozejrzała się dookoła. David ciężko opierał się na jej ramieniu. Słyszała zgrzyt butów na kamieniach. Musiała doprowadzić go do ławki.

- Pomocy! - zawołała.

W tej chwili zobaczyła ich w głębi alejki. Mężczyzna i kobieta. Turyści, pomyślała z ulgą. Zauważyła, że mają na sobie szorty i koszulki polo.

- Bardzo proszę, pomóżcie mi zaprowadzić go do ławki... - zawołała.

Ruszyli biegiem w ich stronę. Jael westchnęła z ulgą, ale natychmiast sparaliżował ją strach, gdy zobaczyła, że wysoki, muskularny mężczyzna ma w ręku metalową rurkę, a kobieta, zbudowana jak bułgarska dyskobolka, trzyma w potężnych łapach linkę z węzłami.

Spojrzała z rozpaczą w kierunku pustej synagogi. Za daleko, nie zdążą zamknąć drzwi.

- Davidzie, znaleźli nas!

Puściła go i odwróciła się twarzą ku nadbiegającym Aniołom Ciemności. David zachwiał się i oparł o gorący, kamienny mur. Ogromnym wysiłkiem woli, rozpaczliwie nakazywał ciału, żeby słuchało jego poleceń.

Poczuł przypływ adrenaliny, ale mięśnie miał jak z waty. Jael rzuciła się na kobietę, która była od niej cięższa co najmniej o dwadzieścia pięć kilogramów. Nim David zdołał się ruszyć, Anioł Ciemności uderzył go rurką w kolana.

Poczuł w goleniach silny ból i z jękiem upadł na kamienie. Zamglonymi oczami zauważył, jak Jael sprawnie kopnęła przeciwniczkę w brzuch, pozbawiając ją równowagi.

Anioł Ciemności o ostrych rysach twarzy znowu uniósł rurkę nad głowę. Tym razem celował w żebra, ale David zdążył się przetoczyć w bok. Mimo to dosięgło go uderzenie w biodro.

Usłyszał krzyk kobiety. To Jael!

Strach dodał mu sił. Gdy Anioł Ciemności złapał go za kołnierz, David wymierzył mu cios pięścią poniżej mostka. Tamten wypuścił z płuc powietrze śmierdzące jak gotowana wątroba. Nim znów zdążył odetchnąć, David zadał kolejny cios. Tym razem starał się trafić głęboko pod żebra.

Spojrzał, co z Jael. Leżała na ziemi z jedną ręką wykręconą do tyłu. Potężna kobieta siedziała na niej okrakiem i dusiła ją linką. Twarz Jael była już szara. David rzucił się jej na pomoc jak wystrzelony z katapulty.

Nim dobiegł, poczuł potężne uderzenie w plecy i zwalił się na kamienie jak worek piachu. Anioł Ciemności rzucił się na niego. Przetaczali się w zwarciu i walczyli jak dwaj ogarnięci szałem hokeiści. Okładali się pięściami i łokciami do krwi, starając się trafić w najczulsze miejsca.

Mimo dotkliwego bólu David zorientował się, że choć przeciwnik bezlitośnie wali go w tors, stara się omijać twarz i głowę.

Napastnicy nie użyli broni, pomyślał, próbując odparować kolejny cios w pierś. Zrozumiał.

Chcą mieć mnie żywego, chcą poznać nazwiska...

Następnego ciosu w żołądek nie zdołał odparować. Skulił się, a nim odzyskał oddech, przeciwnik zdzielił go rurką w łokieć. Z bólu David zobaczył wszystkie gwiazdy. Zacisnął zęby i z głębokim westchnieniem uchylił się gwałtownie, żeby uniknąć kolejnego uderzenia.

Anioł Ciemności uniósł rurkę, chcąc zakończyć walkę, ale David rozpaczliwym ruchem podciągnął kolana pod brodę i wyprostował się. Udało mu się trafić mężczyznę piętami w splot słoneczny. Anioł Ciemności zgiął się wpół. Chcąc się podeprzeć, żeby nie upaść, wypuścił z rąk rurkę.

David rzucił się, żeby złapać narzędzie walki. Zauważył kątem oka, że twarz Jael jest już zupełnie sina, a oczy wychodzą jej z orbit. Mimo to walczyła, żeby zrzucić z siebie olbrzymkę.

Nim David zdążył jej pomóc, Jael uwolniła wykręconą rękę. Promienie słońca odbiły się od srebrnej bransoletki gdy zamachnęła się zaciśniętą pięścią, celując w głowę napastniczki. W ostatniej chwili David zauważył, że to nie bransoletka, lecz nóż do obierania pomarańczy. Zamarł. Jael z całej siły wbiła nóż w szyję przeciwniczki.

Krew trysnęła jak z rur pod ciśnieniem. Kobieta zagul-gotała chrapliwie, a Jael zadała jej następny cios, przecinając tchawicę.

David mocniej uchwycił rurkę. Przezwyciężając ból, zerwał się na równe nogi. Choć pot zalewał mu oczy, odwrócił się w stronę Anioła Ciemności, który dyszał jak zwierzę.

- Jael, uciekaj! Uciekaj stąd! - krzyknął, ale nie posłuchała. Podbiegła do niego, trzymając w ręku nóż. Mocno zaciskała szczęki. Z plamami krwi na twarzy i ubraniu wyglądała przerażająco.

Anioł Ciemności spoglądał to na nią, to na niego. Drobna kobieta z zakrwawionym nożem i mężczyzna, który odebrał mu broń. Po chwili ryknął i zaatakował Jael.

Davidowi serce podeszło do gardła. Chce jej użyć jako tarczy, przemknęło my przez myśl.

Jael spokojnie patrzyła, jak Anioł Ciemności zbliża się do niej, a David biegnie z odsieczą.

Nie zdążę, pomyślał z rozpaczą, ale w tej chwili dostrzegł w oczach Jael błysk stali.

Czekała do ostatniej chwili, po czym błyskawicznie przyklękła i wbiła nóż w krocze Anioła Ciemności.

Jego krzyki odbijały się echem od murów, dopóki Da-vid nie uciszył go ciosem rurki w głowę.

ROZDZIAŁ 47

Atmosfera w Ośrodku Kabalistycznym „Gabrieli" bardzo się zmieniła. Na pierwszym piętrze czuło się gorączkowe napięcie. Rabin Cardoza zaprzągł cały zespół ośrodka i wszystkie komputery do szukania Jacka Cherle'a i Guillerma Torresa.

Nikt nie wiedział, gdzie może być Stacy, ale David powtarzał sobie, że już za parę godzin zacznie jej szukać. Był gotowy na wszystko, żeby ją znaleźć.

Wystarczył jeden telefon rabina Cardozy do Awiego Ra-za, aby do poszukiwań trzech lamed wowników włączył się Mosad. Awie w ciągu kwadransa pokonał wszystkie biurokratyczne przeszkody. Rozpoczęła się największa obława w historii izraelskiego wywiadu.

David pochylił się nad najnowszymi wynikami poszukiwań systemem CLR. Wciąż szukano, wyławiając co 240 literę. Jak dotychczas bez rezultatu. Skrzywił się. Komputer wypluwał tylko bełkot.

David był cały posiniaczony i zakrwawiony, ale nie chciał żadnej pomocy lekarskiej. Po powrocie do ośrodka zawiadomili policję. Nie mieli czasu zajmować się obrażeniami. David tylko zakleił plastrem najgłębsze skaleczenia i wrócił do akcji.

Jael siedziała przed monitorem. David przyjrzał się długiej ciemnej prędze na jej szyi. Ślad po linie. Uraz krtani był tak poważny, że kobieta z trudem mówiła.

Niewiele brakowało, a Jael byłaby martwa. On również.

Jack Cherle, Guillermo Torres i Stacy zginą, chyba że...

Chyba że Mosad ich znajdzie. Lub Interpol, lub CIA. Mosad zwrócił się o pomoc do wszystkich zaprzyjaźnionych agencji wywiadowczych.

Poszukiwania systemem CLR nic nie dadzą, pomyślał David. Był sfrustrowany. Spojrzał na zegarek. Rozsadzała go niecierpliwość, równie bolesna jak posiniaczona klatka piersiowa i spuchnięte palce. Do przyjazdu samochodu, który miał zabrać go do Tel Awiwu, pozostała jeszcze godzina. Za godzinę wyruszy w drogę, żeby zacząć poszukiwania Stacy.

Jego rola tutaj już się skończyła. Zrobił to, po co przyjechał. Jael i Josef mieli rację - w Safedzie przypomniał sobie ostatnie nazwiska. Teraz powinien opuścić to magiczne miasto. Pozostając, mógł tylko ściągnąć na kabali-stów Aniołów Ciemności.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że o czymś zapomniał. Co to mogło być? Może jeszcze miał tu coś do zrobienia. Coś, o czym mówił rabin Cardoza. Nazwiska w dzienniku. Dlaczego przypominał je sobie właśnie w takiej kolejności? Czy to przypadek, czy jakiś schemat, którego nie udało mu się odkryć?

Jeśli w nazwiskach krył się jakiś przekaz, słowo „Ama-lekici" nie było kluczem do jego odczytania. Gematria nie przyniosła żadnych rozwiązań. Może trzeba wybrać inne słowo... na przykład „gnozyci".

David wstał, odszukał Benjamina i spytał go, jaką wartość liczbową ma słowo „gnozyci".

- Spróbujcie sprawdzić systemem CLR według tego klucza - zachęcał.

Gdy komputer wypluł pierwsze wyniki, Davida ogarnęło jeszcze większe zniechęcenie. Nie dostali nic nowego. Na wydruku był taki sam bełkot, jaki otrzymywali, używając jako klucza słowa „Amalekici".

Podnosząc torbę, David jęknął, choć stała się lżejsza niż

przedtem. Nie było już w niej woreczka rabina ben Mo-shego i całej zawartości, w tym klejnotów.

Na myśl o agacie, który przywiózł do rabina ben Mo-shego, Davida ogarnęła dziwna niepewność.

Przypomniał sobie kpiące słowa Crispina.

Masz coś, co należy do mnie. Ja mam coś, co należy do ciebie.

Crispin chciał mu wmówić, że zgodzi się wymienić Sta-cy na agat. David wiedział, że to podstęp, ale nie mając kamienia, nie mógł powiedzieć „sprawdzam".

Jael oderwała wzrok od monitora i spojrzała na niego. Zastanawiała się przez chwilę, po czym podeszła. David pomyślał, że chce się pożegnać.

- Czy już pora? - Jej zwykle dźwięczny głos był teraz chrapliwy i dziwny.
- Samochód powinien przyjechać lada chwila. Jestem tu już bezużyteczny.

Urwał, bo Jael spojrzała na niego badawczo.

- Nie sądzę. Chcę ci przedstawić pewien pomysł. Doty czy kart tarota. Pamiętasz notatnik, który dał nam rabin ben Moshe? - Jael pomasowała sobie szyję, jakby pragnąc złagodzić ból. - Pisał w nim, że gnozyci przywiązują wielką wagę do tajemnych haseł i talizmanów. Posunęli się do za bicia drukarza, żeby odzyskać matryce. ICarty te muszą więc być dla nich bardzo ważne i ściśle tajne.

David położył torbę na krześle obok.

- Jeśli wszyscy gnozyci mają takie karty, może jest to dla nich coś w rodzaju legitymacji albo prawa jazdy.
- Albo - Jael przygryzła wargę - paszportu.

Paszportu.

- Czyżby się gdzieś wybierali! Po co im paszport? Oni chcą zniszczyć świat, a nie podróżować po nim.
- To prawda. - Jael zmrużyła zielone oczy. - Może jednak zamierzają zebrać się gdzieś, w jednym miejscu, żeby uczcić koniec świata... Wszyscy gnozyci...
- A jak mają udowodnić swoją przynależność? - David

poczuł, że jego puls przyśpieszył. - Może tajny paszport jest zaproszeniem na bal zwycięzców?

- Właśnie - jej oczy zabłysły. - Paszport, zaproszenie. Jak zwał, tak zwał. Potrzebują namacalnego dowodu. Karty wstępu.

- Dobrze się więc składa, że mam kartę Gillisa.

- Ja też muszę mieć - powiedziała, unosząc brodę i patrząc mu w oczy. - Jadę z tobą.

- Nie, Jael.

- Już zarezerwowałam miejsce w samolocie. Tuż obok ciebie. Nie pozwolę, żebyś sam szukał Stacy. - Ściszyła głos, co jeszcze wzmogło chrypkę. David z trudem ją rozumiał. - Poczekaj tutaj. Wezmę kartę rabina ben Moshe-go. Widziałam, gdzie położył ją rabin Cardoza.

Chciała odejść, ale David dotknął jej ręki.

- Potrzebny mi będzie również kamień, Jael. Agat.

Jael patrzyła na niego długo. David widział, że przeżywa konflikt wewnętrzny i nie jest pewna, co zrobić. Wyszła z biblioteki bez słowa.

Jael jedzie z nim do Londynu. David był zaskoczony, że to aż tak dodało mu otuchy. Jeśli trafnie odgadli znaczenie kart tarota, mieli przepustki do miasta gnozytów -gdziekolwiek się ono znajdowało. Może dzięki kartom dotrą do Stacy. Lub do kogoś, kto wie, gdzie Crispin ją więzi.

David wyciągnął z portfela tajemniczą kartę i przyjrzał się jej raz jeszcze, znów zastanawiając się nad znaczeniem symboli. Figurki na karcie spadały z walącej się wieży.

Samobójstwo? Nie. Zniszczenie, śmierć, chaos - powiedziała im kobieta czytająca przyszłość z kart. I odrodzenie. David przyjrzał się błyskawicy przecinającej niebo za wieżą. Matka Natura ostatnio często demonstrowała gniew, posługując się elektryczną mocą.

Most zwodzony, podobny do londyńskiego.

Londyn. Właśnie tam niedawno widział Crispina. Tam jechał szukać Stacy.

Jael wróciła i podeszła do niego. Miała przy sobie skórzaną torebkę.

- Przyniosłam agat i kartę - szepnęła z kamienną twarzą. - Dobrze pamiętałam, gdzie były.

David nagle poczuł mrowienie na plecach. Szumiało mu w uszach, tak jakby wszyscy zaczęli głośniej rozmawiać. *Dobrze pamiętałam, gdzie były. Pamiętałam...*

- *Zechor* - powiedział i chwycił ją za rękę. - Pamiętaj.
- O czym jeszcze mam pamiętać? - zdziwiła się Jael. Pochyliła głowę i spojrzała na niego zaskoczona.
- Nie ty. Ja. Oni powiedzieli mi, żebym pamiętał. Wszyscy krzyczeli „pamiętaj"... *Zechor*. Może to właśnie miałem pamiętać. Słowo *zechor*.

Jael otworzyła szeroko oczy. Podbiegła do najbliższego stołu i naskrobała coś na kawałku papieru.

- To jest wartość liczbowa słowa *zechor* w gematrii...

Dwieście trzydzieści trzy. David wyrwał z torby dziennik i otworzył go na pierwszej stronie. Przeczytał pierwsze nazwisko.

- D - powiedział. Wodząc palcem wzdłuż linijek, odliczył dwieście trzydzieści trzy litery. - Następna to I.

Gorączkowo licząc dalej, David dyktował Jael kolejne litery. U, A. Liczył jak maszyna. Czyżby to było rozwiązanie zagadki? Klucz do odczytania wiadomości zakodowanej w dzienniku?

Jaelnotowałalitery:S,T,E,F,A,N,O,E,D,U,A,R,D,0...

- Boże, David! - zawołała nagle. - To DiStefano Eduardo. Eduardo DiStefano, premier Włoch!
- Rabbi Cardoza! - krzyknął David na całą bibliotekę, nie ukrywając podniecenia. Rabin podszedł szybkim krokiem. Wydawał się zmartwiony.
- Rabbi, proszę przeprowadzić poszukiwania systemem CLR z zastosowaniem słowa *zechor* jako klucza. Myślę, że poznamy nazwiska gnozytów. Właśnie odczytaliśmy pierwsze. Na pewno są następne.
- Kim jest ten pierwszy?

- To Eduardo DiStefano, premier Włoch - wyjaśnił David. Głos mu zadrżał.

Cardoza wrósł w ziemię, ale po chwili oprzytomniał.

- Benjamin, szybko! - zawołał przez ramię.

Gdy David zadzwonił do ośrodka z samochodu w drodze na lotnisko imienia Ben Guriona pod Tel Awiwem, rabin Cardoza przeczytał mu nazwiska z listy, którą ustalono przy użyciu komputera.

Usłyszawszy „Mueller Crispin", David poczuł się tak, jakby ktoś włączył prąd, gdy on trzymał palce w gniazdku. Miałem więc rację, pomyślał. To gnozyci. Ich nazwiska zapisane są jako subtekst w dzienniku.

Otrzymał więc nie tylko nazwiska lamed wowników, ale również ich wrogów. Po chwili usłyszał kolejne dobrze znane nazwisko: Wanamaker...

Zaszumiało mu w uszach. Judd?! Więc to dzięki niemu Aniołowie Ciemności znaleźli nas w salonie tej wróżki. Judd zadzwonił do nich, gdy tylko wyszliśmy z restauracji...

- Davidzie, słyszałeś, co powiedziałem? Przed chwilą dzwoniłem do Awiego - słowa rabina Cardozy przebiły się przez szum w jego głowie. - Zaalarmował wszystkie agencje. Interpol twierdzi, że DiStefano przyleciał dziś do Londynu.

- Zawiadomcie MI6 - odrzekł David. - Mam przeczucie, że dziś w nocy znajdą w Londynie wszystkich gno-zytów.

David i Jael stali na płycie lotniska imienia Ben Guriona. Czekali na mikrobus, który miał ich podwieźć do samolotu. Zadzwonił telefon Davida.

- Obawiam się, że ta mała nie sypia zbyt dobrze. Wciąż płacze i liczy, że przyjdziesz jej z pomocą.

- Ty sukinsynu! - Davida ogarnęła wściekłość. Kilku pasażerów spojrzało na niego znacząco, lecz wcale się tym nie przejął. - Gdzie ona jest?

- Pod moją opieką, rzecz jasna. Niedaleko od miejsca, gdzie widzieliśmy się po raz ostatni.
- W Londynie. - David zerknął na Jael.
- Błyskotliwa dedukcja. Ma pan piątkę, profesorze.
- A ty lufę. Twoi Aniołowie Ciemności leżą już w kostnicy.
- Pochlebiasz mi, przyjacielu - zaśmiał się Crispin. -Naprawdę myślisz, że to ja ich wysłałem? Nie, to inni wydają im rozkazy. To sprawa między tobą i...
- Chcę z nią rozmawiać, Mueller. Udowodnij, że ona

żyje.

- Nie masz do mnie zaufania? - zadrwił Crispin. Był tak zadowolony z siebie, że David z całego serca pragnął go udusić.
- Chcę usłyszeć jej głos.
- Usłyszysz, jak wykonasz kolejne polecenie. Wtedy twoja kochana Stacy przemówi do ciebie swoim słodkim głosem. A jeśli spiszesz się dobrze także w następnych poleceniach i oddasz mi moją własność, kto wie? Może daruj? jej życie.
- Gdzie cię znajdę? - rzucił David.
- Nie wybiegajmy zbyt daleko naprzód - zachichotał Mueller. - Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie interesuje. Słyszałem, że coś napisałeś.
- Napisałem kilka książek.
- Dobrze wiesz, o czym myślę. Mam nadzieję, że dla dobra córki wziąłeś go ze sobą. Chciałbym go przejrzeć.
- Gdzie cię znajdę? - powtórzył David lodowatym tonem.
- Przyjedź do Trinity Sąuare Memoriał Gardens. Gdy tam będziesz, zadzwoń do tej małej.

Mueller się rozłączył.

David był tak wściekły, że z trudem oddychał. Przekazał Jael informacje, dopiero gdy przeszli ostatnią kontrolę przed lotem.

- Mam do niego zadzwonić z Trinity Sąuare Memoriał Gardens. Byłaś tam kiedyś?

W drodze do samolotu Jael obejrzała się na Davida.

- Dawno temu. W pobliżu Tower. Pomnik marynarzy floty handlowej, którzy zginęli podczas obu wojen światowych. Dla których grobem stało się morze.

Zaczekała, aż przeciśnie się koło nich stewardesa, która szła pomóc starszemu pasażerowi.

- Zwiedzałam tę okolicę podczas mojego pierwszego pobytu w Londynie. Tam jest ogród i... - urwała.
- Ogród i co? Co, Jael?
- Crispin Mueller ma wyczucie ironii. Tam jest mur, Davidzie. Mur, a na nim mnóstwo nazwisk.

ROZDZIAŁ 48

ARKA

Crispin zaciskał pięści ze złości, słuchając, jak DiStefa-no go atakuje. Ojciec stał przy wejściu do pracowni komputerowej. Sprawiał wrażenie, że nie kiwnąłby palcem, nawet gdyby DiStefano rzucił się na jego syna z maczetą.

- Masz jedno, i tylko jedno zadanie, mój drogi - wyce dził DiStefano. - Ustalić nazwisko ostatniego Ukrytego, nie zaś marnować cenne minuty na kręcenie się w pobli żu tego, którego już tu mamy. Gdybyś skupił się na szuka niu ostatniego nazwiska, moglibyśmy się jej pozbyć. Jack Cherle zginie dziś po południu, gdy jego statek zacumuje w Southampton. Jesteśmy tak blisko, a ty się guzdrzesz.

Crispin otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale DiStefano nie dał mu wymówić nawet jednej sylaby.

- Siadaj do komputera i znajdź to cholerne ostatnie nazwisko.

Twarz Crispina była czerwona jak młode wino. Zacisnął palce na lasce, wyobrażał sobie, jak wspaniale byłoby zdzielić nią DiStefano. Prosto w twarz. I to nie raz.

- Słyszałeś, co powiedział przywódca Kręgu - odezwał się ojciec lodowatym tonem. Erik Mueller otworzył drzwi. Spojrzał jeszcze na syna przez zmrużone powieki. - Sia daj i skończ swoje zadanie.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

- Lamed wownicy to moje dzieło - wyrzucił z siebie Crispin. Kulejąc, podszedł do DiStefano. Z trudem panował nad wściekłością. - Po tym wszystkim, co zrobiłem, mam większe niż inni prawo przekonać się, na czym polega ich wyjątkowość.

- Rozprawa z Ukrytymi jest wyłącznym zadaniem Aniołów Ciemności, którymi ja dowodzę. - Szpakowate włosy na skroniach DiStefano pociemniały od potu. - Jeśli nie potrafisz znaleźć tego nazwiska, będziemy musieli je wydobyć z dziennika Shepherda. Czy chcesz, żeby tak cię zapamiętano? Jako Węża, który udławił się ostatnim kęsem? Który zawiódł, gdy byliśmy o krok od zwycięstwa? Czy też jako człowieka, który bez niczyjej pomocy ujawnił wszystkich trzydziestu sześciu Ukrytych?

Crispin uderzył laską w podłogę.

- Wyjdź, żebym mógł się wziąć do pracy.

DiStefano długo patrzył mu w oczy.

- Niech ci się nawet nie śni, że opuścisz ten pokój, nim znajdziesz nazwisko.

Gdy DiStefano w końcu zostawił go samego, jego tętnice szyjne pulsowały z gniewu.

Co on sobie, u diabła, wyobraża? Że kim jest? Kto dał mu prawo zamykać mnie w pokoju jak niegrzeczne dziecko? To dzięki mojej pracy doszliśmy tak daleko za życia tego jednego pokolenia. Czy kiedykolwiek wcześniej ktokolwiek zidentyfikował choćby połowę tej liczby lamed wowników? Świat się rozpada, bo mnie udało się to osiągnąć. To ja sprawiłem, że koniec jest nieuchronny.

Crispin oparł laskę o kartotekę i otworzył dziennik obliczeń. To nic, że nie wyjdzie już na powierzchnię. Nie musi. Ma gotowy plan. Wszystko, co zamierza, może zrealizować, nie opuszczając arki.

Gdy Shepherd dotrze do Trinity Sąuare Memoriał Gar-dens i zadzwoni do swej ukochanej dziewczynki, Raoul sprawdzi jego tożsamość. Obaj z Enriąue będą czekali na

niego przy pomniku marynarzy, ukryci za załomem ogrodowego muru.

Nie wiedzieli, że to on wydał im rozkaz, nie zaś DiSte-fano. Crispin bez trudu włamał się do serwera Kręgu i wysłał Aniołom Ciemności polecenie, żeby sprowadzili do arki Davida Shepherda, z jego dziennikiem i agatem.

Już wkrótce nastąpi tak długo wyczekiwane, ponowne spotkanie.

Gdy Shepherd znajdzie się w arce, gra będzie skończona. Wpadnie w pułapkę. Nie zdoła uratować ani córki, ani świata. Ani nawet siebie samego. Wtedy ujawnię ostatnie nazwisko i wszyscy w arce będą oklaskiwać triumf gnozy-tów jako moje dzieło, pomyślał.

Zajrzał do dziennika obliczeń, gdzie ostatnie nazwisko było wyróżnione czerwonym kolorem.

Gdyby ojciec i DiStefano odnosili się do niego z należytym szacunkiem, od razu przekazałby im to nazwisko. A tak niech się dręczą i zamartwiają. Ucieszą się, gdy Aniołowie Ciemności sprowadzą Davida Shepherda, sądząc, że wciąż go potrzebują.

Tymczasem to on go potrzebuje. Przed końcem świata chce zamknąć rachunki. Przed Wniebowstąpieniem pragnie zobaczyć, jak Shepherd cierpi. Tak jak on cierpiał przez lata pogrążony w ciemnościach.

Nacisnął na kilka klawiszy i wszedł na serwer DiStefa-na. Z łatwością wydał rozkaz, uruchamiając proces, który miał doprowadzić do końca świata.

Podał trzydzieste szóste nazwisko i nakazał rozpocząć poszukiwania Guillerma Torresa.

ROZDZIAŁ 49

LOTNISKO HEATHROW

Dillon przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze nad umywalką w zatłoczonej toalecie. Wyglądał, jakby wyszedł z piekła i bez wątpienia zmierzał do piekła. I to w szybkim tempie.

Gdy mył ręce, czuł na palcu pierścień. Czy rzeczywiście był tak ciężki, jak mu się wydawało?

Gdy otworzył drzwi, wpadł na niego jakiś mężczyzna, któremu najwyraźniej bardzo się śpieszyło. Zderzył się z Dillonem, upuścił teczkę i parasol, a walizką uderzył go w biodro.

Dillon skrzywił się z bólu, ale pochylił się, żeby podnieść parasol. Spocony, barczysty mężczyzna zaczął zbierać z podłogi przedmioty, które wypadły mu z teczki.

Dillon zauważył kartę tarota i zamarł. Tamten szybko wrzucił ją do teczki, podobnie jak paszport i kosmetyczkę.

- Proszę, przyjacielu - Dillon z uśmiechem podał mu parasol.

- Przepraszam, to moja wina. Bardzo się śpieszę - powiedział tamten z wyraźnym niemieckim akcentem i poszedł w kierunku pisuarów.

Dillon oparł się o ścianę obok drzwi toalety. Gdy Niemiec pojawił się ponownie, podszedł do niego.

- Wydaje mi się, że coś nas łączy - powiedział i mignął przed nim kartą tarota, którą wyjął z wewnętrznej kiesze ni marynarki. Była identyczna z kartą Niemca.

W głęboko osadzonych oczach nieznajomego pojawiły się błyski.

- Żyjemy w ekscytującym czasie, prawda? - uśmiechnął się szeroko.

- Łagodnie mówiąc. - Dillon skrócił krok, nie chcąc wyprzedzić nowego znajomego. - Skoro wybieramy się w to samo miejsce, może pojedziemy jedną taksówką? -zaproponował. Otworzył drzwi. Ulice Londynu ginęły w szarej mgle i mżawce.

- Ja też o tym pomyślałem.

Bagażowy uniósł rękę, żeby wezwać taksówkę, a następnie włożył do bagażnika wielką walizkę Niemca. Dillon zatrzasnął drzwi, a jego nowy przyjaciel pochylił się w stronę kierowcy.

- Tower Hill. Proszę się zatrzymać obok pomnika.

Gdy szedł przez dolne tunele, cały czas myślał o Elizabeth.

Może to z powodu wilgoci, zapachu ziemi i wody ściekającej drobnymi strużkami po ścianie za schodami.

A może tak na niego podziałały stłumione krzyki kobiet, które w pewnej chwili posłyszał?

Pomyślał o Annie Boleyn zamkniętej w londyńskiej Tower, która wznosiła się nad arką. Anna Boleyn też była więźniem.

Nim doszedł do klatki schodowej, nagle skręcił, jakby przyciągała go ukryta w ciemnościach przepaść. Doszedł ciemnym tunelem do podziemnego szybu. Gdy przesuwał dłoń wzdłuż wilgotnej i śliskiej poręczy, czuł podniecenie. Nawet on nie miał pojęcia, dokąd ta głębia sięga.

To nie ma znaczenia, powtórzył sobie. On przecież nie pójdzie w dół. Wraz z innymi wzniesie się do nowego

świata, wysoko nad ziemią, wreszcie wolny, wreszcie złączony z ich duchowym Źródłem.

Zawsze, jak sięgał pamięcią, tego pragnął i do tego dążył. O tym na próżno marzyli jego przodkowie.

Powinien być szczęśliwy, że ten cud ziścił się za jego życia. Pomyślał o żonie, która starannie układała ich nieliczne rzeczy w przydzielonym im pokoju na górnym poziomie. Nie czuł radości ani podniecenia.

Może gdyby towarzyszyła mu Elizabeth...

Nigdy nie podawał swej wiary w wątpliwość. Już w dzieciństwie wpojono mu dążenie do poznania, do wzniesienia się. Zawsze tego pragnął.

Tymczasem teraz, gdy sukces był bliski i mężczyzna miał opuścić fizyczny świat, z niechęcią pomyślał o porzuceniu wszystkiego, co znał. Uświadomił sobie też, że kocha Elizabeth.

Ona wydawała mu się znacznie bardziej rzeczywista niż ta podziemna arka, niż wszystkie spiski i morderstwa, jakimi okupili ten dzień. Wpatrując się w ciemną przepaść, znowu pomyślał o niepewności, którą Elizabeth starała się ukryć, gdy poinformował ją, że wyjeżdża.

Za późno, żeby coś zmienić. Sięgnął do kieszeni i dotknął niewielkiego srebrnego amuletu. Elizabeth któregoś ranka odczepiła go od swojej bransoletki i podarowała mu. Amulet miał kształt kieliszka do szampana. Dostała go od starszej siostry w dniu dwudziestych pierwszych urodzin. Powiedziała, że daje mu tę pamiątkę, bo nauczył ją pić radość życia. Nosił upominek stale w kieszeni, ponieważ przypominał mu o ich miłości.

Rozchylił palce i popatrzył na miniaturowy kieliszek. Szampan należy do tego świata, do złej, fizycznej rzeczywistości. W nowym świecie nie będzie żadnego szampana. Nie będzie też Elizabeth.

Gwałtownym ruchem cisnął amulet w przepaść. Słuchał uważnie, ale nie dobiegł go odgłos uderzenia o dno.

ROZDZIAŁ 50

MEKSYK

Guillermo Torres przemierzał korytarz oddziału chirurgii położniczej. Z każdą chwilą oddychał szybciej.

Czekał na ten dzień dziewięć długich miesięcy, modląc się o zdrowe dziecko. Teraz modlitwy miały zostać wysłuchane i jego serce przepełniała radość.

Rosa już dwukrotnie poroniła, ale tym razem dzięki wstawiennictwu Najświętszej Panienki w drugim miesiącu krwawienie ustało i Rosa donosiła ciążę. Już dzisiaj będzie trzymał na rękach ich dziecko.

Przystanął na chwilę modlitwy - za lekarzy, którzy mieli wykonać cesarskie cięcie, za szybki powrót żony do zdrowia i, co najważniejsze, za zdrowie dziecka, które miało wreszcie pojawić się w ich domu.

W oczach zapiekły go łzy. Wytarł je wierzchem rękawa. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata, był najmłodszy z rodzeństwa, a bracia zawsze kpili z niego, że jest sentymentalny. Śmiał się wtedy, nie czując się urażony. Cieszył się, że wszystko porusza go tak mocno, i nie mógł zrozumieć, dlaczego inni ludzie nie doświadczają życia tak dojmująco.

Guillermo zerknął na zegar nad drzwiami pokoju pielęgniarek. Kiedy? Minęło już trzydzieści pięć minut, od kiedy pocałował Rosę na pożegnanie, gdy zabierali ją na

salę operacyjną. Kiedy pozwolą mu włożyć szpitalny fartuch, stanąć obok żony i być świadkiem cudu?

Kiedy wreszcie pojawi się jego matka, żeby zobaczyć nowego wnuka? Połowa rodziny miała przyjechać z Tomki.

Na parterze przez izbę przyjęć Nuevo Hospital Juarez przeszli dwaj lekarze ze słuchawkami na szyjach. Wsiedli do windy.

Podczas jazdy na drugie piętro nie zamienili ani słowa. Nie musieli. Wysiedli z windy i ruszyli przez labirynt asep-tycznych korytarzy. Poruszali się ze swobodą i pewnością siebie ludzi, którzy są u siebie.

Jednakże żaden z nich nie składał przysięgi Hipokra-tesa.

BARCELONA, HISZPANIA, DZIESIĘĆ TYSIĘCY KILOMETRÓW OD MEKSYKU

Scena należała do Guillerma Torresa. Gdy śpiewał *What a Wonderful World,* miał wrażenie, że wszyscy słuchacze pieszczą go niczym kochanka. Podobał się, a gdy skończył, nagrodzili go długimi i głośnymi oklaskami.

Spojrzał na Armanda, właściciela baru, który wciąż obiecywał, że zatrudni go na wieczorne występy. Jeśli dziś nie przekonał szefa, że potrafi przyciągnąć publiczność, by przez całą noc piła kolejne drinki, to nigdy mu się to nie uda.

Guillermo lubił śpiewać niemal tak bardzo, jak uczyć. Muzyka była jego pasją. Językiem duszy. Z zapałem tłumaczył uczniom jej bogactwo i cieszył się, gdy doceniano jego sztukę.

Gdy oklaski ucichły, usiadł na stołku przy barze. Jak zwykle czekała na niego szklanka pernodu, talerz z *boque-rones,* kawałkiem sera *cabrales* i oliwkami. Claudia wiedziała, co lubi Guillermo.

Zjadł oliwkę. Z kuchni wyszedł szczupły barman z wąsikiem, niosąc talerze z grzybami, smażonym serem i kurczakami. Guillermo nigdy go jeszcze nie widział.

- Gdzie jest Claudia? - spytał.

- Chora - wyjaśnił nowy barman, wzruszając ramionami. - Problemy kobiece. - Wskazał głową pustą szklankę. - Jeszcze jeden pernod?

Czemu nie? - pomyślał Guillermo i popchnął szklankę w jego kierunku.

W tym momencie podeszła do niego jakaś kobieta. Stojąc trochę za blisko, zapewniała namiętnym głosem, jak bardzo lubi go słuchać. Guillermo nie patrzył, jak barman napełnia szklankę. Nie zauważył, że dolewa do niej kroplę cieczy ze srebrzystej fiolki, którą potem szybko schował do kieszeni.

Przekąski były znakomite, pernod doskonały, a ta kobieta uśmiechała się zachęcająco. Miała na sobie czerwoną sukienkę z dużym dekoltem i pachniała dobrymi perfumami.

Guillermo wypił duży łyk. Życie jest piękne.

ATLANTA, GEORGIA, CZTERY TYSIĄCE SZEŚĆSET KILOMETRÓW OD BARCELONY

Guillermo Torres żył, aby grać w bejsbol. Zaczynał w wiejskich klubach w Portoryko, stopniowo awansował, aż wreszcie przebił się do pierwszej ligi. Miał już na koncie prawie trzy tysiące trafień.

To jednak nie był jego najlepszy dzień. Po wczorajszym ryzykownym wślizgu wszystko go bolało. Uderzył mocno biodrem o ziemię. Dobrze, że rozgrywali tylko mecz na cele charytatywne - grali przeciw drużynie miejscowej policji, a dochody z biletów przeznaczyli na pomoc ofiarom przemocy domowej.

Guillermo należał do kilku krajowych organizacji cha-

rytatywnych, ale ta sprawa miała dla niego największe znaczenie, ponieważ w dzieciństwie musiał bezradnie patrzyć, jak ojczym bije matkę. Teraz mama siedziała za ławką rezerwowych, dumna ze swego syna. Towarzyszyła jej żona i dwoje dzieci Guillerma. Drużyna policji właśnie wbiegła na boisko.

Guillermo nie zauważył otyłego kibica w barwach Bra-ves, który przeciskał się przez tłum z pizzą i piwem. Usiadł cztery rzędy za jego rodziną. Guillermo wbiegł na boisko i pozdrowił krzyczących kibiców gestem ręki.

Gdy pod koniec pierwszej części meczu padł strzał, wszyscy myśleli, że to trzask jego pałki.

LONDYN

David przyglądał się mężczyźnie, który wysiadł z taksówki przed Tower Monument. Z powodu deszczu nie widział go wyraźnie. Wyglądał jak... nie, to niemożliwe...

Dillon.

- Proszę się zatrzymać - polecił kierowcy i pośpiesznie wyciągnął z kieszeni pieniądze.
- Co robisz? Trinity Sąuare jest tam - zdziwiła się Jael, ale David już wysiadł. Nie odrywał wzroku od dwóch mężczyzn zbliżających się do Tower Monument.

Jael szybko wysiadła z taksówki. Gdy kierowca odjechał, dotknęła rękawa Davida.

- Znasz ich?
- Znam jednego. - David zacisnął zęby. - To mój najbliższy przyjaciel, Dillon McGrath. Ksiądz, który wysłał mnie do rabina ben Moshego.

Przyjaciel, który nie mógł znaleźć mojego paszportu, pomyślał z sarkazmem. Evy też jakoś nie znalazł. Tego wieczoru, kiedy posłałem go po paszport, Eva została zamordowana. Policja mnie szuka, a on nie wyjaśnił, dlaczego nagle musiał wyjechać z kraju.

- Po cóż on przyjechał do Londynu? - mruknął.
- A ten drugi? Znasz go?
- Jeszcze nie wiem.

David ruszył na drugą stronę ulicy. Dillon i jego towarzysz szli szybko King William Street w kierunku Tamizy. Niższy mężczyzna rozłożył czarny parasol. Dillon postawił kołnierz, wtulił głowę w ramiona i dostosował krok do tempa swego otyłego kompana.

David nie zwracał uwagi na krople deszczu, które zbierały się na jego brwiach i ściekały po policzkach. Jael szła obok niego. Wyczuwał, że jest coraz bardziej spięta. Znajdowali się w tłumie ludzi uciekających przed deszczem.

- Zapewne masz jakiś powód, aby mu się nie pokazywać - powiedziała.
- Nie jestem pewny... czy mogę mu ufać - słowa uwięz-ły mu w gardle. Nigdy nie przypuszczał, że powie coś takiego o Dillonie. Wynikające z tego wnioski były ponure jak niebo nad Londynem.
- Czy sądzisz, że miał coś wspólnego ze śmiercią Evy?

David dotychczas odsuwał od siebie takie podejrzenia,
ale teraz musiał je rozważyć. Dillon jest w Londynie, podobnie jak Crispin i Stacy...

- Zastanawiam się, czy brał udział w zamordowaniu rabina ben Moshego. Przykro mi to mówić, ale on wiedział, że tego dnia będę u rabina.
- Skręcają w Arthur Street - przerwała mu Jael. - Lepiej zostańmy kilka kroków z tyłu.

W przemysłowej dzielnicy w pobliżu doków na ulicach było mniej ludzi i David wolał nie ryzykować, że Dillon go zauważy. W dali widzieli lśniącą powierzchnię wód Tamizy. Z każdym krokiem oddalali się od Trinity Sąuare.

Jael spojrzała na niego i przygryzła wargi.

- Co z telefonem do Crispina? - spytała, jakby czytała w jego myślach.
- Najpierw muszę zobaczyć, dokąd idzie Dillon. - Da-vid się wahał, ale opanował lęk. - Potem wrócimy.

Pozostaje mieć nadzieję, że Muellerowi nie znudzi się czekanie, pomyślał z rozpaczą.

David obserwował, jak Dillon i nieznajomy szybkim krokiem wchodzą w Swan Lane. Czuł bolesne napięcie. Czy narażam Stacy na niebezpieczeństwo bez powodu? -pomyślał. Dillon był najuczciwszym człowiekiem, jakiego znam. To chyba paranoja. Gnozyci do tego stopnia zaburzyli moje życie, że straciłem zaufanie do najbliższego przyjaciela. Człowieka, który przez całe życie służył Bogu, nie zaś złu.

Dillon mógłby się teraz przydać. Wystarczy, że go zawołam...

Nie mógł się jednak do tego zmusić. Słowa uwięzły mu w gardle, jakby był zakneblowany.

Zobaczył tabliczkę z nazwą następnej ulicy, w którą skręcił Dillon. W głowie Davida zabrzmiał sygnał alarmowy.

Pasaż Aniołów.

Aniołów Ciemności?

- David, oni idą do magazynu. - Jael chwyciła go za nadgarstek.
- Ja również. Idziesz ze mną?

Jael przyśpieszyła kroku, ale mówiła cicho i spokojnie.

- Nie zauważyłeś? Idę za tobą krok w krok.

ROZDZIAŁ 51

ARKA

Skąd dochodzą te dźwięki?

Stacy przyciskała ucho kolejno do każdej ze ścian i uważnie nasłuchiwała. Łkania były tak słabe, niemal niesłyszalne, że nie mogła się zorientować, skąd docierają. Wiedziała jednak, że nie ma omamów.

Ktoś cierpiał lub był przerażony. Gdyby tylko udało się jej stąd wydostać, mogłaby spróbować pomóc.

Niezły dowcip. Nie była w stanie pomóc nawet sobie. Po raz setny zaczęła szarpać za klamkę, co tylko pogłębiło jej frustrację. Nie wiedziała, jak długo już tu siedzi i co będzie z nią dalej - nie miała jednak wątpliwości, że ten mężczyzna podobny do lwa chce ją zabić.

David ją uratuje. Powtarzała to sobie, starając się nie tracić nadziei. Chciała się cieszyć, że David przybędzie z pomocą, ale w rzeczywistości była tym przerażona. Ten człowiek wcale nie żartował, gdy zapowiedział, że zabije ją i Davida. Widziała już, jak porywacz ranił mamę i zabił Hutcha.

Nie nadążała wycierać łez, które spływały jej po policzkach. Mama. Nie mogła zapomnieć widoku mamy leżącej na żwirze, z krwawiącą głową. Gdzie ona teraz jest? - myślała, kiwając się w przód i w tył. Łkała. Czy wciąż tam leży? Czy Len się dowiedział? A David?

Spróbowała powstrzymać płacz. Postanowiła przeszukać pokój. Musi tu być coś, czym mogłabym przewrócić tego faceta, gdy znów przyjdzie. Gdyby mi się udało wyminąć go w drzwiach, gdy będą otwarte, mogłabym uciec, pomyślała. Szybko biegam. Mam dobry refleks i intuicję. Tak zawsze mówił trener Wilson. Wykiwam go. On kuleje, to opóźni jego reakcję. Ucieknę...

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku i znieruchomiała pośrodku pokoju. Nie, jeszcze nie teraz.

Gorączkowo rozglądała się po pustym pokoju. Nie zauważyła niczego, czym mogłaby podciąć mu nogi...

Ktoś otworzył drzwi, wpuszczając do środka podmuch powietrza. Stacy się cofnęła. Przerażenie ściskało ją za gardło.

Do pokoju wszedł mężczyzna, którego jeszcze nigdy nie widziała.

ROZDZIAŁ 52

Dillon i jego kompan znikli w drzwiach magazynu numer 8 przy Pasażu Aniołów. Budynek ten nie różnił się niczym od innych piętrowych magazynów w okolicy.

David przyśpieszył kroku. Mżawka zmieniła się w gęsty deszcz. Jael szła koło niego, dygocząc.

- Moim zdaniem powinniśmy poczekać i posłuchać, co dzieje się w środku - powiedziała, mrugając oczami, żeby pozbyć się kropel wody. - Chyba że chcesz wpaść prosto na niego i zaliczyć konfrontację.

- Jeszcze za wcześnie. Sprawdźmy bramę dla samochodów dostawczych. - Omijając głębokie kałuże, poszli na tyły budynku.

David zatrzymał się tak nagle, że Jael wpadła na niego. Oboje przywarli do ściany budynku. Za rogiem, przy rampie, wrzała praca. Biała ciężarówka stała tyłem do drzwi magazynu. Robotnicy wyładowywali z niej walizki i pudła, a inni wnosili je do wnętrza budynku.

- Spójrz na ich identyfikatory - szepnęła Jael.

David kiwnął głową. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Identyfikatory na piersiach robotników wyglądały bardzo znajomo. Nawet z tej odległości dostrzegał zarys wieży i błyskawicę na niebie.

Karta tarota.

- Znaleźliśmy ich siedzibę, David. Musimy się dostać do środka.

- Chodźmy za Dillonem. - David skulił ramiona, usiłując ochronić się przed deszczem.
- A co z telefonem do Stacy?
- Jeśli to coś w rodzaju głównej kwatery gnozytów, może tu być Crispin. I ona. Może właśnie zaoszczędziliśmy sobie tego telefonu.
- I zyskaliśmy przewagę, jaką daje zaskoczenie. -Mówiąc to, Jael wyciągnęła kartę rabina. David sięgnął po kartę Gillisa.
- Wchodzimy frontowymi drzwiami, tak jakbyśmy mieli uprawnienia - powiedział stanowczo David, odwracając się w kierunku głównego wejścia. I módlmy się, żebyśmy znaleźli Stacy. - Jesteś pewna, że chcesz w tym uczestniczyć, Jael? Może idź na Trinity Sąuare i rozejrzyj się po okolicy...
- Powiedziałam ci, że idę z tobą, nie pamiętasz? - Jael go wyprzedziła i spróbowała otworzyć stalowe drzwi.

Zamknięte.

- Sezamie, otwórz się - mruknął David. Zapukał. Po chwili zauważył wizjer i przyłożył do niego kartę tarota.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. W przejściu stał mężczyzna wzrostu i budowy Gillisa. Wyglądem przypominał tir. Tir z karabinem maszynowym.

Bez śladu uśmiechu wyciągnął rękę po ich karty. Gdy badał je uważnie, David miał wrażenie, że to jakiś surrealistyczny sen. Nie, to był raczej koszmar. Dillon okazał się gnozytą. Zdrajcą.

Dillon.

David przełknął żółć w gardle i postarał się przybrać nonszalancki wyraz twarzy. Strażnik oddał im karty i odsunął się na bok, żeby mogli wejść.

- Korytarzem po prawej stronie - wskazał kierunek lu fą. - Bagaże?
- Już są na miejscu. - David minął go, jakby nigdzie mu się nie śpieszyło. Ręką objął Jael w pasie.

Na pierwszy rzut oka wnętrze magazynu było niemal

puste, jeśli pominąć kilku uzbrojonych mężczyzn. Wydali mu się czujni i zdecydowani. Aniołowie Ciemności. Jednak w głębi stały liczne skrzynie, walizki i palety z wodą mineralną w butelkach. Zapasy.

David słyszał płytki, szybki oddech Jael. Doszli do końca korytarza i zatrzymali się przed zwykłymi drewnianymi drzwiami, przypominającymi drzwi do biura.

To jednak nie było biuro. Gdy David otworzył drzwi, zorientowali się, że trafili do wejścia na stację metra. Mieli przed sobą strome betonowe schody z metalowymi poręczami. Po obu stronach świeciły się maleńkie światełka niczym oczy duchów.

David pomyślał, że na szczęście pokonał lęk wysokości, bo inaczej nigdy nie zdołałby zejść po tych schodach, i to w ciemnościach. W dole nie widział niczego, poza łukiem schodów. Trudno było zgadnąć, czy i gdzie się kończą.

Ogarnęła go dziwna desperacja. Ruszył w dół. Nie miał wątpliwości, że przed kilkoma minutami tę drogę przemierzył Dillon. W wilgotnym powietrzu czuć było jeszcze zapach jego wody kolońskiej Aramis.

David słyszał za sobą kroki Jael. Nie okazywała cienia lęku, czego on nie mógłby powiedzieć o sobie. W miarę jak stromizna łagodniała, David czuł coraz większy niepokój.

Wciąż nie było widać końca schodów.

- Powrót nie będzie przyjemny - szepnęła Jael.

David chciał ją pocieszyć, że może nie będą uciekali przed zgrają Aniołów Ciemności, ale zachował tę myśl dla siebie.

Oświetlenie było coraz gorsze, a powietrze coraz zimniej sze.

Jael miała na nogach sandały. Jej stopy powoli zmieniały się w bryły lodu. Spędziła sporo czasu w jaskiniach, prowadząc prace wykopaliskowe, ale nigdy nie zetknęła się z czymś tak dziwnym i złowieszczym jak te niekończące się schody.

Uznała, że najwidoczniej zostali skazani na wieczne schodzenie, ale w końcu zobaczyli przed sobą betonowy podest. Jael odetchnęła z ulgą. Gdy jednak doszli do pomostu, natknęli się na zamknięte metalowe drzwi po prawej i spiralne schody ze stali i miedzi, wiodące w dół pionowego szybu wykutego w skale.

- Boże - westchnęła.

David nigdy nie widział czegoś takiego. Czuł się tak, jakby schodził do podziemnego świata. Nie zdziwiłby się, gdyby nagle stanęli nad brzegiem Styksu.

- Co wybierasz? Schody czy drzwi? - Jael spojrzała na niego pytająco, jednocześnie rozcierając bolące łydki.

David wybrał drzwi, ale nie udało mu się ich otworzyć.

- Zrobimy za duży hałas, jeśli spróbujemy je wyważyć. Lepiej sprawdźmy, dokąd zaprowadzą nas te schody.

- Ciekawa jestem, ile lat zajęło im kucie tych tuneli. -Wciąż miała chrypkę, co ją denerwowało, ale jednocześnie cieszyła się, że w ogóle mówi. Oparła się o skalną ścianę i rozciągnęła mięśnie. Bolały ją wszystkie siniaki i czuła przykre drapanie w gardle.

Zastanawiała się, czy Davidowi przyszło do głowy, iż wybrali się tu bez żadnej broni.

- Chyba już za późno przypominać, że zmierzamy do starcia z wrogami Boga bezbronni.

- Mamy za sobą siły dobra - odpowiedział David, tylko częściowo żartując. Żałował, że nie kupił na lotnisku scyzoryka. Teraz rozmowa na ten temat była bezprzedmiotowa.

W powietrzu unosił się zapach wilgoci i zgnilizny.

- Uważaj - David ostrzegł Jael, gdy jego głowa znikała już w szybie. - Stopnie są śliskie.

- To skutek kondensacji. - Jael skupiła się na schodzeniu. Uważała, żeby się nie poślizgnąć, przenosiła wzrok ze stopnia na stopień i starała się nie patrzyć w dół, żeby uniknąć zawrotów głowy.

Nagle usłyszeli nad sobą jakieś kroki i głosy. Za nimi szli inni.

Oni prawdopodobnie wiedzą, dokąd idą, pomyślała.

David i Jael powoli schodzili po śliskich metalowych stopniach. David jeszcze nigdy nie był tak głęboko pod ziemią. Zastanawiał się, czy któreś z nich zobaczy jeszcze kiedyś światło dzienne.

Odsunął od siebie tę przykrą refleksję, a pomyślał o la-med wownikach. Dopóki choć jeden żyje, dopóty oni nie powinni tracić nadziei.

Poniżej słychać było jakieś głosy i szum wody.

- Jak się zdaje, spóźniliśmy się na przyjęcie - mruknęła Jael.
- Miejmy nadzieję, że nikt się nie zorientuje, że nie jesteśmy zaproszeni.

Chwilę później skończył się cylindryczny szyb klatki schodowej. Znaleźli się w rozległej, słabo oświetlonej jaskini.

Pokonując ostatnie stopnie, David patrzył na dwie wielkie rzeźby z brązu stojące pod przeciwległą ścianą. Obie przedstawiały podwójnego Uroborosa. Rzeźby górowały nad dwuskrzydłowymi drzwiami, ale i tak wydawały się malutkie w porównaniu z poszarpaną pionową ścianą skalną za nimi.

Na dole David zainteresował się jednak przede wszystkim wolno stojącą kolumną skalną. Wznosiła się niczym wieża, a na samym szczycie widać było wykuty w skale balkon. Przypominała prymitywny punkt obserwacyjny. Lub papieski balkon, pomyślał David. Spojrzał, czy nie pojawi się tam przywódca gnozytów, żeby pozdrowić swe sługi.

David dostrzegł błysk światła odbijającego się od szklanych drzwi balkonu. Tam jest jakieś pomieszczenie. Na pewno do niego prowadzi przejście przez zamknięte drzwi na podeście. Miał wrażenie, że dostrzegł jakiś ruch - ktoś tam był.

David musiał jednak skupić uwagę na recepcji. W odległości trzech metrów przed nimi stało biurko. Chuda jak

trzcina kobieta z lśniącymi czarnymi włosami zmierzyła ich gniewnym spojrzeniem. Miała na sobie żakiet z czerwonej wełny, który zdobiła przypięta duża kryształowa brosza w kształcie Uroborosa. Z daleka broszka świeciła, jakby była z lodu.

David bardziej przejął się widokiem Anioła Ciemności pełniącego wartę za recepcjonistką. Wysoki Murzyn o przebiegłym wyrazie twarzy stał na szeroko rozstawionych nogach, a jego oczy miały taki sam stalowy odcień jak pistolet zawieszony na biodrze.

Nie jesteśmy już w Kansas.

Kobieta miała usta pomalowane szminką w kolorze żakietu. Machnęła na nich niecierpliwie.

- Tędy. Kończymy rejestrację. Proszę o paszporty.

ROZDZIAŁ 53

Crispin przeszedł przez salę, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy pośpiesznie schodzili mu z drogi. Skręcił ku schodom prowadzącym na niższy poziom i niemal zbiegł po nich, nie zważając na niebezpieczeństwo. Słychać było ostre dźwięki, gdy jego laska uderzała o metalowe stopnie.

Rozsadzała go wściekłość. Gdzież ten Shepherd? Kpi sobie ze mnie, prychał Crispin. Raoul właśnie zameldował, że Shepherd i jakaś kobieta z Izraela wylądowali na Heathrow ponad dwie godziny temu. Dlaczego jeszcze nie dojechali na Trinity Sąuare i nie zadzwonili? Raoul i En-rique przeszukali park i pamiątkowy ogród - nigdzie ich nie znaleźli. Nikt nie zadzwonił.

Może krzyk tej dziewczyny skłoni Shepherda do okazania mu większego szacunku. Crispin zazgrzytał zębami. Wyobraził sobie, jak łamie rękę Stacy niczym precelek, a Shepherd słucha jej płaczu.

Gwałtownym ruchem wyciągnął z kieszeni klucz i włożył go do zamka, ale ku jego wielkiemu zaskoczeniu, drzwi otworzyły się, nim zdążył przekręcić klucz.

Co się tu stało?

W pokoju nie było nikogo. Crispin patrzył na puste łóżko polowe, krzesło, w kąty pokoju i nie wierzył własnym oczom.

Ryknął, nie mogąc zapanować nad złością.

Gwałtownie nacisnął na przyciski telefonu.

- Ona znikła! - krzyknął, gdy dodzwonił się do punktu dowodzenia Aniołów Ciemności piętro wyżej. - Pokój jest pusty! Jak myślicie, o kim mówię?! O ostatniej Ukrytej! Macie ją znaleźć!

Nim zdążył się obrócić, rozległy się dzwonki alarmowe. Crispina nadal rozsadzała wściekłość. Pokuśtykał przez korytarz do schodów i wrócił na górny poziom. Po drodze minęło go kilku Aniołów Ciemności. Biegli w dół.

Gdy doszedł do podestu, natknął się na DiStefano.

- Pozwól na słowo, Wężu. - Wyraz twarzy DiStefano był wyjątkowo spokojny.
- Musimy znaleźć dziewczynę - warknął Crispin.
- Nie martw się, znajdziemy. Nie ma tu miejsca, gdzie mogłaby się ukryć, prawda? - DiStefano pochylił głowę w bok, a jego usta wykrzywił lekki uśmiech. - Nie wiem, jaką prowadzisz grę i dlaczego nie przekazałeś mi od razu nazwiska Guillerma Torresa. - Nie pytam również, kto wysłał z mojego serwera rozkaz zabicia go. Powiem ci tylko, że to już zostało zrobione. Trzej mężczyźni o nazwisku Guillermo Torres zostali dziś wyeliminowani. - Oczy DiStefano zalśniły z satysfakcją. - W tej chwili dobija do brzegu statek Jacka Cherle'a. Zlikwidujemy kolejnego Ukrytego. Zostanie nam tylko ta dziewczynka.
- Gdy ją znajdą, mają przyprowadzić ją do mnie.

W oczach DiStefano zamigotały lodowate iskierki.

- Gdy ją znajdą, zostanie zabita - odparł gładko. - To już nie twoja sprawa, Wężu. Twoja rola dobiegła końca. Muszę przyznać, że odniosłeś wielki sukces. Nadeszła na sza godzina. Nie ma już powodu, żeby Stacy Lachman ży ła. David Shepherd nie zdołał nas powstrzymać. Gdy jej życie zgaśnie, zwyciężymy. Teraz musisz tylko przygoto wać się na koniec tego świata i początek nowego.

W tym momencie w górze rozległ się jakiś łoskot. Obaj spojrzeli na skalny strop tunelu.

- Cherle - powiedział DiStefano, sprawdzając godzi-

nę. Uśmiechnął się. - Już nie żyje lub za chwilę będzie martwy. Została tylko ona.

Crispin gorączkowo zastanawiał się, co zrobić. Jeszcze za wcześnie. Nie był gotowy.

Gdy kiedyś myślał o tej chwili, tak właśnie ją sobie wyobrażał. Dziś jednak wszystko było nie tak, coś mu umknęło. Odkrycie związku między Davidem Shepher-dem i Stacy Lachman całkowicie zmieniło sytuację. Teraz chciał mieć wszystko - odzyskać ukradziony kamień, odpłacić Shepherdowi za lata w letargu, nasycić się zemstą. Wtedy będzie pora na Wniebowstąpienie. Nie wcześniej.

Odwrócił się i odszedł bez słowa. Przywódca Kręgu bardzo się myli, sądząc, że może mnie powstrzymać - pomyślał. Jeśli pierwszy ją dopadnę, będzie moja. Ja zadecyduję, kiedy umrze.

SOUTHAMFTON

Trzy karabiny snajperskie zagrzmiały niemal równocześnie, z dokładnością do kilku milisekund.

Jack Cherle padł na trotuar, a jego rodzina zaczęła krzyczeć z rozpaczy i przerażenia. Ludzie rozbiegli się, szukając, gdzie by się ukryć.

- Czysta robota, panowie. Do zobaczenia w Londynie. -Dwaj Aniołowie Ciemności, odjeżdżając z portu, usłyszeli w słuchawkach głos Geoffreya Balesa.

Bales wyciągnął BlackBerry i zaczął pisać jedną ręką. Drugą prowadził.

Zadanie wykonane.

ROZDZIAŁ 54

David i Jael położyli swoje karty na ladzie recepcji. Da-vid wstrzymał oddech, gdy kobieta w służbowym kostiumie podniosła je i dokładnie obejrzała z obu stron. Sprawdza numery, pomyślał.

Recepcjonistka błyskawicznie wstukała numery do komputera. Pochyliła się w stronę ekranu i zmarszczyła brwi. Po chwili uniosła głowę i obrzuciła Jael podejrzliwym spojrzeniem.

Nie dała się nabrać, pomyślał David. Serce mu biło jak młotem, ale udawał, że przygląda się gigantycznemu Liechtensteinowi na ścianie po prawej. Za chwilę ten Anioł Ciemności wystrzela nas jak kaczki.

Wyczuł, że Jael zesztywniała. Spocił się ze zdenerwowania. Powinienem teraz zaatakować, przez zaskoczenie, pomyślał.

Nim się zdecydował, recepcjonistka warknęła do Jael:

- Pani nazwisko?

Anioł Ciemności natychmiast zbliżył się do recepcji. Zacisnął palce na kolbie.

- Jakiś problem?
- Nie ma żadnego problemu - zimno stwierdziła Jael. -Macie moje nazwisko w komputerze. Tu jest moja karta.
- No właśnie. Jest problem - wyjaśniła recepcjonistka. - Karta została wydana mężczyźnie.
- Nie może być - wtrącił David.

- Niewątpliwie ktoś popełnił błąd - powiedziała Jael lodowatym tonem. Gdyby David nie znał prawdy, pomyślałby, że istotnie czuje się obrażona. - Chcę rozmawiać z premierem DiStefano. Lub z Crispinem Muellerem. W tej chwili.

Recepcjonistka straciła pewność siebie. Spojrzała przez ramię na Anioła Ciemności, jakby czekała na instrukcję.

- Niech mu pani powie, żeby odłożył broń - zażądał David, mierząc Anioła Ciemności gniewnym spojrzeniem. - Moja towarzyszka ma kartę. Najwidoczniej ktoś pomylił numery.

David pochylił się ku niej.

- Czy pani sądzi, że ktoś na świecie ma dostęp do tych kart? Niechże się pani zastanowi - dorzucił pogardliwie.

Kobieta wyraźnie się wahała. Z jednej strony wierzyła, że gnozyci potrafią strzec swych tajemnic, z drugiej natomiast miała przed oczami oczywistą niezgodność w dokumentach.

- Ale według komputera to karta Paula Wrighta...

- Pauli Wright - przerwała jej Jael. Zaciskała gniewnie zęby. - Doprawdy, kto mógłby w takiej chwili spodziewać się niekompetencji? - syknęła. - Literówki w najważniejszym dniu. To nie do pojęcia.

David zwrócił się do Anioła Ciemności.

- Proszę wezwać premiera DiStefano, natychmiast. On załatwi tę sprawę bez dalszej straty czasu.

- To nie będzie konieczne. - Kobieta pośpiesznie otworzyła szufladę i wyjęła dwa niewielkie kółka z doczepionymi złotymi kluczami. David usłyszał, jak Jael cicho odetchnęła. Jego serce również nieco zwolniło.

- Panie Gillis, ma pan pokój numer siedemnaście w korytarzu D na poziomie podstawowym. Pani Wright, pokój numer czterdzieści dwa w korytarzu C. - Wskazała kciukiem w prawo. - Niższy poziom, niedaleko tylnych schodów.

Jael wzięła klucz i odeszła. Zachowywała się i wyglądała tak, jakby wcale nie dała się ułagodzić.

- Chodźmy, James, bo teraz już naprawdę jesteśmy spóźnieni.

David z trudem zmusił się, żeby się nie obejrzeć.

- Niewiele brakowało - mruknął pod nosem, gdy ją dogonił. - Zagrałaś to imponująco.

- Zaryzykowałam. Możesz uwierzyć, że coś takiego istnieje? - szepnęła, rozglądając się dokoła. Włączyli się w tłum ludzi idących szerokim korytarzem.

Korytarz był zatłoczony jak nowojorska ulica, ale poza tym w niczym jej nie przypominał - surowy, niesamowity i kiepsko oświetlony gołymi żarówkami oraz grubymi świecami. Architektura stanowiła kombinację metalu i naturalnej skały, a w powietrzu unosił się odór stęchliz-ny. Mimo to w atmosferze wyczuwało się pełne podniecenia wyczekiwanie.

David nigdy nie wyobrażał sobie czegoś takiego. Bunkier stanowił dziwaczne skrzyżowanie jaskini i schronu przeciwatomowego. Był znacznie większy, niż można by oczekiwać, nawet biorąc pod uwagę, że wydano dwa tysiące kart wstępu.

Gdzie w tym labiryncie jest Stacy? - myślał, przyglądając się rozradowanym twarzom zebranych. Wszyscy wyglądali zupełnie zwyczajnie, choć byli wrogami. Wrogami świata.

Jedynym sposobem pokonania ich było zapewne ocalenie Stacy, ale David nie miał pojęcia, gdzie jej szukać.

Szybkim krokiem minęli dużą aulę ozdobioną rzeźbami Uroborosów, potem salę jadalną i kuchnię.

To mało prawdopodobne, żeby trzymali Stacy na terenie dostępnym dla wszystkich, pomyślał David, gdy mijali kuchnię.

Ku jego wielkiej uldze nikt nie zwracał na nich uwagi. Tylko z rzadka ktoś się ukłonił lub uśmiechnął. Szli w kierunku tylnych schodów.

Nagle zatrzęsły się ściany. Świece zakołysały się w lichtarzach, a David i Jael wymienili niespokojne spojrzenia.

- Co to było? Stopy mi jeszcze drżą - szepnęła Jael.

- Nie wiem, ale to mi się nie podoba. Tego nam tylko brakuje, żeby wybuchł tu pożar - prychnął David. - Musimy znaleźć Stacy i zmiatać stąd.

Wszyscy dookoła szeptali coś w wielkim podnieceniu. Po chwili rozległ się ostry dźwięk dzwonków.

- Widocznie już pora - wykrzyknął z entuzjazmem jakiś mężczyzna.

- Do auli! - odpowiedział mu śpiewny, kobiecy głos.

- Do auli! - wołali inni. - Zwycięstwo!

Wszyscy ruszyli w kierunku, z którego David i Jael nadeszli. Oni pobiegli w głąb tunelu.

Serce Davida biło gwałtownie raczej ze strachu niż z wysiłku. Czas szybko mijał, a on nie miał pojęcia, gdzie szukać Stacy w tym piekielnym labiryncie. Skoro wszyscy gromadzili się w auli, oni mieli okazję przeszukać odległe części bunkra, nie ryzykując, że zostaną wykryci.

Ledwo to pomyślał, gdy zobaczył czterech Aniołów Ciemności. Biegli w ich stronę z wyciągniętymi rewolwerami. David i Jael zamarli, ale ku ich wielkiemu zdumieniu minęli ich. Zatrzymał się tylko jeden.

- Widzieliście może nastolatkę z jasnymi włosami ubraną w szary dres? - spytał.

Stacy. David pokręcił przecząco głową. Miał tak wyschnięte usta, że nie mógł nic powiedzieć, nawet gdyby chciał.

Anioł Ciemności wskazał korytarz.

- Idźcie do auli. Chcemy, żeby podczas poszukiwań korytarze były puste. Jeśli ją zobaczycie, złapcie i zapro wadźcie do recepcji. Jest ostatnim Ukrytym.

- Och, naprawdę? Tak zrobimy, rzecz jasna. - Jael spojrzała zachwycona. Świetnie udawała zaskoczenie i gotowość do współpracy.

- Jak jej się udało uciec? - wykrztusił David.

- My też chcielibyśmy wiedzieć - warknął Anioł Ciemności. Nagle zbliżył się do nich. - A wy dokąd idziecie?

- Zapomniałem wziąć coś z pokoju - odpowiedział Da-vid, pokazując mu kółko z kluczem.

- To trudno. Idźcie do auli - powtórzył rozkaz Anioł Ciemności. - Korytarze mają być puste.

Pieprz się, pomyślał David, ale oboje posłusznie zawrócili i udali, że wracają, skąd przyszli. Gdy tylko Aniołowie Ciemności znikli, David chwycił Jael za rękę.

- Chodź, idziemy na niższy poziom. - Pobiegli w głąb korytarza, modląc się, żeby nikt ich nie zauważył.

Zatrzymali się na jego końcu i popatrzyli z rozpaczą na sześć wąskich przejść, oznaczonych literami od A do F.

- Tam są nasze pokoje - sapnęła Jael. - To pewnie część hotelowa.

Ten podziemny bunkier był większy, niż David mógł sobie wyobrazić. Nie dało się dostrzec końca korytarzy z licznymi drzwiami. Gdzie szukać Stacy?

Spróbował pomyśleć, co dalej. Instynkt podpowiadał mu, żeby zejść na dół.

- Zacznijmy od dołu i zmierzajmy w górę - zaproponował i od razu pobiegł w kierunku schodów. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz. W tym momencie zauważył, że dzwonki zamilkły.

Na dole nie było nikogo poza kilkoma Aniołami Ciemności, którzy metodycznie sprawdzali kolejne pokoje w podobnych jak na górze, oznaczonych literami korytarzach.

- Chodź tu - powiedziała Jael, podbiegając do planu wiszącego na ścianie przy schodach. - Może dzięki temu zaoszczędzimy trochę czasu.

David przyjrzał się rysunkowi.

- Zobacz - to ten balkon, który widzieliśmy. Za nim jest pokój operacyjny.

- Punkt dowodzenia - mruknęła. - Wysoko nad areną. Na pewno trudno się tam dostać.

Obejrzała się nerwowo. Aniołowie Ciemności oddalali się od nich, sprawdzając kolejne pokoje w korytarzu D.

- W tym pokoju są pewnie wszyscy przywódcy - powie dział David. - Może tam właśnie Crispin trzyma Stacy.

Świetne miejsce na egzekucję, pomyślał, ale szybko wyparł z głowy ten obraz.

- Równie dobrze może być jeszcze gdzieś na dole - argumentowała Jael. - Tam jest pakowalnia śmieci, wentylatory, a... to? Co to może być? - Wskazała na pomieszczenia tuż za tylną klatką schodową oznaczone napisem „Wstęp wzbroniony". - Nie sądzisz...

- Jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić. - David zacisnął szczęki.

Ruszyli w tamtym kierunku. Gdy doszli na miejsce, znaleźli tylko studnię otoczoną barierką.

- To ślepy zaułek. - David wbił wzrok w studnię. Przejechał ręką po włosach. Piekielnie bolały go żebra, ale nie zwracał na to uwagi.

- To pakowalnia śmieci. - Jael wskazała ręką metalowy zbiornik stojący w ciemności.

- Lepiej sprawdzę - odrzekł ponuro David.

Jak się spodziewał, drzwi były zamknięte. Złapał za szczebel drabiny i zaczął się wspinać. Jael rozglądała się nerwowo dookoła. Nikogo nie zauważyła. Na razie.

- Pośpiesz się - szepnęła ponaglająco. David był już na górze.

Dobrze rozumiała jego pragnienie, żeby sprawdzić wszystkie możliwe miejsca, ale im dłużej się tu kręcili, tym większe było niebezpieczeństwo, że zostaną zauważeni. Wstrzymała oddech, gdy David z trudem otwierał klapę na górze zbiornika, i wypuściła powietrze z płuc dopiero wtedy, gdy usłyszała, jak schodzi po drabinie.

- W środku są tylko śmieci. Gdzie Mueller mógł ją za mknąć?

Nagle rozległo się jakieś skrobanie. Oboje nerwowo podskoczyli. Jael dostrzegła dużego szczura. Uciekał z ni-

szy, której przedtem nie zauważyli, bo zasłaniał ją występ skalny.

- Tu coś musi być. Gdzie są szczury, tam zwykle jest je dzenie.

David podbiegł do niszy. Jael poszła za nim. Zaciskała gniewnie pięści na myśl, że jego pasierbica może być sama w tym koszmarnym miejscu.

Równocześnie dostrzegli drzwi bez żadnych oznaczeń, łatwe do przeoczenia w tej odludnej części bunkra.

Świetne miejsce do przetrzymywania zakładnika, pomyślała Jael.

Drzwi były otwarte. Jael weszła do środka. Wyczuła słaby zapach lekarstw.

- Och, Boże! - westchnęła.

David wymacał na ścianie przełącznik i zapalił lampę. Ciasny pokój był pusty. W bladym świetle jarzeniówki zobaczyli krzesło, biurko, niepościelone łóżko polowe i resztki kanapki z serem na tacy przy łóżku.

- Ona tu była. Prawdopodobnie spóźniliśmy się o parę minut. - David czuł, że świat wali mu się na głowę.

- Spójrz na to! - Jael uklękła przy łóżku i podniosła z podłogi gumową bransoletkę z przesłaniem. Na elastycznej żółtej gumie widniały nadrukowane słowa „Mierz wysoko".

- To bransoletka Stacy - powiedział zduszonym głosem David. - Dałem jej ten drobiazg latem zeszłego roku.

Przez chwilę wpatrywał się w bransoletkę, po czym z trudem włożył ją na spuchniętą rękę. Wpijała mu się w nadgarstek, ale dzięki temu czuł się bliżej Stacy.

- Ona tu była. Ten skurwysyn...

- Czemu nie jesteście na górze? Co wy tu robicie? -usłyszeli za sobą niski głos.

David i Jael gwałtownie odwrócili się do drzwi. David drgnął na widok dwóch mężczyzn. Nie znał Anioła Ciemności, który celował w nich z rewolweru, ale od razu rozpoznał stojącego w drzwiach niskiego, barczystego mężczyznę.

Alberto Ortega, były sekretarz generalny ONZ.

David spotkał go raz, jeszcze za życia ojca, na przyjęciu w Białym Domu, na które zabrali go rodzice. Byli tam również Wanamakerowie i jeszcze inni senatorowie z rodzinami.

Wanamaker. Ciekawe, od jak dawna są w to wciągnięci. Kto kogo zwerbował?

- David Shepherd. - Ortega uniósł brwi. Wszedł do po koju. - Jak się tu dostałeś? To zresztą nie ma znaczenia.

Odpiął pager od paska.

- Za dwadzieścia sekund będzie tu pełno Aniołów Ciemności - zauważył takim tonem, jakby to była towa rzyska rozmowa. - Nie chcę przez to powiedzieć, że mój przyjaciel Domino nie mógłby sam was sprzątnąć.

Anioł Ciemności z rzednącymi rudymi włosami uśmiechnął się czarująco.

- To sprawi mi znacznie większą przyjemność niż za bicie twojej gosposi.

David milczał. W głowie mu się mieszało i z trudem panował nad wściekłością. Więc to nie Dillon zabił Evę?

- Ufam, że przyniosłeś swoją księgę imion. - Ortega zbliżył się o krok.

- Mam ją tutaj. - Mówiąc to, David zamachnął się torbą podróżną i wytrącił pager z rąk Ortegi. Aparat poleciał w kąt pokoju i uderzył z trzaskiem o ścianę. David rzucił się na Ortegę. Trafił go pięścią w twarz. Cofnął rękę i uderzył znowu, zmieniając jego regularne rysy w krwawą maskę. Ortega upadł do tyłu, wprost na Anioła Ciemności. Gdy ten starał się złapać równowagę, David skoczył, żeby mu wyrwać broń.

Huknął strzał. David usłyszał, jak Jael zaklęła. Chwycił gorącą lufę. Nie zwracając uwagi na ból, próbował wyrwać Aniołowi Ciemności rewolwer. Pot zalewał mu oczy. Domino był od niego cięższy o dobre piętnaście kilogramów, ale David nie rezygnował. Konwulsyjnie zaciskał palce na broni.

Gdy Ortega odsunął się na bok, Domino szarpnął za rewolwer, wykręcając Davidowi rękę w nadgarstku. David poczuł ostry ból i na chwilę ugięły się pod nim kolana. Jęknął przez zaciśnięte zęby. Jego przeciwnik uśmiechnął się.

- Zabij ich! - krzyknął Ortega. Klęczał na podłodze, a z jego zmiażdżonych ust płynęła krew. Jael rzuciła się na niego jak pocisk rakietowy. Przewróciła go na plecy. Ortega znów upadł w kałużę własnej krwi.

Jael usiadła na nim okrakiem i wbiła mu klucz do pokoju w lewe oko. Ortega próbował zasłonić twarz krwawiącymi palcami, ale ona zadała kolejny cios, tym razem w grdykę. Usłyszała jego rozpaczliwy krzyk i jęki.

Do Davida dotarły jakieś wrzaski dochodące gdzieś z daleka. Mimo bólu walczył nadal na pięści z Dominem. Nagle jego żebra zatrzeszczały, jakby ubódł go byk.

Rewolwer. Nie mogę puścić rewolweru, powtarzał sobie w desperacji. Domino zadał mu kolejne uderzenie.

David oddał cios. Wolną ręką udało mu się trafić przeciwnika w jabłko Adama. Domino na chwilę zwiotczał. Zamknął oczy z bólu, ale zaraz uśmiechnął się i walnął Davida w głowę pięścią wielką i ciężką jak kowadło.

David padł na kolana. Przed oczami wirowały mu gwiazdy. Puścił lufę. Zobaczył, jak Domino celuje w jego głowę. Spróbował się poruszyć, żeby chwycić broń lub przynajmniej zrobić unik.

Nim się jednak poruszył, za plecami Anioła Ciemności pojawił się jakiś mężczyzna. Oburącz uniósł kamień wielkości melona i trzasnął nim w tył głowy Domina.

David zamrugał. Miał wrażenie, że z powodu uderzenia w głowę źle widzi. Wytężył wzrok.

Nie wierzył własnym oczom. Mężczyzną stojącym za Dominem był Dillon McGrath.

ROZDZIAŁ 55

W metalowym tunelu było ciemno, tak ciemno, że Stacy, czołgając się, nie widziała własnych rąk. Ten mężczyzna ostrzegł ją, że ma zachowywać się jak najciszej i powoli, systematycznie posuwać się do przodu. Jednakże każdy jej ruch powodował trzeszczenie metalu i Stacy sztywniała ze strachu, że ktoś ją usłyszy.

- Szyb wentylacyjny jest ciasny i pewnie mocno zakurzony - powiedział mężczyzna. Mówił bardzo szybko, rozglądając się na boki. Podbiegli do bocznego tunelu, niedaleko pokoju, gdzie trzymał ją osobnik podobny do lwa. Mężczyzna podsadził ją do klapy. - Musisz czołgać się spory kawałek, nim dotrzesz do tunelu po prawej stronie. Skręć tam i pełznij dalej. To długa droga. Spotkamy się przy wyjściu. Choćbyś nie wiem co usłyszała, nie zatrzymuj się. Musisz dojść do końca i tam na mnie poczekać. Zrozumiałaś?

Stacy już nic nie rozumiała. Teraz, przeciskając się przez wąski tunel, poczuła nagle, że zjeżyły się jej włosy. Usłyszała dźwięk dzwonków alarmowych.

Ten podobny do lwa już wie, że uciekłam, pomyślała. Serce biło jej tak mocno, że aż bolało. Spróbowała zapomnieć o tym, że on jej szuka. I o tym, że jest jej zimno, boi się i jest sama. Miała nadzieję, że może zaufać mężczyźnie, który ją wypuścił. Wierzyła, że zobaczy jeszcze kiedyś mamę i Davida. Chciała wrócić do normalnego życia.

Stacy dygotała, ale zmusiła się, żeby pełznąć dalej. Gdy wyczuła po prawej stronie otwór, spróbowała skręcić. W tej ciasnocie nie było to łatwe. Wiła się przez kilka minut, nim wreszcie udało się jej wcisnąć do tunelu.

Miała zupełnie wyschnięte usta, a ręce drętwiały jej z zimna. Chciała jak najszybciej wydostać się z tego metalowego więzienia. Z trudem powstrzymywała się od krzyku. Nie mogła stracić panowania nad sobą, bo znaleźliby ją. Ten lew. I morderca z oczami o różnej barwie.

Pokonała zaledwie kilka metrów, gdy usłyszała jakieś głosy. Ścigają mnie! - pomyślała. Zatrzymała się i nasłuchiwała. Żołądek skurczył się jej ze strachu.

Głosy. Miała rację. Nasłuchiwała uważnie, starając się wyłowić każde słowo.

Gniewne kobiece głosy. Tych kobiet, które wcześniej płakały? Teraz to już był nie tylko szloch.

- Poczekajmy, aż przyjdą po nas. Rzucimy się na nich, będziemy walczyć zębami i pazurami.
- Mamy noże, które zwędziłyśmy podczas obiadów. Naostrzone o skały.
- Przynajmniej kilku zabijemy, nim oni pozabijają nas.

Nie wszystkie jednak były tak zdeterminowane. Niektó
re ze strachu płakały i błagały.

- Jeśli zaczniecie walczyć, wszystkie zginiemy.
- Boże, ja nie chcę umierać.

Stacy była przerażona. Kim one są? Zostały uwięzione? Tak jak ona? Co tamci chcieli z nimi zrobić? - zastanawiała się.

Przypomniała sobie słowa mężczyzny, który ją uwolnił: „Idź naprzód, cokolwiek by się działo. Musisz dotrzeć do końca".

Nie mogę - Stacy usłyszała własne łkanie. Nie mogę ich tak zostawić.

Nie było miejsca, żeby zawrócić. Powoli, z trudem, czołgała się do tyłu.

W kierunku głosów.

ROZDZIAŁ 56

David rzucił się na Dillona i przycisnął go do futryny.

- A ty co tu robisz? - warknął.

- Ratuję ci życie, na miły Bóg! - odparł Dillon. David zobaczył błysk jego niebieskich oczu. - Nawiasem mówiąc, ładnie mi dziękujesz.

- Za co ci mam dziękować? Za to, że chcesz zniszczyć świat? Czy o to chodzi w całej twojej metafizyce, ojcze? Czy zabrałeś mój paszport, gdy wpuściłeś do mojego domu tego potwora, żeby zabił Evę?

- Eva nie żyje?! Boże! - Dillon sprawiał wrażenie, że naprawdę przeżył szok. Potrząsnął głową, jakby chciał odzyskać jasność myślenia, po czym odepchnął Davida. -Mogło się zdarzyć, że nie spotkalibyśmy się tutaj - dodał. -Jeśli więc nie zależy ci na kolejnym starciu, proponuję odłożyć wyjaśnienia do czasu, aż znajdziemy się na górze. Lepiej wycofajmy się, póki jeszcze możemy.

Jael stanęła obok Davida. Miała w ręku rewolwer Domina.

- Davidzie, przecież on przed chwilą uratował ci ży cie - powiedziała znużonym głosem.

David zupełnie się pogubił, usiłując jakoś pogodzić to, że Dillon zaatakował Domina, ze śmiercią Evy, zaginięciem paszportu i obecnością Dillona w bunkrze.

- Uważaj! - syknął Dillon.

Domino oprzytomniał i wyciągał rękę, chcąc złapać Davida za nogę.

David odwrócił się i kopnął go w szczękę. Anioł Ciemności uderzył głową o kamienną posadzkę i znowu stracił przytomność. Wszyscy troje pobiegli w kierunku klatki schodowej.

- Skąd się tutaj wziąłeś? - spytał David.

- To długa historia. Gdy opowiedziałeś mi o hebrajskiej inskrypcji na agacie, coś mi się przypomniało. Widziałem już kiedyś podobny kamień. W domu zajrzałem do monografii o żydowskiej magii, żeby sprawdzić, czy jest coś o klejnotach - wyjaśniał Dillon, gdy biegli w stronę schodów. Z trudem oddychał. - Znalazłem cały rozdział o magicznych kamieniach z pektorału arcykapłana.

- I co dalej? - sapnął David.

- Wiele lat temu poznałem w Rzymie pewnego biskupa. Później okazało się, że molestował młodych chłopców, których zapraszał na cotygodniowe śniadania połączone z czytaniem Biblii. Zapamiętałem jego pierścień. To był owalny rubin z hebrajskimi literami.

- Rubin z pektorału Aarona? - wydyszała Jael.

Biegli w górę po schodach. Jael była czerwona z wysiłku.

- Odnalazłem go na wsi w Szkocji. Zabrałem mu rubin, chcąc oddać go Izraelczykom. W jego papierach, przygotowanych do zabrania w podróż, zauważyłem tę dziwną kartę.

Dillon był w świetnej formie fizycznej, a mimo to ciężko oddychał.

- Biskup mówił, że śpieszy się na samolot do Londynu. Dlatego tu przyleciałem. Na lotnisku wpadłem przypadkiem na jakiegoś Niemca. Miał taką samą kartę. Uczepiłem się go i tak znalazłem się tutaj. Teraz ty mi wyjaśnij, co to, u diabła, jest.

Byli w połowie ciągu schodów. David zatrzymał się. Nie zwracał uwagi na ostry ból w całym ciele.

Jael i Dillon oparli się o poręcz i z trudem łapali powietrze.

- Stacy jest gdzieś tutaj - powiedział David przerywanym głosem. - Ci szaleńcy chcą zniszczyć świat. Te głosy... te nazwiska, które słyszałem... To są nazwiska ludzi, których ci mordercy systematycznie niszczą. Wśród nich jest Stacy. Może już ostatnia. Musimy ją znaleźć i uwolnić!
- Boże dopomóż - westchnął Dillon. Mimo rumianej cery widać było, że zbladł. - Gdzie ona jest?
- Nie wiem. Może zamienisz kilka słów z Panem Bogiem i postarasz się o jakieś wskazówki - odrzekł David, zaciskając szczęki. - Nim oni nas złapią i zabiją.

ROZDZIAŁ 57

Głosy stawały się coraz wyraźniejsze.

Idę w dobrym kierunku, pomyślała Stacy. Tylko jak się do nich dostanę?

Starała się czołgać jak najszybciej, ale unoszący się w powietrzu kurz utrudniał jej oddychanie. Palcami wymacała kratki wywietrzników. Wyczuła skośne płytki, takie jak w domu. Głosy dochodziły z najbliższego otworu wentylacyjnego.

Gdy znowu dotarła do rozgałęzienia, brzmiały tak, jakby kobiety znajdowały się dokładnie pod nią. Stacy przesunęła rękami po ścianach, szukając wywietrznika lub klapy. Na pewno była nie jedna.

Pokonanie zakrętu tyłem okazało się jeszcze trudniejsze. W pewnym momencie utknęła, ale jakoś się przecisnęła. Po chwili zobaczyła klapę, taką samą, przez jaką dostała się do tunelu.

Wstrzymując oddech, Stacy szarpnęła klapę, która powoli ustąpiła. Była ciężka, ale dziewczynka zdołała ją przesunąć kilkanaście centymetrów i zajrzeć do korytarza. Teraz głosy stały się bardzo wyraźne.

- Chcesz walczyć i umrzeć, Irina, to proszę bardzo, ale ja chcę żyć - łkała kobieta.

- Jeśli chcesz być tchórzem, Louise, to twoja sprawa -odpowiedziała jakaś dziewczyna gardłowym głosem. - Ja

chcę wrócić do Maria. I będę się starać, choćbym miała umrzeć.

Stacy odsunęła pokrywę jeszcze kilka centymetrów. Teraz mogła już przecisnąć się przez otwór, ale podłoga wydawała się bardzo odległa.

Stacy nabrała powietrza i wsunęła nogi w otwór, wpierając się łokciami w ściany. Opuściła się najniżej jak mogła.

Wyobraź sobie, że jesteś Michaelem Jordanem i lądujesz po wsadzie, powiedziała. Złapała rękami krawędzie otworu.

Chwilę się wahała, po czym skoczyła.

Wylądowała na czymś twardym i poczuła ból w kostce. Nie czas na kontuzje, pomyślała. Znalazła się w tunelu bardzo podobnym do tego, w którym ją więziono. Nikogo nie było widać. Kobiety znajdowały się gdzieś blisko, wciąż słyszała, jak się kłócą.

Stacy zerwała się z podłogi i pokuśtykała w kierunku głosów. Minęła kilka niesamowitych obrazów - ciemne kolory, węże i dziwaczne symbole. Szła jak mogła najszybciej, ale po chwili zobaczyła przed sobą bramę z kutego żelaza. Jej serce przyśpieszyło. To wyglądało na bramę więzienia.

Podbiegła i wtedy je zobaczyła. Kilkadziesiąt młodych kobiet zamkniętych w ogromnej sali, pełnej piętrowych łóżek jak w zbiorowej sypialni. Kobiety były blade, jakby od lat nie widziały słońca. Niektóre młodsze od jej mamy, kilka niewiele starszych od niej. Wszystkie skulone jak staruszki, z długimi brudnymi włosami.

Co one tu robią?

Jedna otworzyła szeroko usta, gdy zobaczyła, jak Stacy, kulejąc, zbliża się do bramy. Nagle wszystkie podeszły do kraty. Patrzyły na nią, jakby nie wierzyły własnym oczom.

- Kim jesteś? - spytała gardłowym głosem ładna dziewczyna o dużych oczach i ciemnych długich włosach.

- Na imię mam Stacy. Kim... kim wy jesteście? Dlaczego tu siedzicie?

- Irina. Jestem Irina - odpowiedziała tamta, mocno zaciskając palce na kracie. - Dzięki ci, litościwy Boże -szepnęła, zerkając w górę. Znowu spojrzała na Stacy wzrokiem pełnym nadziei. - Jesteśmy tu uwięzione. Pomóż nam. Tam jest klucz!
- Gdzie? - Stacy spojrzała na ścianę, ale nie zauważyła klucza. Nie było żadnej półki ani koszyka.
- Dalej, w tunelu. Za obrazem. Pośpiesz się!
- Za którym obrazem? - Stacy już szła w kierunku obrazów. Przy każdym kroku czuła ból w kostce.
- Nie wiemy - odpowiedział jej inny głos. - Stąd widać tylko, że wyjmują klucz zza obrazu. Pośpiesz się, bardzo proszę.

Stacy zaglądała po kolei za obrazy. Co chwila wydawało jej się, że ktoś nadchodzi. Skończy za kratą, z tymi kobietami.

Pomyślała o ich zrozpaczonych twarzach i szarpnęła największy obraz. Niewiele brakowało, a przewróciłaby się na plecy, gdy malowidło spadło z haka. Zobaczyła wiszący na gwoździu duży czarny klucz w kształcie litery F.

Chwyciła go drżącymi rękami i mimo bólu pobiegła do bramy. Ręce trzęsły się jej tak, że nie mogła trafić do dziurki. W końcu się udało. Gdy otworzyła bramę, kobiety omal jej nie stratowały.

Minęły ją i pobiegły w głąb tunelu. Tylko Irina się zatrzymała. Ucałowała Stacy w policzek i cicho zapłakała. Po chwili chwyciła ją za rękę.

- Chodź z nami, aniołku. Uciekaj!

ROZDZIAŁ 58

- Zakładam, że masz jakiś plan działania - powiedział Dillon, ostrożnie spoglądając w górę schodów.
- Jestem otwarty na wszelkie sugestie. - David otarł pot z czoła. - A ty co zamierzałeś?
- Chciałem zdobyć wszystkie kamienie, które mają.
- Widziałeś jakieś? - Jael szybko odwróciła się ku niemu.
- Dwa. W oświetlonej, szklanej gablocie w pokoju operacyjnym za balkonem. Tam, gdzie spotykają się ich grube ryby.
- Byłeś tam? - spytał David, unosząc brwi.
- Przez chwilę - skrzywił się Dillon. - Przyczepiłem się do mojego nowego najbliższego przyjaciela. Gdy szliśmy po schodach, jeden z jego kolegów wychylił się i poprosił go do środka. Nie udało mi się przejść przez próg, ale nie mam wątpliwości, co jest w tej gablocie.
- Czy można się dostać do tych kamieni? - zainteresował się David.
- Pewnie można rozwalić gablotkę. Trudno natomiast wejść do pokoju... - Zdesperowany Dillon pokręcił głową. -No proszę. Szedłem na dół poszukać jakiejś broni, siekiery, metalowej rury, czegokolwiek. Tymczasem znalazłem przyjaciół.

Jael uśmiechnęła się i podała mu zakrwawioną rękę.

- Jael HarPaz - przedstawiła się.

- Przepraszam, nie wiem, gdzie podziały się moje dobre maniery - mruknął David. Spojrzał w oczy Dillona. Nie wiedział, jak wyrazić żal. - Powinienem był ci ufać -powiedział wreszcie zduszonym głosem. - Wybacz.

- Zapłacisz za trzy następne śniadania i będziemy kwita.

Nagle usłyszeli dochodzące z dołu odgłosy licznych kroków.

- Spadajmy stąd - rzucił David. Pobiegli na poziom podstawowy, a potem w kierunku auli, gdy na ich drodze stanęło sześciu Aniołów Ciemności.

- Kogóż my tu mamy? - usłyszeli ostry głos stojącej za nimi kobiety.

David od razu rozpoznał ten głos, ale trudno mu było w to uwierzyć. Obejrzał się i spojrzał we władcze oczy Ka-tharine Wanamaker.

Kathańne Wanamaker. Kobieta, która pocieszała jego matkę przez wiele miesięcy po tragicznym zawale ojca. Kobieta, która zawsze przygotowywała sałatkę Waldorf na świąteczne obiady, choć tylko David ją lubił.

- Zawołaj Judda - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Zrobimy sobie rodzinne spotkanie.

Katharine roześmiała się złośliwie.

- Judd jest przekonany, że wyjechałam do George-town, gdzie staram się o ogromną dotację dla orkiestry symfonicznej.

On nie wie, pomyślał David.

- Judd zadzwonił do ciebie po tym, jak wyszliśmy z re stauracji w Nowym Jorku, prawda? To nie on nas wydał, tylko ty.

David rzucił się na Katharine, złapał i obrócił twarzą w kierunku Aniołów Ciemności. Stanął za nią. Jael przycisnęła jej do karku lufę rewolweru Domina. Dillon zbierał siły do walki.

- Stać, bo ona zginie! - zawołał David.

Słyszał tupot kroków na klatce schodowej. Z przeraże-

nia podniósł mu się poziom adrenaliny. Jeszcze chwila i Aniołowie Ciemności zaatakują ich z dwóch stron.

Gdzie jest Stacy?

Katharine spróbowała się wyrwać, ale on zacisnął chwyt.

- Spróbuj jeszcze raz, a strzelę - ostrzegła ją Jael.

Biegnący tunelem Aniołowie Ciemności wcale nie zwolnili.

- Gdzie jest moja córka? - syknął David prosto do ucha Katharine, wbijając palce w jej ciało.

- Nie powiedziałabym ci, nawet gdybym wiedziała. Poddaj się, Davidzie. - Odwróciła głowę i spojrzała na niego z wściekłością. - Nie masz żadnych szans.

- Gdzie jest Mueller...

Katharine nie zdążyła odpowiedzieć. Aniołowie Ciemności nagle się zatrzymali. Teraz musieli sprostać hordzie kobiet, która rzuciła się na nich ze schodów.

- Co u diabła? - Dillon z otwartymi ustami patrzył na brudne i obszarpane postacie, które biegły, jakby goniły je jakieś moce piekielne.

- Zaprowadźcie je na dół! - krzyknęła Katharine do Aniołów Ciemności.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest Crispin Mueller! - ryknął David. - Gdzie jest Stacy?

W tunelu nastąpiło pandemonium. Jael odbezpieczyła rewolwer.

- Stacy! - krzyknął znowu David prosto do ucha Katharine. - Gdzie jest Stacy?

Stacy znalazła się w ogarniętym paniką tłumie uciekających kobiet. Mimo panującego wokół straszliwego hałasu, usłyszała głos Davida. Był słaby, odległy, ale rozpoznała go. David wykrzykiwał jej imię.

- David! - zawołała i potknęła się na schodach. Irina ją podtrzymała. Stacy szybko odzyskała równowagę, ale podniecenie zapierało jej dech w piersiach.

Gdyby teraz upadła, zostałaby stratowana. Kobiety biegły jak stado oszalałych krów na starym westernie. Sta-cy biegła jeszcze szybciej, z trudem łapiąc oddech i modląc się, żeby David rzeczywiście tam był...

Gdy wbiegła na górę, znalazła się w takim samym korytarzu jak przedtem, tyle że wypełnionym ludźmi.

Gorączkowo rozejrzała się po ich twarzach. Zobaczyła Davida!

Krzyknęła jego imię, jak mogła najgłośniej. David odwrócił głowę. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Stacy miała wrażenie, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie. Zobaczyła radość w jego oczach, wyrwała się Irinie i ruszyła do niego.

Nim dobiegła, ktoś złapał ją wpół i podniósł. Wiła się i krzyczała, usiłując się wyrwać. Widziała, jak David odpycha kobietę, którą trzymał, i biegnie jej na pomoc.

- Puść mnie! - krzyknęła. Zobaczyła twarz porywacza i znowu krzyknęła, tym razem z przerażenia. To był mężczyzna o niejednakowych oczach. Ten sam, który zabił Hutcha i zranił mamę.

- Davidzie, ratunku! - wrzasnęła, ale w tej samej chwili zobaczyła, że ktoś go atakuje i usłyszała ogłuszający huk wystrzału.

David przewrócił się i uderzył szczęką o podłogę. W oczach mu pociemniało. Usłyszał wystrzał. Otworzył oczy i spróbował podnieść głowę, ale dwaj Aniołowie Ciemności przyciskali go do ziemi. Kilka metrów dalej stała Jael; Anioł Ciemności odebrał jej rewolwer Domina i wykręcił ręce do tyłu. Słyszał odgłosy ciosów i jęki Dil-lona. Rozpacz wzięła górę nad bólem.

- Zabierzcie tę Ukrytą do pokoju operacyjnego - nale gała Katharine.

Ale rozkazy wydawał mężczyzna trzymający Stacy.

- Zamknijcie Shepherda i pozostałych dwoje w recep-

ej i, dopóki się nie dowiemy, co chce z nimi zrobić Przywódca. - Zmierzył gniewnym spojrzeniem pozostałych Aniołów Ciemności. - Dlaczego stoicie wszyscy jak stado baranów? - Sam już wlókł gdzieś Stacy. - Łapcie te kobiety. Ruszcie się!

David myślał tylko o tym, że Stacy płacze. Odgłosy jej łkania rozdzierające mu serce stopniowo stawały się coraz cichsze, podczas gdy on bezskutecznie próbował się wyrwać.

Pragnął zabić tego potwora, który porwał Stacy, niemal tak samo gorąco, jak zamordować Crispina Muellera. I na cóż przydała się moja wizja? Co z tego, że słyszałem ich prośby? Zawiodłem ich wszystkich, pomyślał. Aniołowie Ciemności brutalnie postawili go na nogi, po czym powlekli całą trójkę w kierunku recepcji.

David skrzywił się, gdy zobaczył szybko rosnący obrzęk na policzku Jael. Dillonowi ciekła krew z nosa. Kilka kobiet, kimkolwiek były, już zostało złapanych.

To koniec.

Jakiś czarnowłosy mężczyzna wyszedł z auli i szybko zmierzał w ich kierunku. Był wysoki, wytworny i pewny siebie. *Honcho,* pomyślał David, przeszywając go wzrokiem. Wyczuł, że gdy się zbliża, Aniołowie Ciemności prężą się odruchowo.

- Panie premierze, znaleźliśmy Shepherda. Co pan rozkaże z nim zrobić?

Premier DiStefano.

Nim DiStefano zdołał odpowiedzieć, spod biurka recepcjonistki wyskoczyła z okrzykiem furii jakaś postać.

Kobieta.

Mijając Aniołów Ciemności, podbiegła do DiStefano. W rękach trzymała długi lśniący nóż. Z rozpędu wbiła go w serce premiera z siłą nieprzystającą do jej drobnej sylwetki.

DiStefano otworzył szeroko usta, ale wydał tylko cichy bulgot i padł na wznak.

Zszokowani Aniołowie Ciemności przez chwilę stali nieruchomo, po czym puścili więźniów. Wzywając krzykiem pomocy, dwaj podbiegli do leżącego premiera, a trzej rzucili się na zabójczynię.

Kobieta wymachiwała zakrwawionym nożem z szaleńczą determinacją, nie pozwalając im się zbliżyć. Po chwili krzyknęła, obróciła się na pięcie i pobiegła ku klatce schodowej.

Jael również uciekła. Dysząc ciężko, podbiegła do najbliższej wielkiej rzeźby Uroborosa. Wcisnęła się między rzeźbę i skałę.

Musi się udać. Musisz dać radę, pomyślała.

Zaparła się plecami o ścianę i z całych sił pchała rzeźbę rękami i nogami. Jęczała z wysiłku, nie zważając na występy skalne, które wbijały się jej w plecy. W tym czasie Dillon walczył z ostrzyżonym na rekruta Aniołem Ciemności, który puścił Jael.

Dillon zadał błyskawiczny cios. Prawym sierpowym powalił Anioła Ciemności na ziemię, zostawiając na jego policzku krwawy ślad po rubinie.

Jael skupiła wszystkie siły na rzeźbie. Pod spoconymi rękami czuła chłodny i ciężki metal.

Wykonując ruch zapamiętany z filmu ze Stevenem Sea-galem, Dillon skoczył i wylądował obiema nogami na klatce piersiowej przeciwnika, łamiąc mu żebra. W tunelu rozległ się krzyk. Anioł Ciemności wił się na ziemi z bólu.

Dillon opanował narastające uczucie obrzydzenia. Szybko chwycił rewolwer Anioła Ciemności.

Odwrócił się.

David jak szalony biegł w górę po schodach. Nagle pięciu zbirów zablokowało mu drogę. David miał przed sobą mur ciał i rewolwerów. Przeskoczył przez poręcz, chwilę wisiał na rękach, trzymając się stalowej konstrukcji, po czym zakołysał się i skoczył pod schody. Nogi ugięły się pod nim, a na twarzy pojawił się grymas bólu, ale zerwał się i popędził w kierunku poszarpanej wieży skalnej pod-

trzymującej balkon. Aniołowie Ciemności zbiegli po schodach i ruszyli w pogoń.

Nad górną wargą Dillona pojawiły się krople potu. Podniósł rewolwer i otworzył ogień, szybko oddając kolejne strzały.

Anioł Ciemności biegnący na czele zachwiał się i chwycił za ramię, ale pozostali się nie zatrzymali - nie zważając na strzały, gonili Davida. Dillon usłyszał nagle przeraźliwy krzyk Jael. Przyglądał się z chorobliwą fascynacją, jak z całej siły pcha rzeźbę.

Uroboros chwiał się w przód i w tył i przez niekończącą się chwilę wydawał się zawieszony w powietrzu. Z wysiłku na twarzy Jael pojawił się grymas. Wreszcie rzeźba runęła z hukiem i zgniotła zbirów ścigających Davida.

Dillonem miotały sprzeczne uczucia. Czuł żal z powodu śmierci tylu ludzi, ale też wróciła mu nadzieja, że może jednak uda im się ujść z życiem.

Nagle poczuł coś innego. Krew, ciepła i lepka. Płynęła z jego piersi. Spojrzał z niedowierzaniem na ranę. Nie czuł bólu, tylko szumiało mu w uszach. Zrobił niepewny krok i zwalił się na ziemię. Po chwili ogarnęła go cisza.

Jael wolała nie myśleć o masakrze, jaką spowodowała. Wyrwała z ręki martwego Anioła Ciemności rewolwer i wbiegła na schody.

ROZDZIAŁ 59

Co się tam dzieje na dole, do licha?

Crispin Mueller zerwał się z krzesła, z całej siły uderzając laską o posadzkę pokoju operacyjnego. Nie zwracając uwagi na lęk widoczny w oczach Stacy Lachman, szybko wyszedł na balkon. Oparł się o barierkę i z niedowierzaniem patrzył na pandemonium na dole.

Rzeźba Uroborosa spoczywała na ziemi, a pod nią widać było poskręcane ciała kilku Aniołów Ciemności. Parę metrów dalej jakiś mężczyzna leżał na brzuchu w kałuży krwi.

Panował kompletny chaos. Ludzie krzyczeli, wybiegali z auli, kręcili się bez celu, zdezorientowani i ogarnięci paniką.

Crispin zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie tłumowi. Jeszcze przed chwilą widział, jak DiStefano idzie w kierunku pojmanego Shepherda. Czekał niecierpliwie, kiedy Aniołowie Ciemności przyprowadzą Davida na górę i zacznie się zabawa. Teraz DiStefano leżał bezwładnie na ziemi, a jego koszula była czerwona od krwi. Crispin nie wierzył własnym oczom.

Gdzie się podział Shepherd? Czy udało mu się uwolnić? W jaki sposób jeden człowiek mógł spowodować taki chaos?

Długo to nie potrwa, obiecał sobie. Wściekłość rozsadzała mu czaszkę.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Szedł z zaciśniętymi zębami, mocno stukając laską.

- DiStefano nie żyje. Nigdzie nie widać Shepherda.

- Jak to możliwe? - Odiambo Mofulatsi, handlarz diamentami z Afryki Południowej, zajmujący trzecie miejsce w hierarchii, wybiegł na balkon. - Gdzie jest Ortega? I twój ojciec? Dlaczego ich tu nie ma?

- Raoul, sprowadź tu Ukrytą. Już pora. - Crispin zlekceważył słowa Mofulatsiego.

Przerażona dziewczynka kuliła się na fotelu, na którym posadził ją Raoul. W jej oczach widać był strach i obrzydzenie. Anioł Ciemności chwycił ją mocno za nadgarstek, wpijając palce w ciało. Przestała oddychać, a serce zamarło jej z przerażenia. Starała się wyrwać, ale Raoul bez trudu zaciągnął ją na balkon.

Mueller odstawił laskę na bok. Teraz utrzymywał równowagę na zdrowej nodze. Ruchem głowy polecił Raoulo-wi, żeby podprowadził dziewczynkę. Chwycił ją i postawił na półce po drugiej stronie poręczy. Stacy starała się uwolnić i wrócić na balkon, ale Crispin mocno ją trzymał.

- Uspokój się albo cię zepchnę - syknął. Poczuła jego gorący oddech.

Crispin uśmiechnął się z satysfakcją. Przerażona Stacy tłumiła łkanie. Teraz miał świadomość własnej potęgi.

- Na co czekasz? - spytał Raoul. Przypatrywał mu się badawczo. - Tylko ona dzieli nas od Wniebowstąpienia. Zabij ją!

Crispin nie zwracał na niego uwagi. Nie miał zamiaru kończyć, zanim zmusi Shepherda do oddania agatu. Chciał też, żeby był on świadkiem śmierci dziewczynki. Za nic nie wyrzeknie się tej satysfakcji.

Na widok Stacy stojącej za barierką tłum ucichł.

- To ostatni Ukryty! - krzyknął ktoś.

- Wąż ją trzyma! - rozległy się podniecone głosy.

Wąż.

Tłum zaczął skandować jego imię niczym modlitwę.

Crispin rozkoszował się tą chwilą. Wiedzieli, co zrobił. Przepełniało go poczucie mocy. Uśmiechnął się. Mofulatsi podszedł do barierki.

- Wracajcie do auli. Wszyscy - krzyknął. - Przygotujcie się zgodnie z instrukcjami. Za chwilę nastąpi Wniebo wstąpienie.

Katharine Wanamaker i paru innych poszli szybko do auli, ale większość nie ruszyła się z miejsca. Zafascynowani, przyglądali się scenie na balkonie.

- Macie iść! - wrzasnął potężnie zbudowany Afryka nin, wskazując ręką drzwi auli.

Crispin spojrzał na Raoula.

- Poszukaj Shepherda i przyprowadź go tutaj. Szybko! - warknął.

- Już go nie potrzebujemy! - sprzeciwił się Mofulatsi. -Raoul, masz poszukać Alberto Ortegi i Erika Muellera. Muszą być z nami w chwili, gdy zniszczymy zgniły świat Boga!

Raoul wyszedł wykonać rozkaz Mofulatsiego. Crispina oślepiała wściekłość. Z trudem opanował chęć, żeby zepchnąć Stacy z półki i udowodnić, że nie potrzebuje niczyjego zezwolenia, aby osiągnąć cel. To on w największym stopniu przyczynił się do tego triumfu.

- David Shepherd! - Crispin dał upust wściekłości, krzycząc na całe gardło. Jego słowa odbiły się echem od ścian arki. - Pokaż się! Czyjeś życie wisi na włosku! Cen ne życie. To ostatnia z waszych Ukrytych. Uratuj ją, jeśli masz dość odwagi!

Rozejrzał się, ale nigdzie nie znalazł Shepherda. Na dole wierni gnozyci posłusznie maszerowali do auli.

- Boisz się, Shepherd? Brakuje ci odwagi, żeby ją ura tować? Chodź tu i powstrzymaj mnie! Wyzywam cię!

Ten tchórz nie chce się pokazać. Wściekłość Crispina narastała z każdą sekundą. Wyszczerzył zęby, bez reszty ogarnięty nienawiścią. Na chwilę puścił Stacy. Poślizgnęła się, ale zdążyła się złapać poręczy. Machając nogami

w powietrzu, zdołała stanąć. Echo powtórzyło jej krzyk przerażenia. Crispin znowu ją złapał.

- Rzucam ci wyzwanie, Shepherd! Wyzywam cię!

Pot zalewał twarz Shepherda. Z palców zwisały strzępy skóry, a dłonie były pokaleczone do krwi. Ciężko dyszał, ale mimo to uparcie wspinał się na skalną wieżę w kierunku balkonu.

Nie miał ani czekana, ani liny. Miał tylko palce rąk, kolana i stopy. Wyszukiwał chwyty, stopnie i punkty podparcia. Z trudem utrzymywał się na pionowej, poszarpanej kolumnie.

Przypomniał sobie wskazówki Hutcha. Ruch po ruchu. Nie patrz w dół. Patrz na szczyt. Starał się nie myśleć o Jael i o Dillonie. Czy żyją? Są ranni? Dalej walczą?

Nie mógł sobie pozwolić na myślenie o czymkolwiek poza wspinaczką. Crispin go wołał. Ryczał jak wariat. Da-vid wyparł ze świadomości jego słowa i pokręcił głową, żeby strząsnąć krople potu.

Góra jest jak kobieta, powiedział Hutch po jego pierwszej trudnej wspinaczce, gdy już był dostatecznie dojrzały, żeby zrozumieć metaforę. Dopasuj się do niej. Połącz się z nią.

Przywarł do skały. Palcami wyszukiwał rysy i chwyty. Był skałą. On i wieża stanowili jedność.

Nagle usłyszał rozpaczliwy krzyk Stacy. Dobiegł go gdzieś z góry, bezpośrednio nad nim. Jego palce zamknęły się w powietrzu, zamiast na uchwycie, a stopa ześlizgnęła się ze stopnia.

ROZDZIAŁ 60

Crispin zesztywniał. Usłyszał dobiegający z pokoju operacyjnego głos ojca. Chyba już pora. Po chwili zapomniał jednak o typowej irytacji syna na ojca, ponieważ dotarł do niego głos jakiejś kobiety mówiącej z izraelskim akcentem.

- Co to za miejsce? Co wy tu robicie?

Wydawała się zrozpaczona i przerażona. Crispin uśmiechnął się.

- Zobacz, kogo znalazłem. Skradała się po schodach -poinformował go ojciec, ciągnąc Jael HarPaz na balkon.

- Bardzo dobrze. - Crispin spojrzał na przerażoną dziewczynkę, z trudem utrzymującą równowagę na wąskiej półce, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Twój bohater też jest gdzieś niedaleko.

- Pora kończyć - zniecierpliwił się Mofulatsi. - Co w tym złym świecie mogło zatrzymać Ortegę? - westchnął, spoglądając na zegarek. W tym momencie Raoul wpadł na balkon.

- Ortega nie żyje. Domino również - powiedział, patrząc różnobarwnymi oczami na Stacy. Była blada jak duch. - Nie ma na co czekać. Zabij ją.

Mofulatsi zrobił krok w stronę Crispina, przejmując rolę najwyższego przywódcy.

- Teraz ja dowodzę. Wężu, oddaj ją. To mnie przypadnie w udziale zaszczyt zabicia ostatniego lamed wownika.

- Nie! - krzyknął Crispin. Rozglądał się z bezgranicznym gniewem po sali na dole. - Ja zadecyduję, kiedy nastąpi koniec. Shepherd! Gdzie jesteś, Shepherd?

- Tu jestem! - David wciągnął się na skalny występ i przeskoczył na balkon. Pięciu gnozytów obróciło się ku niemu, a potem cofnęło w stronę Crispina.

David skupił całą uwagę na Crispinie, lekceważąc pozostałych.

- Słyszałem, że chcesz dokonać wymiany.

ROZDZIAŁ 61

David wyciągnął przed siebie zakrwawioną dłoń. Agat zabłysnął w świetle jak pożądanie w oczach Crispina.

- Jeśli się nie boisz, chodź i weź kamień - rzucił mu wyzwanie David.

Wstrzymywał oddech. Nie śmiał spojrzeć na przerażoną twarz Stacy, wolał nie słyszeć jej łkania. Patrzył w oczy Muellera. To była decydująca chwila.

- Przyprowadź ją do mnie, a dostaniesz agat - powiedział.
- I tak będę go miał - zadrwił Mueller. - Ale najpierw popatrzysz, jak ona spada.
- Tak przypuszczałem. Trzeba być mężczyzną, aby wziąć go z mojej ręki. - David podrzucił agat i zręcznie go złapał. - A ty zawsze byłeś tylko pyszałkiem. Teraz chowasz się za dzieckiem. Kto tu jest tchórzem, Mueller?
- Cóż to za bzdury - wybuchnął Mofulatsi. - Wężu, przyprowadź tę dziewczynę do mnie. Raoul, zabij ich!

David spojrzał na mężczyznę o oliwkowej skórze. Raoul wyciągnął rewolwer. Jego oczy! David doznał wstrząsu, a potem zalała go fala wściekłości. Jedno niebieskie, drugie brązowe. To on!

Stał twarzą w twarz z bydlakiem, który zabił Hutcha. Który porwał Stacy. Który za chwilę zastrzeli jego i Jael.

Nie miał nic do stracenia. Wszyscy patrzyli na niego, a Raoul celował w jego głowę.

- Na pewno nie chcesz go odzyskać?

Czuł, że serce wali mu jak oszalałe. Zbliżył się o krok do Crispina. Jeszcze jeden. Pomachał kamieniem poza zasięgiem jego ręki.

- Chcę odzyskać cztery lata! - krzyknął Crispin. - Ty poszedłeś w kierunku światła, ja wpadłem w ciemności! Ty zostałeś obdarowany nazwiskami, a ja musiałem szukać ich w pocie czoła dniami i nocami!

- Biedny Crispin! - David skrzywił się szyderczo. -Chcesz mieć agat, Mueller? To masz!

David cisnął kamień w przepaść. W tej sekundzie rozległ się strzał. Gdy Mueller patrzył na lecący agat, David rzucił się naprzód i chwycił Stacy wpół. Szarpnął do siebie, ale Crispin nie wypuścił jej z żelaznego chwytu.

- David! - Stacy złapała go za szyję.

Wytężał wszystkie siły, żeby wyrwać ją z rąk Crispina i przerzucić na balkon. Kątem oka dostrzegł, jak Erik Mueller chwyta laskę syna opartą o poręcz balkonu. Skulił się, oczekując uderzenia.

Tymczasem zdumiony zobaczył, że Erik Mueller podnosi laskę nad głowę i wymierza nią mocny cios, celując w ramię syna. Crispin zaskoczony jęknął z bólu. Zachwiał się i na chwilę rozluźnił chwyt. To wystarczyło. David wyszarpnął Stacy z jego rąk i wciągnął na balkon.

Odwrócił się, nie wypuszczając jej z ramion. Kątem oka ujrzał, jak Mofulatsi rzuca się na Jael, starając się odebrać jej broń, nim zdąży drugi raz wystrzelić. Pierwszy strzał Jael unieszkodliwił Raoula, który leżał na podłodze i jęczał. Miał ranę w górnej części uda, a jego twarz wykrzywiał ból.

Nim David zdołał ogarnąć myślą chaotyczną sytuację, poczuł, jakby kosiarka przejechała mu po nogach. Podcięty, padł na kolana, pociągając za sobą Stacy. Crispin rzucił się na niego. Dziewczynka krzyknęła i przetoczyła się w bok.

Przez chwilę z przerażeniem przyglądała się przez łzy, jak Crispin zadaje Davidowi kolejne ciosy. Rzuciła się jak

tornado, wbiła zęby w rękę Crispina i chwyciła go za długie włosy. Pociągnęła z całej siły, wyrywając grube pasmo, ale Crispin uderzył ją łokciem w brzuch. Z bólu zgięła się wpół, przyciskając ręce do brzucha.

David zadał Crispinowi cios w splot słoneczny. Teraz sytuacja się odwróciła. To on siedział na Crispinie i zaciskał palce na jego gardle.

Jael kopnęła Mofulatsiego, przeciągając obcasem po jego goleni. Gdy się zachwiał, rąbnęła go kolanem w jądra. Osiłek zwinął się z bólu i zwolnił uścisk dłoni na rewolwerze. Nim oprzytomniał, Jael już trzymała broń. Wtedy podbiegł Mueller i zdzielił go laską w głowę.

- Zdrajca! - wykrztusił Crispin. Na próżno usiłował oderwać ręce Davida od swojej szyi. Brakowało mu powietrza. - Niech cię diabli!... Ojcze... pomocy!

Erik jeszcze raz uderzył laską Mofulatsiego, nawet nie patrząc na syna.

Jael ciężko oddychała. Bolał ją nadgarstek, na którym pozostały ślady grubych paluchów Mofulatsiego. Miała jednak rewolwer. Czuła w ustach metaliczny smak krwi. Spojrzała na Raoula - nadal leżał w kałuży krwi i z trudem oddychał.

Jael opanowała mdłości i szybko podeszła do szklanej gablotki.

W środku błyszczały dwa kamienie z wyrytymi hebrajskimi literami - ametyst i szmaragd. Gad i Zebulon.

Zaciskając zęby, uderzyła lufą w gablotkę. Nic z tego. Zaklęła i spróbowała jeszcze raz. Trzasnęła z całej siły, ale nawet nie zarysowała szkła. Pot spływał jej po twarzy. Złapała rewolwer za lufę, zamknęła oczy, wyobraziła sobie pękające szkło i uderzyła kolbą. Tym razem szkło rozprysło się na drobne kawałki.

Gdy triumfalnie sięgała po kamienie, skaleczyła się w rękę. Nie zwracając uwagi na ból, zacisnęła palce na ametyście i szmaragdzie.

Czy tylko jej się zdawało, czy rzeczywiście kamienie nagle rozbłysły?

Nie było czasu, by się im przyglądać. Wsunęła je za przepocony stanik. Poczuła, jak w jej ciele rozchodzi się dziwny prąd.

Erik Mueller wepchnął Stacy do pokoju operacyjnego, odciągając ją od krwawej sceny na balkonie.

- Jael! - krzyknął David ochrypłym głosem. - Zabierz stąd Stacy! Lada chwila mogą się tu pojawić Aniołowie Ciemności!

- Nie, nie pójdę bez ciebie! - zawołała Stacy przez łzy, drżąc cała.

- Musisz iść, dziecko. Od ciebie zależy przetrwanie świata! - Erik pociągnął ją w kierunku drzwi i klatki schodowej.

- Nie! - Stacy wyrwała się i rzuciła w stronę balkonu. Erik chwycił ją za ramię.

- Nie rozumiesz! Tu jest zbyt niebezpiecznie! Chcą cię zabić! Musimy uciekać!

- Puść ją! - krzyknęła Jael, grożąc mu rewolwerem. -Natychmiast!

- Nie strzelaj! - Stacy spojrzała na nią z przerażeniem. - To on mnie wypuścił i pokazał ukryte wyjście!

Jael przygryzła wargę. Była zupełnie skołowana, całe jej ciało tętniło bólem. Starała się zanalizować to, co mówiła Stacy, i zważyć to, co sama wiedziała.

Mueller wpadł na nią na schodach, gdy skradała się do pokoju operacyjnego, i usiłował ją przekonać, że chce pomóc ocalić Stacy, że w jego poglądach zaszła diametralna zmiana. Całe życie był ślepy i bezkrytyczny - mylił się głęboko w ocenie świata stworzonego przez Boga. Teraz uwierzył, że w tym świecie jest dobro. Wyznał, że odkrył to dzięki kobiecie, Elizabeth, którą pokochał. Przekonał się, że gnozyci, zabijając lamed wowników, pozbawiają świat dobra i sprowadzają nań katastrofy.

Jael sceptycznie oceniła to wyznanie, ale Erik Mueller utrzymywał, że chce zapobiec zniszczeniu świata. Miał plan. Wejdą do pokoju operacyjnego razem, ona będzie udawała, że Mueller ją złapał, ale będzie miała ukryty rewolwer. On unieszkodliwi Crispina i zaatakuje Mofulatsie-go. Teraz też chce ratować Stacy, choć David dusi jego rodzonego syna.

- Zabierz ją stąd, Jael! - gorączkowo krzyknął David. -Stace, tak będzie lepiej. Wyjdę zaraz za tobą.
- Chodź! - Jael podbiegła do dziewczynki. - Słyszałaś, co powiedział. David nas dogoni.

Złapała ją za rękę i pociągnęła przez metalowe drzwi na podest. Erik przez chwilę patrzył, jak idą po schodach w górę. Ruszył za nimi, myśląc, czy właśnie uratował Elizabeth. Po paru krokach zatrzymał się. Wahał się, co zrobić.

Czy nie powinien teraz ratować syna?

Nim zdążył podjąć decyzję, do pokoju wszedł Raoul. Z trudem trzymał się na nogach, a jego oliwkowa twarz była teraz blada jak papier. Dolna połowa ciała spływała krwią.

- Zdrajca! - krzyknął. Uniósł rewolwer i strzelił Edko wi prosto w głowę. Mueller padł na miejscu.

Raoul wrócił na balkon, zataczając się przy każdym kroku. Nie zwracał uwagi na ostry ból w nodze. Kręciło mu się w głowie. Stracił dużo krwi.

David Shepherd wciąż dusił Crispina. Nawet nie zauważył zbliżającego się Raoula. Ten z grymasem na twarzy wycelował w jego głowę. To miał być ostatni człowiek, jakiego zabije w swoim życiu. Od kiedy wykończył dziadka, żadne zabójstwo nie sprawiło mu takiej przyjemności.

Z ponurym uśmiechem pociągnął za cyngiel. Zamiast wystrzału, rozległ się metaliczny trzask.

David usłyszał dźwięk kurka i odwrócił głowę. Przez chwilę nie patrzył na Crispina, ale kątem oka zauważył jakiś rozmyty cień i zdążył się uchylić, unikając uderzenia kolbą. Nagle rzuciła się na niego ważąca dziewięćdziesiąt

kilogramów, skąpana we krwi bestia. Potoczył się w bok. Skrzywił się boleśnie, bo Raoul trafił go kolbą w plecy.

Laska. Jakimś cudem David zdołał ją chwycić i nieporadnie wstał. Sam był zdziwiony, że utrzymuje się na nogach. Przy każdym oddechu czuł piekący ból w klatce piersiowej. Miał połamane żebra, ale nie poddawał się.

Raoul skoczył na niego. Wieloletni trening nie poszedł na marne i, mimo osłabienia, Raoul był jeszcze w stanie walczyć. David wbił koniec laski w ranę na jego udzie. Anioł Ciemności krzyknął z bólu, zatoczył się i uderzył głową o ścianę.

David z trudem oddychał. Na widok tej jatki doznał mdłości. Dobrze, że Raoul nie zabije już nikogo...

A Crispin...

David odwrócił się do niego. Zmrużył oczy. Crispin zdołał podczołgać się do barierki i wstać, chwytając się poręczy. Wychylił się i krzyknął głośno.

- Chodźcie tu, głupcy! Ukryta uciekła! Na górę...

David uniósł laskę i chciał go uderzyć, ale nie docenił przeciwnika. Mueller zrobił unik, chwycił laskę i szarpnął mocno, tak że David stracił równowagę, ale oparł się o poręcz. Crispin wyszczerzył zęby i znowu pociągnął za laskę. David przeleciał na drugą stronę barierki, lecz udało mu się stanąć na półce.

Wskoczył znowu na balkon i w tej chwili poczuł coś dziwnego, jakby łaskotał go bursztyn w kieszeni spodni. Nagły przypływ adrenaliny podziałał na niego jak wstrząs elektryczny.

- Chciałeś mieć agat, Mueller? To go poszukaj! - krzyknął. Uderzył go pięścią w brzuch, chwycił za pasek i zrzucił z balkonu.

Mueller upadł na ziemię, nim zdążył krzyknąć.

David zbiegł po schodach do sali recepcyjnej. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Musi znaleźć agat.

Rozejrzał się dookoła. Przewrócony Uroboros, zmiażdżone ciała...

Nagle serce mu zamarło.

Dillon.

David podbiegł do niego i ukląkł. Sprawdził puls, choć wiedział, że to na nic. Dillon nie żył.

Ogarnęła go fala smutku i wstydu. Jak mógł podejrzewać swego przyjaciela o zdradę? Jak mógł go teraz tu zostawić?

Spojrzał w stronę auli. Ktoś już otworzył drzwi. W środku siedziało dwa tysiące gnozytów, czekających na zbawienie.

Znajdź agat, pomyślał.

Zerwał się na równe nogi. W tej sekundzie dostrzegł pierścień biskupa. Dillon zaryzykował życie, żeby odzyskać rubin.

David pochylił się i ściągnął pierścień z palca przyjaciela. I wtedy zauważył błysk agatu. Niebieski kamień leżał zaledwie kilka centymetrów od ręki Dillona. David miał w ręku dwa klejnoty z pektorału Aarona, które z każdą sekundą świeciły coraz jaśniej.

Nie zastanawiał się ani przez chwilę, jak to się stało, że agat upadł tak blisko rubinu. Nic już go nie dziwiło i myślał tylko o tym, jak stąd uciec.

Gnozyci zaczęli wychodzić z auli. David słyszał szmer głosów. Ściskając kamienie w krwawiącej dłoni, ruszył w stronę schodów.

Za chwilkę biegł już w górę, najszybciej jak mógł, biegł, żeby ocalić życie.

Słyszał krzyki. Tupot kroków. Gonili go.

Jak daleko są Jael i Stacy? Wszystko mieszało mu się w głowie. Przy każdym kroku ciężko dyszał. Nie da rady. Oczy zachodziły mgłą. Z trudem poruszał nogami. Zostawiał za sobą krwawe ślady.

Nie mógł się zatrzymać.

Uparcie szedł w górę, potykając się i ślizgając na mokrych schodach. Doszedł do drugiego podestu. Wspinał

się dalej, aż usłyszał nad głową kroki i kobiece głosy. Jael i Stacy.

Gniewne krzyki z dołu dodały mu energii.

Gdy dotarł do magazynu, ledwo trzymał się na nogach. Awi Raz złapał go za rękę i przeprowadził przez halę zawaloną pudłami. Teraz kręcili się tutaj jacyś mężczyźni w ciemnych garniturach, z nadajnikami radiowymi i z bronią.

- Dzięki... za... odsiecz - wysapał David.
- Wyszedłeś w samą porę. - Awi był mokry od potu. Agenci pośpiesznie rozkładali ładunki wybuchowe

i rozciągali kable. Inni odprowadzali do ambulansów kobiety, którym udało się uciec.

Po chwili David wciągnął w płuca świeże powietrze. Zmrużył oczy. Oślepiło go dzienne światło. Z pomocą Awiego wyszedł na rampę z tyłu budynku, gdzie Stacy i Jael czekały na niego w furgonetce. Kierowca już włączył silnik.

Byli kilka kilometrów od magazynu, gdy potężny wybuch wstrząsnął podziemnym bunkrem. Skały wypełniły wszystkie pomieszczenia. Oddalili się od tuneli, gdzie jeszcze przed chwilą gnozyci kręcili się jak osy w gnieździe, spodziewając się zwycięstwa.

Jeden wybuch, który wstrząsnął Londynem niczym trzęsienie ziemi, wystarczył, żeby sekta, która od wieków dążyła do zniszczenia świata stworzonego przez Boga, obróciła się w perzynę. Wybuch nie zaszkodził londyńskiej Tower, która stała nadal, tak jak od wieków, a w pałacu Buckingham tylko zadrżała porcelanowa zastawa w kredensach.

ROZDZIAŁ 62

WARSZAWA, 1446 KILOMETRÓW OD LONDYNU

Kiedy podziemny wybuch wstrząsnął Londynem, trzynastoletni Stanisław Nowicki wchodził właśnie na bimę w niewielkiej synagodze. Kiedy przygotowywał się, żeby po raz pierwszy przywdziać *tałes,* odmawiał specjalne *bracha,* błogosławieństwo, jakie towarzyszy wkładaniu modlitewnego szala. Rabin wskazał mu werset Tory, od którego miał rozpocząć czytanie podczas swojej bar micwy.

Gdy Stanisław czystym, mocnym głosem recytował stare hebrajskie słowa, wody Tamizy znowu się uspokoiły.

KOPENHAGA, 659 KILOMETRÓW OD LONDYNU

Lise Kolinka pochyliła się nad urodzinowym tortem. Kończyła trzynaście lat. Płomienie świec oświetlały jej twarz. Gdy z zamkniętymi oczami namyślała się nad życzeniem, na niebie nad Arizoną zebrały się ciężkie chmury. Nim zdmuchnęła wszystkie świeczki, na południowym zachodzie Ameryki lunął deszcz, gasząc pożary lasów, zmywając sadzę ze skał i przynosząc odrodzenie wypalonej ziemi.

CHICAGO, 6817 KILOMETRÓW OD LONDYNU

Trzynastoletnia Keisha Jones w każdą niedzielę pracowała z ciotką Doris w składzie żywności dla biednych na

South Side. Tego dnia, gdy szła pomóc w sortowaniu konserw z darów, bawiła się monetami, które znalazła na ulicy. Dała je później pani Wallace, a ona powiedziała, że to wystarczy na tydzień na chleb dla całej rodziny. Keisha podskoczyła z radości. Postanowiła, że za tydzień przeznaczy na jedzenie dla biednych połowę pieniędzy, jakie zarobi, opiekując się dziećmi.

U wybrzeży Japonii tsunami, które przetaczało się przez ocean, straciło impet i opadło jak wrzątek w czajniku zdjętym z kuchenki.

SZANGHAJ, 11317 KILOMETRÓW OD LONDYNU

Chen Ho siedział obok ukochanego dziadka i cierpliwie czytał mu gazetę. Musiał często powtarzać słowa, bo dziadek był nie tylko niewidomy, ale również niedosłyszał. Chenowi to nie przeszkadzało. Jego lekcje musiały poczekać. Ojcu mamy nie pozostało w życiu wiele przyjemności, poza takim kontaktem ze światem i wieczornym kuflem piwa.

Gdy Chen przewracał stronę, zauważył, że dziadek zasnął. Chłopiec uśmiechnął się. Złożył gazetę tak, aby później móc łatwo wrócić do czytanego fragmentu.

W tej samej chwili w Turcji ratownicy krzyknęli z radości, bo udało im się znaleźć kilkanaścioro dzieci, które cudem przeżyły pod gruzami szkoły.

W Mathiaka w Sierra Leone, w Luwenie w Rosji, w Tokaju na Węgrzech i w dwudziestu ośmiu innych osadach i miastach świata nowe pokolenie lamed wowników kolejno osiągało duchową dojrzałość.

Ich czyste serca i dusze przepełniały dobro i współczucie. Żaden z nich nie wiedział - i nigdy nie miał się dowiedzieć - jak ogromną moc ma ich istnienie.

ROZDZIAŁ 63

MIESIĄC PÓŹNIEJ W IZRAELU JEZIORO GENEZARET

Wzdłuż wysadzanego palmami nabrzeża w Tyberiadzie tłoczyli się turyści, mijając stragany z jedzeniem. David wypatrywał w tłumie Jael. Gdy dostrzegł ją na drugim końcu *tajelet*,* niemal doznał wstrząsu. Miała na sobie cytrynowe szorty i czarną jedwabną bluzkę. Zawsze wyobrażał ją sobie w zielonym żakiecie i czarnej spódnicy, tak jak była ubrana, gdy przyszła do rabina ben Moshego, by zobaczyć agat.

Kamień był już bezpieczny w Jerozolimie. Podobnie jak bursztyn i inne klejnoty z pektorału Aarona, które odebrali gnozytom.

David trzymał w ręku swój notatnik. Niedługo miał się dopełnić jego los.

Gdy przepychał się przez tłum do Jael, przypomniał sobie wydarzenia ostatniego miesiąca. Spędził tydzień w Santa Monica w gościnie u Meredith i jej męża, żeby towarzyszyć Stacy. W domu Lachmanów nie czuł się aż tak obco, jak się spodziewał. Stacy chciała mieć go blisko siebie, więc spełnił jej życzenie.

Na uniwersytecie wziął urlop. Nie mógł zapomnieć o śmierci Dillona, Hutcha i Evy.

* Tajelet (hebr.) - promenada, deptak.

Wciąż był obolały, a żebra jeszcze się nie zrosły. Wiedział, że musi się uzbroić w cierpliwość; miał też nadzieję, że z czasem Stacy zapomni o tych dramatycznych przeżyciach.

Dziwiło go trochę, że dziewczynka nie stara się dociekać, co spowodowało te koszmarne wydarzenia. Początkowo zamierzał jej to wyjaśnić, gdy pasierbica dorośnie. To jednak nie wydawało się potrzebne. Stacy, pewnie kierując się instynktem, nie zadawała zbyt wielu pytań. Najwyraźniej wolała o wszystkim zapomnieć. Zastanawiając się nad tym, Da-vid przypomniał sobie, że lamed wownicy nie wiedzą, kim naprawdę są.

Meredith kilka razy była z córką u psychoterapeuty, który uznał, że Stacy nie odniosła żadnych trwałych urazów psychicznych. David postanowił poczekać, aż ona sama będzie chciała się czegoś dowiedzieć.

Wyminął rodzinę śpieszącą do stoiska z falafelami. Stąd widział już błyski srebrnych klipsów między miedzianymi włosami Jael. Był tak blisko, że mógł obserwować jej uśmiech, kolorowe paciorki na szyi i harmonijne ruchy bioder.

Gdy zbliżyła się do niego, w jej oczach dostrzegł uśmiech. Wspięła się na palce i musnęła wargami jego usta.

- Wynajęłam łódź rybacką. Mamy ją na całe popołudnie.
- Weźmiemy coś do jedzenia? Uśmiechnęła się.

Po godzinie byli już daleko od hałaśliwego wybrzeża, sami na niebieskiej drewnianej łodzi. Płynęli na głębszą wodę. Jezioro było spokojne, świeciło w słońcu jak wielki klejnot poniżej Tyberiady będącej jak Safed jednym z czterech świętych miast Izraela.

Izraelczycy nazywają to jezioro Genezaret, a chrześcijanie mówią o nim Morze Galilejskie. Stąd, spośród tutejszych rybaków, pochodzili apostołowie Jezusa.

David poczekał, aż znaleźli się z Jael sami. Wokół była tylko woda i niebo. Już prawie nie widzieli ludzi na odległych wzgórzach.

Odłożył wiosła. Jael przyglądała się w milczeniu, jak wrzucił do wody swój dziennik. Przez pewien czas papier unosił się na powierzchni, ale wkrótce nasiąknął wodą, która rozmyła też atrament. Czerwony oprawny w skórę notes zniknął, zabierając ze sobą wszystkie święte sekrety.

Jael spojrzała na torbę z jedzeniem, po czym ostrożnie przesiadła się na ławkę obok Davida.

- Nim zaczniemy piknik, chciałabym ci zadać pytanie.
- Pytaj.
- Dostałam zaproszenie na wykłady z Georgetown. Na następny semestr. Czy może miałeś z tym coś wspólnego?

David usiłował zachować twarz pokerzysty, ale czuł zapach jej perfum i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- A jeśli tak? Czy je przyjmiesz?

Zacisnęła usta i wyciągnęła długie nogi przed siebie, jakby chciała przyjrzeć się polakierowanym paznokciom.

- To zależy. Czy profesorowie prowadzą życie towarzyskie?
- Cóż, ominął cię piknik z okazji Święta Pracy. Dziekan Myer zwykle urządza przyjęcie noworoczne i podaje smażonego indyka.
- Smażony indyk... - powoli zwróciła twarz ku Davido-wi. - To chyba najlepsza propozycja, jaką dzisiaj usłyszałam.

Zarzuciła mu ręce na szyję i odchyliła głowę do tyłu. Włosy opadły jej luźno na plecy.

- Trochę mnie niepokoją surowe zimy na Wschodnim Wybrzeżu.
- Nie martw się. Postaramy się, żeby nam było ciepło. - Pocałował ją. Łódź dryfowała po jeziorze. David zapomniał o wszystkim. Czuł tylko miękki dotyk warg Jael, lekkie kołysanie łodzi i spokój, jaki dawała mu świadomość, że nazwiska lamed-wowników znowu stały się tajemnicą.